



• **Sprawa Rushdiego,**  
czyli sprawdzanie naszej  
wolności  
• **Bestsellery** po norwesku • **Powrót**  
**wiedźmina**, Sapkowski w formie



**WYSOKIE OBCASY**  
**Przemoc i miłość**  
Opowieść Patrycji  
Volny, córki  
Kaczmarek

GAZETA  
**wyborcza**  
wyborcza.pl  
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

# Nobla nie będzie

Kombinujemy, skąd  
wziąć na sprzęt,  
odczynniki i na życie  
– skarżą się polscy  
naukowcy

► 4

FOT. PAP/CTK, MONTAŻ: MARIUSZ ROSA

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.  
nr indeksu 348198



**Melania  
Trump**  
nie potrzebuje  
męża ► 21

FOT. REUTERS/BRIAN SNYDER



**Dzień**  
z życia  
licealisty  
► 17

**„Po co mu to było”**  
Co Marcin  
Napiórkowski robi  
z Muzeum Historii ► 40



**DODATEK**  
**Pomysły na**  
**świąteczne**  
**prezenty**

Agnieszka  
Kublik

## Casting na Kurskiego

**L**adna pani, ładna pani, taka wyjściowa pani – słyszę, gdy włączam stację w Polsce24. To o żonie Karola Nawrockiego, którego w niedzielę zgłosił prezes PiS jako kandydata niePiSowskiego.

Ten komentarz o żonie – skandaliczny, swoją drogą – to nie przypadek. Wszak Jarosław Kaczyński, szukając kandydata idealnego, rzucił, że ma być przystojny, wysoki i z rodziną. Z kolei w TV Republika puszczają spot z Nawrockim, jak w rytm muzyki z filmu „Rocky” w krakowskiej sali Sokoła wita się z wierchuszka PiS. To pochód triumfalny, jakby już wygrał.

Obie telewizje, które mają zastąpić PiS utraconą TVP, już prowadzą kampanię wyborczą. Ale też walczą ze sobą. I to nie jest estetyczne widowisko.

Otóż wyszło na jaw, że Tomasz Sakiewicz, szef Republiki, nie chciał, by to Nawrocki kandydował na prezydenta. Puszczając przeciek kontrolowany wcale nie próbował ustawić się w roli kingmakera, ale chciał go... uwalić. Bo uważał, że Przemysław Czarnek, który odegra „polskiego Trumpa”, będzie lepszy.

Ale to wersja kolportowana przez... dziennikarza w Polsce24.

Czyli telewizji braci Karnowskich. Czyli konkurencji.

Która jest bardzo drażliwa w niewielkim akwariu prawicowych mediów. Na zapleczu PiS walczą dwie frakcje medialne. Sakiewicz ma większe wpływy i więcej

**TV Republika i wPolsce24 walczą ze sobą. Nie o widza, ale o władzę w PiS**

kasy, bo choć za rządów Zjednoczonej Prawicy większość fruktów spływała do rywali, na ich łamach i w ich studiach sam Kaczyński ogłaszał plany – to on wykazał się reflekssem, pierwszy przejął gwiazdy i pomysły z TVPiS. Dziś czuje się tak mocny, że uważa, że może sterować decyzjami Kaczyńskiego. I tak nietykalny, że pozwalając sobie na komentarz, że PiS „nie rozumie, na czym polega rynek medialny”.

Bój o to, kto lepszy w polskości, kto w patriotyzmie, toczy się już jawnie. Być może właśnie obserwujemy to, co po klęsce prawicy rok temu musiało nastąpić – czyli próbę zamachu stanu na Nowogrodzkiej. Zaś historia z Nawrockim w studiu telewizyjnym dowodzi, że wszystkie chwytły są dozwolone.

A było tak. Po partyjnym namaszczeniu prezes IPN poszedł do TV Republika, potem miał usiąść przed kamerami w Polsce24. Ale u Sakiewicza przedłużyli wywiad z 25 minut do ponad godziny i świeżo upieczony kandydat pojawił się u Karnowskich mocno spóźniony. To właśnie skłoniło dziennikarza telewizji braci do oskarżenia Sakiewicza o sabotaż wymierzony w Kaczyńskiego. Takie słowa wypowiedziane wprost – to już gruby kaliber.

Serwis Demagog, który zajmuje się m.in. monitoringiem wypowiedzi polityków, przeanalizował programy informacyjne i publicystyczne w obu stacjach. Wyszło im, że TV Republika jest bardziej ludowa, a w Polsce24 „próbuję docierać do odbiorcy nieco bardziej wymagającego intelektualnie i poznawczo”.

Ale gdy kampania się rozkręci – a w zasadzie w dwie kampanie, ta prezydencka i ta o zostanie nową TVPiS oraz o rząd dusz na prawicy – niedługo obie będą „ludowe”, obie zaczną szukać widza mniej wymagającego. Intelektualnie i poznawczo. A może już zaczęły. „Ta wyjściowa pani”... ●

## Liban

## Zwyciężyliśmy Izrael



Po rozejmie między Izraelem i Hezbollahem mieszkanki Bejrutu pozują z portretami zabitych liderów Partii Boga. Libańczycy nie popierają marzeń bojówkarzy o irańskiej teokracji. To oni ściągnęli nieszczęście, atakując Izrael. Ale to Izrael bombarduje cywilów - i przyczyna tragedii Libańczyków stała się ich jedyną nadzieją.

Kod dostępu  
do Wyborcza.plDrop  
Polski struś wraca

**P**odrywające się z pola stado dropi było widokiem niezapomnianym. Niezapomnianym, bo to jedno z największych na świecie ptaków latających – 19 kg wagi i ponad 2 metry rozpiętości skrzydeł. Było, bo ostatnie polskie dropie zabili kłusownicy w 1986 r.

Ale za kilka miesięcy czas przeszył zmieni się w teraźniejszy. Inkubatory w Stacji Hodowli Dropia, założonej przez Polski Związek Łowiecki przy wsparciu Funduszu Ochrony Środowiska i Uniwersytetu Zielonogórskiego, czekają na pierwsze jaja z Niemiec. Tamtejsi naukowcy podzielą się jajami wyszukanyymi przez rolników, nagradzanych za odnalezienie gniazda.

Jaja jadą z Brandenburgii, bo tamtejsze rolnictwo jest przyjaźniejsze dla dropi, które potrzebują dużych niezalesionych, różnorodnych terenów. Zabójcze są dla nich monokultury rolnicze z chemicznymi opryskami – takie, jakie przyczyniły się, prócz polowań, do wyginięcia gatunku w Polsce. Rol-



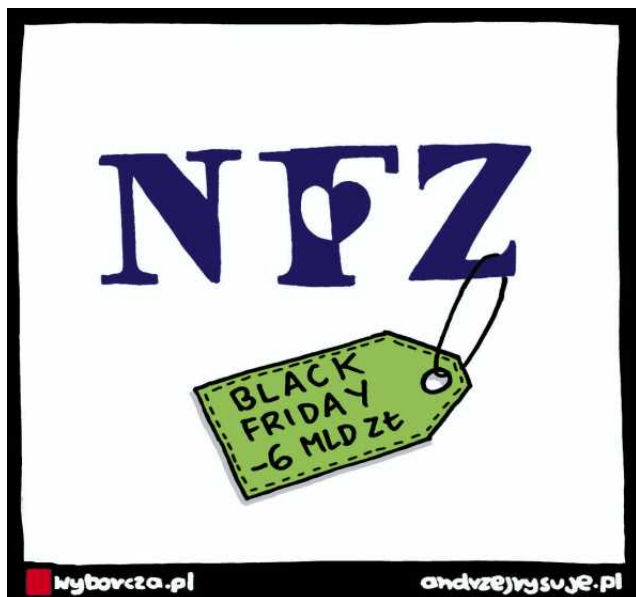
nicy z Brandenburgii we współpracy z naukowcami prowadzą uprawy bez chemikaliów eliminujących owady.

Program miał się opierać na ptakach z Ukrainy, ale rosyjscy żołnierze wybili i zjedli 600 dropi ze stacji hodowlanej na Krymie.

Niepokojąco brzmi to, że akurat myśliwi postanowili reintrodukować ptaki nazywane „polskimi strusiami”. – Jeśli się powiedzie, to chcecie na nie polować? – pytam łowczego okręgowego Wojciecha Pawliszaka, opiekuna stacji. – Zdecydowanie nie – zaprzecza. – To piękny ptak, będzie jak z zubrem. Nie po to go odrodziliśmy, żeby na niego polować. ●

**Jakub Chęłmiński**  
Więcej ► [Wyborcza.pl/nauka](https://wyborcza.pl/nauka)

## Andrzej rysuje



## Cytat tygodnia

*Główny powód?  
Pojawiły się  
nowe generacje  
czytelników, których  
– strach powiedzieć  
– często nie śmiesz  
w ogóle. Jak to  
mówią satyrycy:  
czasy się zmieniły*

REDAKCJA „POLITYKI”  
o rozstaniu z Andrzejem Mleczką  
po tym, jak słynny rysownik  
oznajmił, że kończy współpracę  
z tygodnikiem, i wspominał  
o cenzurowaniu

## Młody tata nie płaci



**O** tyle wzrosła liczba najmłodszych – w wieku 18-25 lat – alimenciarzy. W grupie 26-35 łóżenia na potomstwo unika o 8 proc. więcej mężczyzn, niż przed rokiem. Alimenciarze w Polsce winni są swoim dzieciom 16 mld zł. Ale to kwota, którą wypłaca opieka społeczna samotnym matkom o niskich dochodach. Ile wynoszą niezapłacone alimenty facetów, których porzucone dzieci nie łapią się na taką pomoc, nie wiadomo.

• Więcej w tekście Edyty Bryty ► [Wysokieobcasy.pl](https://wysokieobcasy.pl)

**WE WTOREK W „WYBORCZEJ”**

# **Kalendarz astronomiczny na 2025 rok**



- Zorze polarne, pełnie Księżyca, gwiazdozbiory, komety...
- Kalendarium obserwacji nieba
- Niezwykłe zjawiska i kosmiczne zdjęcia

# Nobli. nie będzie

Polscy naukowcy są jak himalaiści  
w latach 80., którzy zdobywali najwyższe  
szczyty w skarpetkach robionych przez żony na drutach



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

**Alicja Gardulska**

**W** 2017 r. tygodnik „Nature” pisał: „Polska staje się siłą, z którą trzeba się liczyć”. Rok wcześniej zostaliśmy wymienieni jako pierwsi spośród państw – „wschodzących gwiazd nauki” (Nature Index 2016 Rising Star). „Czy w polskiej nauce coś drgnęło?” – zastanawiał się ówczesny szef Narodowego Centrum Nauki prof. Zbigniew Blocki. „Zmiany idą w dobrą stronę, ale ciągle długa droga przed nami” – pisał w tygodniku Polskiej Akademii Umiejętności „PAUza”.

W 2024 r., czyli siedem lat rządów Zjednoczonej Prawicy i rok Koalicji 15 Października później, Polska Akademia Nauk pisze na oficjalnym profilu w serwisie X: „Polska nauka tonie”. – Chociaż nie, wcale nie tonie, bo została na łodzi – precyzuje autor tych słów prof. Dariusz Jemielniak, wiceprezes PAN i ekonomista badający nowe technologie.

Rok temu zmęczone i skłócone po rządach poprzedniej ekipy środowisko naukowe miało nadzieję na no-

we otwarcie. Czy – jak mówią niektórzy – choć trochę normalności. Po latach ręcznego sterowania, rozdawania pieniędzy wedle uznania i pohukiwania na niepokornych badaczy, miały nastać jasne zasady gry, dialog i spokój.

Nowa ekipa dostała spory kredyt zaufania. Naukowcy przez kilka miesięcy ze spokojem obserwowali, jak nowy minister, człowiek spoza nauki – nim Dariusz Wiczorek zajął się na serio polityką, był menedżerem w branży turystycznej – uczy się ich świata. Pesymiści mówili: niedobrze, że nauka dostała się w ręce kogoś spoza środowiska. Optymiści przekonali, że sprawny polityk więcej załatwi niż naukowiec. W końcu z ministrami profesorami bywało różnie – wystarczy wspomnieć Przemysława Czarnka, a przecież z krytyką, choć mniej surową, spotkali się też profesorki Barbara Kudrycka i Lena Kolarska-Bobińska oraz profesor Michał Seweryński.

Wielu wzięło za dobrą monetę to, że szkolnictwo wyższe i nauka znów dostały własny resort (za czasów Przemysława Czarnka były dołączone do edukacji i traktowane po macoszemu). Choć niektórzy trochę się martwili, bo premier Donald Tusk zapomniał o ministrze Wiczorku podczas prezentacji swojego gabinetu w Sejmie. – Oby to nie był zły znak – mówili.

Niecały rok później nastroje mocno siadły. – Sytuacja się nie poprawiła, a w niektórych przypadkach nawet pogorszyła – ocenia prof. Maciej Żylicz,

biochemik i biolog molekularny, prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. – Po raz kolejny muszę z pełnym przekonaniem powtórzyć: państwo polskie nie ceni i nie szanuje nauki – mówi dr hab. Łukasz Niesiołowski-Spano, dziekan Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego. – Wygląda na to, że władza przyjęła strategię na przeczekanie – mówi dr hab. Kinga Kamieniarz-Gdula, biologka z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Tylko że naukowcy nie chcą już czekać.

Zniecierpliwienie i rozczarowanie wynikają po części z tego, co robi samo Ministerstwo Nauki. Ale w dużej mierze biorą się także stąd, że naukowcy przeżywają déjà vu. Funkcjonują w tej samej od dekad, opowiadanej ciągle od nowa historii. W której wszyscy znają diagnozę i recepty, ale zmieniają się tylko drobiazgi.

Nauka w Polsce nieustająco dostaje tę samą cenzurkę. Pod względem liczby badaczy jesteśmy ponad unijną średnią, na wysokim, piątym miejscu. Większość (81 proc.) z ponad 72,5 tys. naukowców jest zatrudniona na uczelniach. Pozostali są rozrzućeni po mniej więcej 200 różnych instytucjach, m.in. instytutach naukowych PAN, około 60 instytutach badawczych działających osobno i 22 połączonych w Sieć Łukasiewicz, ale też w fundacjach, instytucjach kul-

tury, centrach badawczych i szpitalach. Tylko 3 proc. z nich to obcokrajowcy.

Naukowcy publikują dużo, ale to, co piszą, nie ma większego znaczenia. Z raportu „Nauka w Polsce 2023” Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego (OPI) wynika, że w ciągu ostatnich pięciu lat opublikowano w Polsce blisko 537 tys. prac naukowych, z czego większość stanowią artykuły. To daje nam szóste miejsce w uniijnym rankingu naukowej produkcji. Niemal jedna piąta z nich ukazała się w wysoko punktowanych pismach (za 200 i 140 pkt).

Jednak, jak piszą eksperci OPI, „prace cechowały się najniższym poziomem wpływu, jak również umiędzynarodowienia – cytowano je zaledwie o 1 proc. częściej niż przeciętną pracę na świecie, a jedynie 35 proc. prac powstało w międzynarodowym współautorstwie”. Podobnie jest ze skutecznością badaczy z Polski w zdobywaniu prestiżowych grantów Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC). Niezmiennie z wielomiliardowego uniijnego budżetu na przełomowe badania naukowe zbieramy okruchy. Z ponad 16 tys. przyznanych od 2007 r. grantów do Polski trafiło 87.

Jednocześnie przez te lata dorobiliśmy się w Polsce ośrodków, gdzie uprawia się naukę na światowym poziomie. Mamy m.in. astronomów w Warszawie – światowych liderów w pomiarach odległości w kosmosie, matematyków na UW z kilkunastoma grantami ERC, doskonałą biologię strukturalną w Krakowie i wybitnych biologów RNA w Warszawie. Polscy naukowcy radzą sobie w niektórych technologiach związanych z fizyką kwantową, nowymi materiałami czy uczeniem maszynowym.

– Oczywiście mamy wyspy doskonałości, ale to trochę tak, jakbyśmy pocieszali się, że jesteśmy gigantami w sporcie dlatego, że zdobywamy na olimpiadzie złoto we wspinaczce sportowej i srebrny medal w siatkówce. Koniec końców liczy się łączna klasyfikacja medalowa – mówi prof. Jemieliński. Choć dodaje, że jeśli odniesiemy nasze osiągnięcia do finansowania nauki, wyjdzie, że w przeliczeniu na jedno euro mamy dużo lepsze wyniki w publikowaniu w przyzwoitych czasopismach w różnych językach (przynajmniej według publikacji odnotowanych przez Scopus, jedną z najważniejszych baz bibliograficznych światowej nauki) niż np. Niemcy.

Tyle że Polak wydaje przeciętnie na naukę 70 euro rocznie, uniijna średnia to 120 euro. Wydatki z budżetu państwa na szkolnictwo wyższe i naukę od dawna oscylują w okolicach procentu PKB. Choć wszyscy kolejni politycy (od prof. Michała Seweryńskiego, ministra nauki za tzw. pierwszego PiS w 2005 r., przez premier rządu PO-PSL Ewę Kopacz w 2020 r., po dzisiejszych lewicowych ministrów nauki) deklarują, że powinny wzrosnąć do co najmniej 2 proc. PKB.

– Polacy osiągają wielkie rzeczy w nauce, ale robią to trochę jak himalajści w latach 80., którzy zdobywali najwyższe szczyty w skarpetkach robionych przez żony na drutach. Bez sprzętu, ale z wielkim poświęceniem. Pomimo systemu, a nie dzięki niemu – podsumowuje dr hab. Marcin Moskaiewicz, profesor w Instytucie Filozofii UMCS w Lublinie, kierownik Pracowni Filozofii Zdrowia Psychicznego na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu oraz lider zespołu w ośrodku IDEAS Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

W pamiętnym artykule siedem lat temu „Nature” przekonywał naukowców ze świata, że Polska staje się atrakcyjnym miejscem do prowadzenia badań. Tygodnik przypomniawszy naszą burzliwą historię: izolację polskich badaczy od reszty świata za PRL-u, załamanie finansowe z początków transformacji ustrojowo-rynkowej po 1989 roku i exodus wielu naukowców na Zachód.

„Trudne czasy minęły” – oceniał autor tekstu i wyliczał, że w latach 2005-15 nakłady na naukę w Polsce wzrosły niemal dwukrotnie, do 1 proc. PKB. Fundusze unijne pomogły zmodernizować laboratoria, wybudować nowe kampusy i parki technologiczne. A do tego konkurencja jest mniejsza niż na Zachodzie, więc łatwiej o granty. „Polska już odniosła największy transformacyjny sukces w Europie Wschodniej. Wydaje się, że jest na najlepszej drodze do odzyskania utraconych sił i talentów w nauce” – pisał „Nature”.

Tygodnik odnotowywał co prawda, że „niektórzy członkowie konserwatywnej społeczności akademickiej są nieufni wobec prób uczynienia nauki w Polsce bardziej międzynarodową, konkurencyjną i mniej hierarchiczną”, a władzę nad pieniędzmi i kierunkami badań na uczelniach nadal sprawują „uznani profesorowie, którzy mają tendencję do opierania się zmianom”. Ale nie brakuje ludzi i miejsc, któ-

rzy mają odwagę działać inaczej. Te miejsca prof. Żylicz nazywał wtedy „wyspami szczęśliwości”. Jednak obraz nauki widzianej z kraju już wówczas był mniej kolorowy. – Ogólnie w Polsce uprawiamy zaściankową naukę, ale są wyjątki od reguły – mówił w 2015 r. w rozmowie z Polską Agencją Prasową. – Myślałem, że tych wysp będzie coraz więcej, a z czasem zleją się w jeden łód – mówi dziś szef FNP.

Biolożka dr hab. Kinga Kamieniarz-Gdula doskonale pamięta artykuł w „Nature” i tamtą atmosferę. Prowadziła wtedy badania na Uniwersytecie Oksfordzkim. Wróciła do kraju pięć lat temu i było lepiej, niż przypuszczała. W Polsce mogła z powodzeniem prowadzić badania tej samej jakości co w topowym laboratorium w Wielkiej Brytanii. Jest laureatką najważniejszych europejskich grantów – ERC i EMBO, profesorką UAM w Poznaniu i dyrektorką tamtejszego Centrum Regulacji Genomu. I uważa, że doskonałej nauki jest w Polsce coraz więcej, choć jest jeszcze mocno rozproszona.

– W ciągu ostatniej dekady sporo się zmieniło. Do Polski wróciło wielu naukowych Donaldów Tusków, czyli badaczy, którzy zrobili międzynarodową karierę, mają dorobek, renomę i zaufanie kolegów za granicą. Oraz, co ważne, nie mają kompleksów – mówi badaczka.

Wiele z tych powrotów nie byłoby w ogóle możliwych, gdyby nie powołane w 2011 r. Narodowe Centrum Nauki. Rządowa agencja grantowa, przyznająca w trybie konkursowym pieniądze na najlepsze badania podstawowe prowadzone w Polsce. W dużej mierze niezależna od polityków. Dla przyzwyczajonych do konkurowania na pomysły badaczy takie finansowanie było normalnością i szansą na niezależność. W środowisku panuje zgoda, że to jedna z niewielu rzeczy, która się politykom w nauce naprawdę udało.

– Każdy kolejny minister przychodzi z chęcią rewolucji i rewiduje system. Mamy syndrom wiecznej zmiany. Zamiast zostawić polską naukę w spokoju, każdy ma wielką wizję, jakby chciał potem dostać pomnik – uważa prof. Jemieliński.

A jednak prof. Barbara Kudrycka, minister nauki w pierwszym rządzie Donalda Tuska (2007-13), widzi pewną ciągłość w reformowaniu nauki w Polsce, a przynajmniej u niektórych swoich następców: Jaro-

ślający pomysły Gowina z klucza politycznego, jako „pisowskie” – na początku widzieli w tzw. Reformie 2.0 rozsądne rozwiązania i szansę na zmianę. Chwalili m.in. nacisk na publikowanie w międzynarodowym obiegu, szkoły doktorskie ze stypendium dla każdego doktoranta czy specjalną ścieżkę finansowania najlepszych badań na uczelniach. Potem mówili, że ustawie wybito zęby. – Środowisko naukowe pod płaszczykiem współpracy z ministerstwem powoli rozważniało wszystkie te rozwiązania tak, że stały się nieskuteczne – mówił niedawno „Wyborczej” prof. Marcin Nowotny, szef Laboratorium Struktury Białka w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie.

Część środowiska protestowała, widząc w reformie zagrożenie dla badaczy i autonomii uczelni. – Celem reformy jest stworzenie sytuacji, w której każdy naukowiec stanie sam wobec potężnej maszyny wielkich wydziałów, które bezwzględnie oceniają jego przydatność. Tych, którzy nie będą pasowali do nowego modelu korponaukowca, czekać może zwolnienie – mówił podczas protestu na UW jeden z największych krytyków zmian, dziś wiceminister nauki, dr hab. Maciej Gdula.

Za zmianami i tym razem nie poszły pieniądze. Gowin co roku „apelował” o zwiększenie nakładów i na tym się kończyło. Rząd PiS – jak wszystkie poprzednie – miał ważniejsze priorytety. Minister zaczął też majstrować przy własnym systemie mającym podnosić jakość pracy naukowej, np. podniósł punktację dla czasopism Instytutu Pamięci Narodowej na słynnej liście czasopism, dopisał kilka tytułów, w których publikuje katolicko-narodowa profesura zajmująca się humanistyką.

Zjednoczona Prawica upolityczniła też powołany w 2011 r. Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, który miał być odpowiedzią na problemy finansowe zgłaszane przez humanistów. W 2016 r. Gowin zdymisjonował radę programu, powołał własną i ogłosił zmianę formuły. Przyznał sobie prawo do wyznaczania obszarów finansowania badań. Jako pierwsze wskazał „dziedzictwo Polski Jagiellonów”. Bo – jak tłumaczył – Jan Paweł II „mówił o Polsce Jagiellonów, Polsce wielu kultur, wielu narodów, wielu religii jako o prototypie Unii Europejskiej”.

Minister Czarnek dokończył dzieła. – Brakuje nam poważnych projektów historycznych, które od-

## Według raportu „Nauka w Polsce 2023” większość prac polskich naukowców „cechowała się najniższym poziomem wpływu, jak i umiędzynarodowienia. Jedynie 35 proc. prac powstało w międzynarodowym współautorstwie”

śława Gowina i Dariusza Wiczorka. – Powtarzane są dokładnie te same hasła i argumenty, które były uzasadnieniem dla reform z lat 2007 i 2015: poprawa jakości nauki, jej odpolitycznienie, umiędzynarodowienie i zwiększenie funduszy na naukę – mówi.

Kudryckiej udało się podnieść jakość pracy polskich uczelni i nauki do rangi ważnego tematu politycznego. Pierwsza wypomniała rektorom, że uczelnie nie wytrzymują porównania ze światową czołówką. Przegrała bój o zniesienie habilitacji, za pomocą której – jak tłumaczyła – stara kadra blokuje młodych naukowców. Ale wprowadziła pierwsze listy czasopism i zaczęła rozliczać naukowców z tego, co publikują. Oprócz NCN powołała do życia Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Podstawowym zarzutem wobec jej resortu był brak pieniędzy na finansowanie nauki. Wyszło na to, że naukowcy mieli konkurować o niewiele większe zasoby. Czyli lekarz wystawił diagnozę, skierowanie na zabieg i przepisał receptę, ale nie było za co zoperować i wykupić leku. Albo inaczej – znalazł się kij, ale nie było marchewki. Ministrę spotkało też to, czego potem, w pierwszych latach rządów PiS, doświadczył minister Gowin: wiele reform w trakcie negocjacji z uczelniami karłało i zostawały z nich raczej drobiazgi i szczegóły.

Naukowcy, którzy – inaczej niż publicyści i komentatorzy niezwiązani z nauką, odruchowo skre-

krywałyby prawdę o Polsce i o Polakach – stwierdził w 2021 r. w TVP Info. Od nowa ułożył 14-osobową radę. Znaleźli się w niej m.in. prof. Mieczysław Ryba, historyk KUL i radny PiS w sejmiku województwa lubelskiego, autor napastliwej wobec Cerkwi grekokatolickiej, a zdaniem wielu antyukraińskiej pracy „Kościół i państwo na kresach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej”, czy specjalizujący się w historii Niemiec prof. Grzegorz Kucharczyk, który zasłynął stwierdzeniem, że „LGBT to kulturkampf XXI wieku na wielu polskich uczelniach”.

Trwające od 2020 r. rządy Czarnka w nauce to postępujący demontaż tych zrębów nastawionego na jakość systemu, które mozolnie, ale udało się zbudować. Minister-prawnik z PiS systematycznie głośił Narodowe Centrum Nauki, bo nie podobał mu się fakt, że nie ma bezpośredniego wpływu na to, kto dostaje finansowanie, i nie może np. „hamować zapędów ideologii gender na uniwersytetach”. W ciągu ostatnich pięciu lat budżet NCN wzrósł zaledwie o ok. 13 proc., co nie pokryło nawet potrzeb wynikających z inflacji. Bolesnie odczuli to naukowcy, którzy aplikowali o granty – współczynnik sukcesu w konkursach spadł poniżej 10 proc. Dotował za to powołaną za PiS Akademię Kopernikańską, która miała być „kuźnią elit” i „wznosić na wyżyny naukę europejską i światową”. A punktacja czasopism po licznych, ręcznych modyfikacjach – np. „Pedagogika Katolic-

ka” czy „Cement, Wapno, Beton” dostały maksymalną punktację, niczym „Science” czy „Nature” – stała się karykaturą i zupełnie przestała odzwierciedlać jakość i prestiż czasopism.

– Powrót do upolitycznienia nauki poprzez tworzenie konkursów tylko „dla swoich”, jednoosobowe zmiany dokonywane przez ministra w rankingach komisji konkursowych czy w ocenie czasopism naukowych, niemające nic wspólnego z wartością naukową, doprowadziły do powrotu bylejakości w nauce – ocenia prof. Kudrycka. Jej zdaniem właśnie przez to poziom nauki w Polsce wrócił do poziomu z lat 2007-08.

Co więc zastała nowa ekipa w Ministerstwie Nauki? – Niektóre instytucje grantowe utraciły niezależność, inne były w trakcie. Szalenie trudno będzie to odwrócić. Potrzeba lat ciężkiej pracy – mówi prof. Żylicz. – Mamy nieczytelny system, nieprzyjazny dla ludzi robiących dobrą naukę. Człowiek, szczególnie na początku, powinien móc sobie wyobrazić, w jakim punkcie kariery może być za 10, 20 i 30 lat.

W Polsce to gra przypadków – mówi prof. Niesiołowski-Spano. – Mamy wyspy doskonałości, ale patrząc na cały system i mechanizmy, które nim kierują, jesteśmy w PRL-u. Żyjemy w ustawicznej kulturze deficytu. Mamy za mało etatów, za mało grantów, za mało na odczynniki i konserwację sprzętu i tak dalej. Nieustannie kombinujemy, skąd zdobyć pieniądze, zamiast myśleć o pomysłach na badania.

Za unijne pieniądze postawiliśmy nowoczesne budynki, wyposażyliśmy laboratoria, ale zapomnieliśmy o ludziach. – Wielu naukowców chce realizować ambitne projekty, wygrywa konkursy i zdobywa finansowanie na badania, lecz nie ma dostatecznego dostępu do aparatury i infrastruktury – mówi specjalizująca się w chemii makrocząsteczek dr hab. inż. Róża Szweda.

Naukowczyni w ubiegłym roku zdobyła prestiżowy grant ERC dla młodych naukowców (ERC Starting Grant). Planuje stworzenie makrocząsteczek, które będą mogły naśladować funkcje reprezentowane przez żywą materię. To pomogłoby w opracowaniu innowacyjnych materiałów, wykorzystywanych w przyszłości na przykład w medycynie czy zielonych technologiach. Zamierzała zrealizować grant (i inne, które zdobyła wcześniej) w świetnie wyposażonym instytucie Łukasiewicz PORT we Wrocławiu. Ale napotkała wiele systemowych trudności i zdecydowała się kontynuować badania na uczelni. System grantowy na badania podstawowe nie przystawał do polityki Łukasiewicza, skoncentrowanej na szybkiej ścięzce do komercjalizacji. Na początku tego roku przeniosła swoje projekty i zespół do Centrum Zaawansowanych Technologii UAM.

Badaczka wróciła do Polski pod koniec 2019 r. i ciągle mierzy się z rzeczywistością polskiej akademii. Chroniczny brak pieniędzy na naukę, nieustająca walka o sprzęt i infrastrukturę doprowadziły do tego, że naukowcy, często kosztem pracy badawczej, urządzają biura i laboratoria, a potrzebne sprzęty kupują z budżetu grantów badawczych, o które zabiegali. To powoduje, że nierzadko zamykają je na klucz. – Brak jest ogólnodostępnych laboratoriów, wyposażonych w podstawową aparaturę badawczą, z której naukowcy realizujący projekty mogliby korzystać. Na przykład spektroskopii do podstawowej charakterystyki związków chemicznych w miejscach, gdzie realizowane są projekty w dziedzinie chemii – mówi dr Szweda.

Badacze chóralnie powtarzają: jeśli oczekujemy od naukowców pracy na światowym poziomie, potrzebne są także bardziej zaawansowane technologicznie instrumenty badawcze. A to wymaga zwiększenia finansowania nauki. Dodatkową trudnością jest to, że nie ma systemu, który sprzyjałby współpracy między ośrodkami badawczymi, by efektywnie wykorzystać to, czym już dziś dysponujemy.

Według danych GUS wartość brutto aparatury w instytucjach naukowych wynosiła pod koniec 2021 r. 16,5 mld złotych. Najwięcej (65 proc.) pod względem wartości zgromadziły uczelnie publiczne. Jak czytamy w raporcie OPI, „pomimo inwestycji w środki trwale aparaturę badawczą charakteryzuje wysoki stopień zużycia”.

Pieniądzy na konserwację sprzętu też brakuje i coraz częściej dyrektorzy jednostek próbują przerzucać te koszty na kierowników projektów. – Brak pieniędzy na wszystko, laboratoria, sprzęt, dydaktykę, uposażenie ma szersze oddziaływanie. Nie sprzyja budowaniu przyjaznej kultury pracy i dzieleniu się dobrymi praktykami. Niepewność jutra, brak stabilnych warunków realizacji projektów sprawiają, że to nie jest przyjazna przestrzeń do pracy dla naukowca – mówi badaczka.

## Mocarstwo w liczbach

### Na 5 miejscu

w UE jest Polska pod względem liczby badaczy

### 537 tys. prac naukowych

– w większości artykułów – opublikowali Polacy w minionych 5 latach

### 87 prestiżowych grantów

Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych trafiło z ponad 16 tys. przyznanych trafiło do Polski

### 70 euro rocznie

kosztuje nauka jednego obywatela Polski. Unijna średnia to 120 euro

### 16,5 mld złotych

wynosi wartość aparatury badawczej w instytucjach naukowych według GUS

### Około 7 tys. zł

na rękę dostaje zatrudniony w projekcie NCN aukowiec na post-doku. Na stanowisku badacza – o połowę mniej

### 1000 – 1500 zł

netto miesięcznie zarabia kierownik projektu NCN, który już gdzieś jest zatrudniony (np. na uczelni lub w instytucie naukowym)

### 38,4 mld zł

wynoszą w tym roku wydatki na naukę i szkolnictwo wyższe. W 2020 r. – 25,6 mld

W atmosferze codziennego borykania się z barierami natury administracyjnej, wiązania końca z końcem trudno robić to, do czego naukowiec jest powołany. – Ciągłe walczymy o przetrwanie, miejsce, o dostęp do sprzętu, o to, by móc wykonywać swoją pracę. Ale ja mimo to nie poddaję się – dodaje.

A do tego zdarza się, że w Polsce jest zwyczajnie drożej. – Za te same pieniądze mogę tu kupić mniej niż w Wielkiej Brytanii. Za niektóre odczynniki płacę w Polsce kilkakrotnie razy więcej. Z jednej strony dlatego, że Uniwersytet Oksfordzki ma wynegocjowane ogromne zniżki, ale też tam nie płaci się VAT-u ani za odczynniki, ani aparaturę do badań – mówi dr hab. Kamieniarz-Gdula.

– Prowadzę teraz trzy granty, mam duże gro-no odnoszących sukcesy doktorantów. A zastanawiam się, czy jesienią i zimą będę w stanie zapłacić rachunki. Szukam dodatkowej pracy, żeby mieć pewność, że się utrzymam. Myślę czasem, że mógłbym pożegnać naukę – opowiadał niedawno „Wyborczej” dr hab. Łukasz Okruszek, profesor w Instytucie Psychologii PAN. Mówił o laboratoriach, gdzie jest mnóstwo aparatury używanej tylko w takim stopniu, na jaki pozwalają zewnętrzne granty.

Niewiele dziś zostało z atmosfery, którą opisywał siedem lat temu „Nature”. – Młodzi badacze na Zachodzie w ogóle nie biorą Polski pod uwagę, planując karierę po doktoracie. W kapitalistycznym systemie nauki, zanim dostanie się stałą posadę, trzeba zrobić kilka post-doców w różnych miejscach. Naukowcy jeżdżą między różnymi ośrodkami na świecie. My nie istniejemy w ich wyobraźni jako miejsce, gdzie można zrobić staż podoktorski. Trochę przyjeżdża do nas zdolnych ludzi z globalnego Południa, z Pakistanu, z Indii, bo dla nich Polska to atrakcyjny kierunek, rozwinięta gospodarczo, zamożna i w Unii Europejskiej. Niestety, nasz system nie przystaje do tego, co jest standardem na tzw. Zachodzie – mówił „Wyborczej” prof. Moskalewicz.

– Zgłaszają się do mnie badacze z krajów Unii, na przykład z Hiszpanii i Włoch, którzy chętnie przyjechaliby do nas na staż podoktorski, bo nasz zespół prowadzi badania na wysokim poziomie i zaczyna być rozpoznawalny międzynarodowo. Ale kiedy proponuję im możliwe do zaoferowania wynagrodzenie z grantu w NCN, mówią, że więcej zarabiali jako doktoranci w swoich krajach – opowiada dr Róża Szweda.

Stawki w NCN są dokładnie określone. Wysokość dodatków, które można wypłacić osobom, które są

już gdzieś zatrudnione (np. na uczelni lub w instytucie naukowym), jest niezmienna od lat. W przypadku kierownika projektu to około 1000-1500 zł netto miesięcznie. W 2022 r. nieco wzrosły wynagrodzenia dla naukowców zatrudnianych w projekcie (na co najmniej pół roku). W przypadku post-doców to około 7 tys. zł na rękę. Na stanowisku badacza – o połowę mniej.

O młodych, którzy chcieliby zostać w nauce, w ogóle jest dziś coraz trudniej. Rekrutacja doktorantów do pracy przy projektach trwa nawet po kilkanaście miesięcy, bo alternatywą dla tych najzdolniejszych są znacznie lepiej płatne posady na rynku. – Poczucie stagnacji i zniechęcenia będzie obcinać potencjał, który mamy w Polsce – mówiła „Wyborczej” prof. Justyna Olko, historyczka i etnologa z UW.

Prof. Anna Matysiak z Uniwersytetu Warszawskiego, która specjalizuje się w demografii, obawia się odpływu naukowców za granicę albo do biznesu. – Jeśli nauka ma polegać głównie na tym, że uczą, ale nie mają środków na zebranie danych, wyjazdy zagraniczne, realizację pomysłów badawczych, dlaczego mają zostawać w zawodzie? Zwłaszcza że wynagrodzenie jest relatywnie niskie w porównaniu z tym, co można zarobić w sektorze prywatnym – mówi.

„Naprawianie państwa po latach rządów niekompetentnych populistów, czy jak to ktoś celnie określił, amoralnych dyletantów, na pewno nie jest łatwe. Pytanie, czy można to robić rękami innych dyletantów?” – pisał w październiku na łamach „Wyborczej” były szef NCN prof. Zbigniew Blocki.

Po niemal roku rządów kierownictwo Ministerstwa Nauki jest na cenzurowanym. Nie ma tygodnia, by minister Dariusz Wieczorek nie musiał się z czegoś tłumaczyć lub coś odkręcać. Działa trochę w trybie od pożaru do pożaru.

Zacząło się od byłego wiceministra sprawiedliwości z Lewicy Bartłomieja Ciałyńskiego, który pojechał na wakacje służbowym autem. Polityk szybko stracił stanowisko w rządzie i posadę w jednym z instytutów Łukasiewicza we Wrocławiu. Jednak poruszył lawinę, bo środowisko zaczęło bacznie się przyglądać polityce kadrowej nowej ekipy.

Ale nauka na poważnie przebiła się poza środowiskową baniek za sprawą IDEAS NCBR, jednego z głównych ośrodków rozwoju sztucznej inteligencji w Polsce. Kiedy jej pierwszy prezes i ceniony w świecie badacz prof. Piotr Sankowski przegrał w konkursie z bliżej nieznanym w środowisku doktorem Grzegorzem Borowikiem z NASK, naukowcy domagali się ujawnienia kryteriów i szczegółów konkursu. Z IDEAS odeszła cała międzynarodowa rada naukowa. Ministerstwo powtarzało, że konkurs był transparentny, a spółka przynosiła straty, zapowiadało audyt. Koniec końców sprawę załatwiła obietnica powołania nowego IDEAS – w formie instytutu naukowego i z udziałem kilku uczelni – z prof. Sankowskim na czele.

Kontrowersje wzbudził też konkurs na szefa Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, którego minister w ogóle nie musiał organizować. Przepisy pozwalały mu wskazać osobę na to stanowisko. A jednak rozpiśtał konkurs z komisją złożoną w większości z urzędników jego resortu. I wyszło na to, że wicedyrektorka NAW-y przegrała z kandydatem z zewnątrz głosami jednej osoby. Punkty obcięto jej za „znajomość problematyki NAWA”.

Badacze zwracają uwagę, że minister kontynuuje niedobrą tradycję poprzednika i nie organizuje konkursu do swoich ważnych ciał doradczych, jak Komitet Polityki Naukowej czy Rada ds. Innowacji. Minister Wieczorek zaznacza, że jego resort konsekwentnie naprawia to, co popsuł Czarnek. Zapewnia, że dziś już minister nie decyduje o tym, kto zwycięży w konkursie, skończyło się też rozdawanie pieniędzy po uważaniu.

– Napisałem w serwisie X, że nauka tonie z frustracji, bo kolejne ruchy Ministerstwa Nauki powodują, że zwyczajnie robi się coraz gorzej – kwituje tego typu tłumaczenia prof. Jemieliński. I nie chodzi tylko o dziwne ruchy kadrowe czy wpadki.

Gorzej, że nie wiadomo, w jaką stronę to wszystko zmierza. – Dostajemy sprzeczne sygnały. Jeden z wiceministrów mówi, że największą bolączką reformy Gowina był „nacisk na umiędzynarodowienie w sensie konieczności publikowania po angielsku”. Drugi otwiera konferencję na temat umiędzynarodowienia i przekonuje, że jest dla polskiej nauki kluczowe – mówi prof. Żylicz. – Mogę długo wy-

mieniać to, co się Gowinowi nie udało, ale postawienie na to, że nauka ma być weryfikowalna, więc porównywalna, uważam za pozytywne i kluczowe. Tak się dzieje w całym naukowym świecie.

A zmiany na gorsze, choć drobne, już widać. – Od 30 lat wszystkie konkursy w Funduszu Nauki Polskiej są przeprowadzane w języku angielskim. Przez ten czas wnioski o granty recenzowało dla nas kilka tysięcy ekspertów z całego świata. Nowy rząd zabrał możliwość składania wniosków w obu językach – polskim i angielskim. Ma być wyłącznie po polsku – mówi prof. Żylicz. – W ostatnim roku brakuje mi jasno określonej polityki, która doprowadzi do tego, że naukowcy ponownie uwierzą, że merytoryczna konkurencja na poziomie krajowym i międzynarodowym może przynieść im sukces – ocenia minister Kudrycka. I dodaje: – Brakuje mi twardych decyzji zmierzających do wyraźnego odpolitycznienia nauki.

Naukowcy zastanawiają się, na co przełożą się niektóre zapowiedzi wiceministra Macieja Gduli, który uważa, że trzeba złagodzić kryteria oceny naukowców, zmniejszyć presję. Gdula, doktor socjologii, który sam prowadził badania, tłumaczy, że na naukę nie można patrzeć jak na sport wyczynowy, „gdzie są wyraźnie zdefiniowane reguły i gdzie chodzi o to, by wypaść jak najlepiej: w szybkości biegu, udźwigu, podrzucie”. – Na system nauki powinniśmy patrzeć raczej jak na las, który może mieć różne funkcje: można na niego patrzeć jako na miejsce produkcji desek – ale takie patrzenie zaowocuje monokulturą. Ale można też patrzeć na niego jako na miejsce wypoczynku, miejsce zbierania runa leśnego, ostoi bioróżnorodności czy edukacji – mówił.

– Uważam tą wizję za porażającą i będącą bezpośrednią kontynuacją wizji ministra Czarnka, tylko bez groteskowych wstawek ideologicznych – odpowiada prof. Jemielniak. Dodaje, że konsekwencje dotkną młodych zdolnych, których wybitne, międzynarodowe osiągnięcia będą zrównywane z przeciętnymi lokalnymi. Wiceszef PAN jest jednym z największych krytyków wiceministra Gduli, od kiedy ministerstwo położyło na stole własny pomysł na reformę PAN. Momentalnie wybuchła awantura, w której żadna ze stron nie przebierała w słowach.

Minister tłumaczył, że reforma „jest przełamaniem trwającej od lat niemożności”. PAN na to mówił wręcz o „orbanizacji nauki”. Na przygotowanym w błyskawicznym tempie projekcie naukowcy nie zostawili suchej nitki. Krytykują zbyt duże uzależnienie Akademii i jej finansów od ministra nauki, rozcieńczenie decyzyjności poprzez osłabienie prezesa przy jednoczesnym powiększeniu składu pozostałych organów PAN (prezydium i zgromadzenia ogólnego) oraz odsunięcie od realnej władzy korporantów seniorów.

Nawet najwięksi krytycy Akademii, którzy od lat alarmują o jej skostnieniu, mówili, że co do zasady ministerialny projekt niewiele zmieni, jeśli chodzi o jakość badań. Zadowoleni są dyrektorzy części instytutów naukowych, którzy w końcu dostaną wpływ na zarządzanie instytutą, którą współtworzą. – Będzie więcej dyskusji, więcej negocjacji i więcej zgody. Mniej zakulisowych gier i załatwiania spraw w gabinetach – przekonywał na łamach „Wyborczej” minister Gdula. Tłumaczył, że chce „większej demokratyzacji PAN, jej zdynamizowania i usunięcia systemowych konfliktów w tej instytucji”.

Ta „demokratyzacja” martwi niektórych naukowców, nie tylko w kontekście PAN. Szczególnie jeśli chodzi o finansowanie nauki. – Słyszę zapowiedzi, które brzmią tak jak to, co mówił minister Czarnek, że ma być po równo, że pieniądze trzeba rozsmarować dokładnie, nawet po ośrodkach średnich i słabych, bo im też się należy – mówi prof. Niesiołowski-Spano.

Ministrowi Wieczorkowi trzeba oddać, że dobre wyczuwa nastroje środowiska. Zapowiedział, że w grudniu zainauguruje wielką debatę nad polityką naukową państwa. – Trzeba będzie znaleźć konsensus, by finansowanie i zarządzanie nauką było jasne i klarowne – mówił na początku listopada w Sejmie.

O reformach resort może jeszcze z naukowcami dyskutować, może je modyfikować lub odkręcać. Ale największy, bo konkretny cios przyszedł wraz z projektem budżetu państwa na 2025 rok. Polska wyda w przyszłym roku 34 mld zł. Niewiele więcej niż teraz. Dla porównania: 222 mld zł zaplanowano na ochronę zdrowia, 186,6 mld zł na obronność, 8,4 mld zł na program „Aktywny rodzic”, czyli tzw. babciowe.

Trzeba przyznać, że minister Wieczorek przygotowywał na to środowisko od początku roku. Mówi-

ził na przykład, że wydatki zaplanowane przez jego poprzednika obciążają budżet resortu na kolejne trzy lata. Radził uczelniom, by się łączyły, bo „więcej pieniędzy nie będzie”. Od miesięcy tłumaczył, że budżet państwa jest przestawiony na obronność. Wielu brało jednak za dobrą monetę to, że w pierwszych miesiącach nowego rządu naukowcy i pracownicy akademicy dostali odpowiednio: 30 i 20 proc. podwyżki, a minister znalazł dodatkowe pieniądze dla instytutów naukowych PAN (choć, jak się okazało, nie doszacował potrzeb i szybko zamiast wsparciem stały się kością niezgody) oraz – po interwencjach naukowców – dosypał 200 mln zł dla NCN.

Jesienią okazało się, że na więcej naukowcy nie mogą liczyć. 1,07 proc. PKB to jeden z najniższych poziomów nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe w XXI wieku. Od razu pojawiły się pytania o skuteczność ministra i pozycję Nowej Lewicy w rządzie, w którym karty rozdaje dominująca Koalicja Obywatelska, jako tako licząca się tylko z Trzecią Drogą – słabnącą w sondażach, ale liczącą się politycznie ze względu na PSL.

Pytania stały się głośniejsze, kiedy na jaw wyszedł list, który Wieczorek wysłał w sierpniu do ministra finansów Andrzeja Domańskiego. Pisał w nim m.in., że „przyjęty poziom wynagrodzeń – istotnie niższy od wzrostu minimalnego wynagrodzenia za pracę – spowoduje dalsze splaszczenie struktury wynagrodzeń na uczelniach, prowadząc do demobilizacji najlepszych naukowców”. „Sytuacja, w której co dwunasty aplikujący projekt badawczy ma szansę na finansowanie, musi ulec poprawie” – przekonywał. Tłumaczył, że dosypanie NCN „rzutem na taśmę” 200 mln zł na początku roku „zostało odebrane przez naukowców z aprobatą i dużą nadzieją na nowe otwarcie”. I dodawał: „Nie można zaprzepaścić tego kapitału”. Postulował o 300 mln zł więcej, czyli dokładnie tyle, ile wyliczyła Rada Naukowa NCN. Centrum tłumaczyło, że bez tych środków będzie musiało zawiesić lub ograniczyć liczbę niektórych konkursów.

Rząd nie dał się przekonać. Mimo że minister fi-

## Prof. Marcin Nowotny o reformie Gowina: Środowisko naukowe pod płaszczykiem współpracy z ministerstwem powoli rozwadniało te rozwiązania tak, że stały się nieskuteczne

nansów ma – jak ujął to publicysta ekonomiczny „Wyborczej” Witold Gadomski – sprawić, żeby „pieniądze były”, wyczarowując miliardy dla samorządów, przedsiębiorców czy młodych – uznał potrzeby naukowców za mniej istotne, a ryzyko związane z ich gniewem za znikome, bo dorzucił tylko 50 mln zł więcej.

Sam Domański uważa, że oszczędności mogą poszukać teraz posłowie. Wskazuje instytucje, które same ustalają poziom swoich wydatków, jak Instytut Pamięci Narodowej i Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Podkreśla, że można by z nich wyciąć około 200 mln zł i przesunąć na potrzeby nauki. Dla porównania: planowany budżet IPN to w 2025 r. 650 mln zł.

Ministrowi nauki nie udało się też wynegocjować tyle, by w pełni zabezpieczyć na przyszły rok instytuty naukowe PAN. W tym roku lata ich budżety tym, co zaoszczędził we własnym resorcie.

– Zwiększenie funduszy na naukę było i jest największym problemem każdego rządu – zastrzega prof. Kudrycka. Tylko powody są różne: za jej kadencji światowy kryzys finansowy, dziś wojna w Ukrainie. A minister Wieczorek podkreśla, że przeciw rządząca koalicja i tak znacznie podniosła wydatki na naukę i szkolnictwo wyższe po latach zaniedbań PiS. – Naprawiamy historyczne błędy – mówił w Sejmie. Resort nauki chwali się, że w 2024 i 2025 r. nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe rosną o rekordowe 8,2 mld zł (ok. 7 mld poszło na tegoroczne podwyżki pensji).

Optylizmem powiało niespodziewanie w ostatniej chwili, tuż przed końcem roku. Otóż narrację o “wy-

równywaniu krzywd i niesprawiedliwości” podjął premier, który w tym tygodniu nagle oznajmił, że przekaże uczelniom 1,5 mld zł w obligacjach skarbowych. Pieniądże dostaną te, które PiS traktował po macoszemu. - Ci, którzy żyli jak pączki w maśle za czasów naszych poprzedników, mają dziś mniej powodów do radości - mówił Tusk.

Finansując inwestycje za pomocą obligacji, premier kontynuuje to, co wymyślili w 2019 r. poprzednicy; premier Mateusz Morawiecki rozdał w ten sposób w sumie 2,7 mld zł w 2022 i 2023 r.

Ministerstwo nauki ogłosiło sukces. - Gdy mówiliśmy, że wciąż są szanse na dodatkowe środki na naukę słychać było głównie sceptyków - napisał w serwisie X wiceminister Gdula.

Ale diabeł tkwi w szczegółach. Bo – jak precyzuje minister – dodatkowe pieniądze pójdą na “dokonczenie inwestycji na uczelniach”, a to oznacza stawianie kolejnych budynków (lub ich modernizację) i remonty a czasem też zakup wyposażenia, w tym aparatury badawczej. Środki zostaną rozsmarowane po niemal wszystkich uczelniach w kraju. Zgodnie z zapowiedzią wyłączono te, które wiceminister nauki Marek Gzik nazywa “pieszczochami Czarnka”, czyli 30 uczelni, które w latach 2020-23 dostały nieproporcjonalnie większe wsparcie niż pozostałe. A dokładnie kwotę, która przekraczała jedną trzecią ich regularnej subwencji z budżetu państwa.

Każda z pozostałych 71 publicznych szkół wyższych coś dostanie (i to odróżnia pomysł Tuska; z „puli Morawieckiego” jedna trzecia kwoty, czyli 871 mln zł, trafiła do dwóch uczelni z Wrocławia, rodzinnego miasta byłego premiera). W czym więc problem?

Otóż nauki to raczej nie popchnie do przodu. Bo niektóre dostaną tylko milion lub dwa na konieczne remonty czy modernizacje budynków. Część środków pójdzie na rewitalizację akademików i budynków, gdzie odbywają się wykłady. Kilkanaście projektów dotyczy kontynuacji dużych inwestycji, jak rozbudowa Collegium Medicum na UJ czy centrum Alchemium Uniwersytetu Łódzkiego.

To wszystko rzeczy ważne i potrzebne, można argumentować, że te podstawowe inwestycje zaowocują po latach, bo osiągnięcia naukowe są również długofalową pochodną zmotywowanych studentów i porządnej bazy akademickiej. Ale - uważają komentatorzy - to nie jest coś, co napędzi badania.

Reakcja naukowców na niespodziankę była natychmiastowa, ale chyba nie taka, jakiej oczekiwał premier. Komentowali, że to znowu zastrzyk pieniędzy dla szkolnictwa wyższego, a nie dla nauki.

Na pocieszenie minister Wieczorek ogłosił, że wygospodarował w swoim tegorocznym budżecie dla instytutów PAN nie 40 mln zł, jak zapowiadał, a dodatkowe 100 mln. - To powinno wyrównać zaległości, do których doprowadził poprzedni rząd - stwierdził.

– Nie możemy już liczyć na to, że nauka będzie szła do przodu własnym rozpędem mimo tak niskiego poziomu finansowania – uważa dr hab. Kamieniarz-Gdula. – Słyszymy, że czołgi są ważne i zagryzamy zęby, bo jesteśmy środowiskiem, które naprawdę dużo rzeczy jest w stanie zrozumieć. Już nieraz przeżyliśmy tę gorzką pigułkę. Ale władza nawet nie próbuje wyznaczyć nam wiarygodnych punktów w przyszłości, które byłyby takim wyznacznikiem nadziei: wytrzymajcie, cierpliwości, wtedy i wtedy się poprawi – mówi prof. Niesiołowski-Spano. – Bez nauki nie zbudujemy dumnego, nowoczesnego, rozwiniętego kraju.

W dzisiejszym świecie każdy aspekt funkcjonowania państwa opiera się na technologii i nauce. Także w tak dla nas ważnej obronności – przeko-

nuje prof. Nowotny. – Przecież nie chodzi o to, jaki politycy mają pomysł na naukę, tylko na Polskę. Czy mamy być montownią sprzętu, czy nowoczesnym, rozwijającym się krajem? – pyta retorycznie Kamieniarz-Gdula. Jej zdaniem dziś to wygląda tak, jakby brakowało nam ambicji. – Wszyscy od lat wiedzą, co należy zrobić, tylko nikt nie jest tym zainteresowany – mówi prof. Niesiołowski-Spano.

Profesor starożytnik przypomina, że kolejne ekspertyzy i raporty, które trafiają na biurka polityków, mówią od lat to samo: sukces w gospodarce odniesie ten, kto potrafi sam wymyślić i robić nowe rzeczy, a nie ten, kto tylko kopiuje to, na co wpadli inni. – Wiedzą to rektorzy, dyrektorzy instytutów, prezesi PAN, ministrowie, premierzy, z tą wiedzą oddają swoje kadencje i wracamy do punktu wyjścia – dodaje. Jego zdaniem państwo polskie po prostu nauki nie ceni i nie szanuje tego, co robią badacze. – Przez te lata środowiska kultury i sztuki odnieśli większy sukces w zjednywaniu sobie społeczeństwa. Elity uważają, że dobrze jest mieć sztukę – kwituje.

Z raportu stworzonego w ubiegłym roku na zlecenie rektorów największych polskich uczelni ekonomicznych wiadomo, że jedna złotówka wydana na badania i naukę przynosi 8-13 zł zwrotu do gospodarki. Tyle że aby na poważnie myśleć o zwrocie z inwestycji w naukę, trzeba co najmniej podwoić wydatki. Na początku listopada unijni przywódcy przyjęli tzw. deklarację budapeszteńską, w której zobowiązali się m.in. do zwiększania konkurencyjności gospodarki UE. Po raz kolejny zapisali w niej, że państwa unijne powinny wydawać co najmniej 3 proc. PKB na badania i rozwój (tym razem ustawili granicę dojścia do tego poziomu na 2030 r.).

W Polsce te ograniczone środki na naukę są rozsmarowywane po całym, w wielu miejscach dysfunkcyjnym, systemie. Mimo powtarzanych od dawna postulatów, by wydawać pieniądze mądrzej i w przejrzysty sposób – mocniej dotując najlepszych, ale też chroniąc to, co strategiczne i ważne z punktu widzenia państwa. – Problem w tym, że zmiana nie zadzieje się w czasie jednej kadencji, a taką perspektywę mają politycy – zauważa prof. Jemieliński.

**Prof. Łukasz Niesiołowski-Spano:**

*Człowiek powinien móc sobie wyobrazić, w jakim punkcie kariery może być za 10, 20 i 30 lat. W Polsce to gra przypadków. Mamy za mało etatów, za mało grantów, za mało na odczynniki i konserwację sprzętu. Nieustannie kombinujemy, skąd zdobyć pieniądze, zamiast myśleć o pomysłach na badania*

Co potwierdza była minister: – Politycy są żywotnie zainteresowani takimi zmianami, których efekty widoczne są dla społeczeństwa szybko, jeszcze za ich kadencji, jak 500+ czy 800+ – mówi prof. Kudrycka. Co gorsza – zauważa – na ograniczoną wyborczym czteroletnim horyzontem perspektywę nakłada się słabość tej grupy zawodowej. – Środowisko naukowe, mimo że opiniotwórcze, jest stosunkowo nieliczne i jego głosy nie wpływają znacząco na wynik wyborów – mówi Kudrycka.

Ale wrzuca kamyczek również do ogródka naukowców. – Obejrzałam wszystkie wiece przedwyborcze premiera Tuska i nie zauważyłam, aby kiedykolwiek wyraźnie domagano się od niego zwiększenia finansowania nauki. Przyznam, że nawet byłam tym zaskoczona. Nic więc dziwnego, że nie znalazło się to w 100 konkretach ani w planach rządu.

– Sukces Koalicji 15 Października był możliwy także dzięki aktywizacji ludzi – zgadza się Kinga Kamieniarz-Gdula. Ale właśnie dlatego ma więcej nadziei. – Myślę, że pewien ruch społeczny kielkuje także w nauce. Naukowcy z międzynarodowym doświadczeniem i mentalnością, którzy wyszli ze swojej strefy komfortu i demonstrowali w obronie demokracji, nie będą teraz siedzieli cicho. Nie damy się przeczekać. ●

## Czasopisma drapieżne, uznaniowe kryteria, nagradzanie na grodzonych. Polskie uczelnie i naukowcy to ofiary czy sprawcy?

**Maciej Górny\*, Antoni Grabowski\*\***

Atlok wydarzeń, projektów ustaw, sążnistych manifestów i kąśliwych komentarzy wokół polskiej nauki w ostatnich miesiącach może przypisać o zawrót głowy, a panujący w ministerstwie styl zarządzania potęguje wrażenie chaosu. Dla ludzi zajmujących się nauką jest to powód do niepokoju. Akurat w tej dziedzinie obecność na pierwszych stronach gazet nikogo cieszyć nie powinna.

### Magia liczb

Co gorsza, przez ten medialny szum tracimy z oczu rzeczy ważniejsze od politycznych ambicji. Tymczasem nauka w Polsce to cały potężny system, który nie działa tak, jak powinien. Kluczowy mechanizm oceny dorobku uczonych należy do największych absurdów tego systemu.

Na spotkaniu Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży 5 listopada 2024 r. doszło do ciekawej wymiany zdań pomiędzy wiceprezsem PAN-u Dariuszem Jemielińskim a posłem PiS-u Witoldem Czarneckim. Kiedy Jemieliński stwierdził, że Przemysław Czarnek jako minister zdemolował ewaluację, poseł zareagował uściśleniem, że owszem, zdemolował, ale tylko „nieznacznie”.

Ta wymiana zdań, która wzbudziła wesołość uczestników spotkania, obrazuje problem, z jakim mamy do czynienia, mówiąc o ocenie nauki w Polsce. Wszyscy wiedzą, że jest źle, politycy przeliczają się odpowiedzialnością za tę porażkę, a publika śmieje się, w sumie niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc.

### Procedura

Procedura ewaluacji jednostek naukowych od lat wzbudza kontrowersje. Jej obecny kształt to wspólne dzieło kilku kolejnych ministrów. Dyscypliny uniwersyteckie i samodzielne instytuty naukowe ocenia się w skali od C (najgorsze) do A+ (najlepsze). Jednym z elementów mających teoretycznie wzmocnić znaczenie ewaluacji była zasada wprowadzona przez ministra Jarosława Gowina, że najniżej ocenionym jednostkom zostanie odebrane prawo nadawania doktoratów. Z drugiej strony najlepsze ośrodki miały być premiowane finansowo. Najwięcej pieniędzy miały otrzymać jednostki z kategorią A+. Powstała

by w ten sposób elita uczelni, które przejmowałyby większość środków finansowych na naukę, co pozwoliłoby im w przyszłości współzawodniczyć z najlepszymi na świecie.

Zasady, które stworzył Gowin, stanowiły ewolucję procedur wprowadzonych jeszcze przez minister Barbarę Kudrycką (2007-2013). Zresztą co do meritum panowała zgoda znacznej części środowiska akademickiego bez względu na polityczne sympatie. Nawet niektórzy politycy PO publicznie wyrażali poparcie dla wprowadzanych przez Gowina zmian (m.in. Michał Boni).

Uczelnie oceniane są w trzech kryteriach.

Pierwsze to publikacje punktowane zgodnie z bibliometrią.

Drugim kryterium są pozyskane środki finansowe (czyli im więcej jednostka zdobędzie grantów, tym ma lepszy wynik).

Wreszcie w trzecim kryterium oceniany jest wpływ na społeczeństwo, przy czym nie chodzi tylko o Polskę. Najlepiej, aby ten wpływ przekraczał granice Rzeczypospolitej.

Teoretycznie tylko ta ostatnia ocena dopuszcza pewną dowolność, dokonują jej bowiem eksperci. Kryterium pierwsze i drugie powinny być całkowicie przejrzyste, ponieważ opierają się na mierzalnych danych, które można zweryfikować. Rzeczywistość jest niestety znacznie bardziej skomplikowana.

### Czasopisma i wydawnictwa drapieżne

Pisaliśmy już o tym, że pierwsze kryterium ewaluacji od samego początku okazało się podatne na manipulacje. Polscy uczeni być może nie dotrzymują jeszcze kroku najlepszym ośrodkom światowej nauki, ale okazali się wystarczająco kompetentni, żeby przy pomocy kilku sprytnych sztuczek przechytryć system. Zresztą nie zawsze musieli podejmować taki wysiłek. Sam system podpowiada, w jaki sposób zgodnie z prawem, choć nieuczciwie, poprawić wynik ewaluacji.

Tak zwane „czasopisma drapieżne”, czyli periodyki, w których można opublikować w zasadzie dowolny tekst, jeśli zapłaciło się wydawcy, nie pojawiły się na polskich listach czasopism punktowanych wskutek oszustwa. To, że tam są, wynika z samej koncepcji tworzenia listy. W ramach dążenia do umiędzynarodowienia za podstawę listy czasopism punktowanych obrano międzynarodowe bazy czasopism: Scopus i Web of Science. Tam właśnie już wcześniej rozsiadły się czasopisma drapieżne i to wprost z tych baz trafiły do polskiej listy czasopism.

Teoretycznie można byłoby je z polskiej listy wyeliminować ręcznie, ale ministerstwo w ramach walki z lokalnymi układami uniemożliwiło ekspertom usuwanie czasopism czy zmniejszanie im punktacji, jaka wynikała ze współczynników wy-

liczanych przez Scopus i Web of Science.

A skoro już pozostały na liście, nie dziwnego, że znalazły klientów. W świecie, w którym ukanie się artykułu można czekać latami, a punktację czasopism potrafią się zmieniać wielokrotnie, drapieżniki kuszą tempem publikacji, czasem nawet kilkunastu dniowym. Czemu po to narzędzie nie sięgnąć, zwłaszcza jeśli za publikację płaci uczelnia? Nie musimy dodawać, że żadna z dotychczasowych rewizji listy czasopism punktowanych nie wyeliminowała z niej drapieżników.

Architekci ewaluacji nie poradzili sobie wprawdzie z drapieżnymi czasopismami, udało im się za to – przy wydatnej pomocy gremiów eksperckich zestawiających odpowiednie listy – wyhodować drapieżne wydawnictwa. W humanistyce funkcjonuje co najmniej kilka wydawnictw, których model działania niewiele różni się od czasopism drapieżnych.

Po uiszczeniu opłaty w zasadzie dowolna książka może w nich zostać wydrukowana i uzyskać wysoką punktację w polskiej ewaluacji.

A że o polskiej literaturze, historii czy etnografii nie tak często pisze się po angielsku, wystarcza kilka takich pozycji, żeby którąś z jednostek naukowych wywindować nawet znad krawędzi przepaści do najwyższej oceny.

### Nagradzanie nagrodzonych

Kryterium drugie ewaluacji, czyli pozyskiwanie finansowania, ma oczywiście wadę polegającą na ponownym nagradzaniu już nagrodzonych. Wydaje się jednak, że nie wzbudziło ono dotąd większych kontrowersji, zapewne także dlatego, że nie przypisano mu dużej wagi w końcowej ocenie.

Natomiast kryterium trzecie to już inna historia. Społeczne efekty działań naukowych oceniano na podstawie tak zwanych dowodów wpływu. Za każdym razem robiło to dwóch naukowców wyznaczonych przez Komisję Ewaluacji Nauki, powołane przez ministra ciało eksperckie. Kryteria tej oceny wciąż jeszcze, kilka lat po fakcie, pozostają nieznane, podobnie jak nazwiska recenzentów. Wiadomo natomiast, że jeden z owych dwóch ekspertów reprezentował inną dyscyplinę nauki. Taka metoda oceny społecznego wpływu nauki musiała wywoływać kontrowersje i rzeczywiście wiele odwołań od wyników ewaluacji dotyczyło właśnie tego kryterium.

Ukoronowaniem systemu jest najwyższa ocena: A+. Procedura jej przyznawania była dwustopniowa. Jednostki, które uzyskały najwyższe wyniki ogólne oraz najwyższą ocenę w kryterium pierwszym, przechodziły do etapu oceny eksperckiej. Podobnie jak w przypadku wpływu społecznego, nie znamy listy osób, które oceniały poszczególne jednostki, a same recenzje pozostają tajne. Do wiadomości publicznej podano wyłącznie wynik koń-

# OLOWANA NIEZNACZNIE

cowy, oceny szczegółowe są natomiast znane tylko tym jednostkom naukowym, których dotyczą. Wbrew zapowiedziom żadne recenzje nie zostały ujawnione. Jeśli celem tej procedury było podniesienie jakości nauki w Polsce, to zasadnym byłoby upublicznić przynajmniej te najlepsze, na których pozostali mogliby się wzorować.

No chyba że mechanizm ewaluacji nie był tak uczciwy, jak twierdzą jego architekci.

## UJ bez doktorantów?

Fakty wyglądają zatem następująco: wiemy, że listy czasopism i wy-

ale są to inicjatywy oddolnie i ograniczone przez dostępność danych. Na poprawę tej sytuacji raczej się nie zanoszą. W kwestii transparentności oceny jednostek naukowych aktualne kierownictwo resortu kontynuuje politykę poprzedników.

Pisaliśmy dotąd głównie o rzeczach, których na temat ewaluacji nie wiemy. Ostatnio w tym murze pojawiła się jednak wyrota – artykuł „»Dziwna klęska« pierwszej ewaluacji” autorstwa członka Komisji Ewaluacji Nauki, prof. Jana Pomorskiego, opublikowany w „Kwartalniku Historycznym” (t. 131, nr 1 z 2024 r.). Według naszej wiedzy jest to je-

żaden wybór – oględnie mówiąc – nie był dobry. Na szali była z jednej strony wiarygodność procesu ewaluacji w sytuacji, gdy podmioty dotąd uważane za najlepsze, stracą uprawnienia, a z drugiej pilnowanie jakości samego procesu oceny, na który wspólnie przecież się zgodziliśmy. Ostatecznie po długim namyśle zdecydowałem się rekomendować KEN, aby to wynik UJ wyznaczał dolny przedział kategorii B+ w KI i od niego zacząłem wyliczać możliwe wartości referencyjne dla kolejnych kategorii”.

Jak powinniśmy nazwać historię opisaną przez Pomorskiego?

osoba odpowiedzialna za uczciwość procesu ewaluacji – nie dostrzega tego rozróżnienia. W jego opinii uczelnia nieomal wzorową jest ta, która wypełniła recenzjami 25 proc. wszystkich zgłoszonych publikacji w czasopiśmie.

Na marginesie: osobny problem, który ilustruje artykuł prof. Pomorskiego, to formalna poprawność wyliczeń będących podstawą ewaluacji. Tak się składa, że historia jest dyscypliną, w której dysponujemy pełną listą publikacji podlegających ewaluacji. Pomorski podsumowuje swoje wyliczenia tabelką, w której liczbę tych publikacji podaje błędnie. W sumie w procedurze opisaną w „Kwartalniku Historycznym” nie zgadza się prawie nic, a jej przejrzystość pozostawia sporo do życzenia.

## Co dalej z ewaluacją?

W dzisiejszych dyskusjach o stanie i potrzebach polskiej nauki sprawa ewaluacji schodzi na plan dalszy. Tę poprzednią mamy już z głowy, a i rządy ministra Czarnka należą do przeszłości. Tymczasem przygotowania do kolejnej ewaluacji wchodzą w finałowy etap i właśnie teraz zapadają kluczowe decyzje w jej sprawie. Jeśli wsłuchać się w głosy ludzi, którzy mają na nie wpływ, nic nie wskazuje, aby jakiegokolwiek głębsze zmiany były na horyzoncie.

Co więcej, wydaje się, że powszechnie znane patologie poprzedniej oceny zacierają się w pamięci jej uczestników. Na przykład dziś te same osoby, które narzekają na ministra Czarnka, domagają się przyznania dodatkowych środków dla (oczywiście swoich) najwyżej ocenionych jednostek. Pogratulować dobrego samopoczucia.

Jakie wnioski należy z tej historii wyciągnąć? Ewaluacja od samego początku była skażona wadami niepozwalającymi uznać jej za uczciwą.

Winy nie ponosi ten czy inny polityk albo naukowiec.

To dzieło zbiorowe. Sam system stworzony drogą ewolucji i tak wynaturzony, że nie da się poważnie traktować wyników oceny. Myli się ten, kto uważa, że ewaluacja bez Czarnka byłaby sprawiedliwa. Zarówno przed nim, jak i po nim lista czasopism dostarczała mnóstwo możliwości wykorzystania luk systemowych i manipulacji wynikami. Można nawet zadać prowokacyjne pytanie, czy podniesienie przez Czarnka punktacji różnym „lokalnym” czasopiśmami pośrednio nie wpłynęło na osłabienie pozycji czasopism drapieżnych? Brzmi absurdalnie, ale problem w tym, że nie jesteśmy w stanie takiej możliwości wykluczyć, ponieważ wciąż jeszcze nikt nie zrobił audytu ewaluacji. Naukowcy nie mają dostępu do potrzebnych danych, a ani KEN, ani ministerstwo nie kwapi się, aby go im udzielić.

Przed nami kolejna kampania ewaluacyjna. Zanim polskie uczelnie i instytuty ponownie wejdą w tryb alarmowy, warto

zastanowić się, czemu to wszystko ma służyć.

Jeśli chodzi nam o uzyskanie wiedzy o stanie nauki w Polsce, to powtarzanie wcześniejszych procedur nie ma najmniejszego sensu. Mimo to wkrótce czeka nas powtórzenie tego samego rytuału z niewielkimi zmianami.

Historycy i socjologowie nauki już od wielu lat wskazują na pozaracjonalne aspekty myślenia naukowego. Jak jeszcze w latach 30. XX w. pisał Ludwik Fleck, o losie hipotez i kierunkach badań decydują, nierzadko nieświadomione, ideologiczne przekonania i kulturowe klisze, wdrukowane w naszą świadomość. Mimo to przywykliśmy kojarzyć naukę ze sferą racjonalności.

Najwyraźniej byliśmy w błędzie. ●



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

## Prof. Maciej Górny\*

• historyk, pracuje w Instytucie Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN. Popularyzator, publicysta (m.in. magazynu „Ale Historia”), autor książek „Między Marksem a Palackým. Historiografia w komunistycznej Czechosłowacji”, „Przed wszystkim ma być naród. Marksistowskie historiografie w Europie Środkowo-Wschodniej”, „Wielka Wojna profesorów: nauki o człowieku (1912–1923)”, „Kreślące ojczyzn. Geografowie i granice międzywojennej Europy” i – z prof. Włodzimierzem Borodziejem – „Nasza wojna. Europa Środkowo-Wschodnia”. Publikuje w renomowanych wydawnictwach międzynarodowych, kierownik grantów NCN i NPRH. Członek korespondent Austriackiej Akademii Nauk.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

## Dr Antoni Grabowski\*\*

• historyk mediewista, pracownik naukowy Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN. Autor książki „The Construction of Ottonian Kingship Narratives and Myth in Tenth-Century Germany” i licznych artykułów w polskich i zagranicznych czasopiśmie naukowych, kierownik i wykonawca grantów NCN i NPRH.

dawnictw punktowanych od samego początku nie były (i dalej nie są) rzetelne. Nie mamy natomiast pojęcia, co zadecydowało o ocenach wpływu społecznego i jakie argumenty przeważały na korzyść tych jednostek, które finalnie otrzymały kategorię A+. Jak pokazuje zabawa (dla niektórych) wymiana zdań w sejmowej Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży, z przyswojeniem tych podstawowych faktów o ewaluacji mamy poważne problemy. Komentarz wiceprezesa Jemielniaka nie jest bowiem odosobnioną opinią. Bardzo wiele skądinąd inteligentnych osób utrzymuje, że ewaluacja byłaby w zasadzie w porządku, tylko minister Czarnek ją zepsuł. Może tak, może nie. Mieliśmy szansę się tego dowiedzieć, gdyby ewaluacja była jawna. Tymczasem tak naprawdę nie mamy pojęcia, jakie efekty przyniosły zmiany Czarnka. Udało się w kilku przypadkach oszacować ten wpływ na wyniki w niektórych dyscyplinach,

dyna dotąd publiczna wypowiedź członka Komisji, omawiająca ze szczegółami, jak wyglądała ewaluacja z punktu widzenia osób ją przeprowadzających. Nie jest to obraz budujący. Oddajmy głos profesorowi Pomorskiemu, który bardzo emocjonalnie opisuje dylematy ewaluatora:

„Siedziałem cały dzień nad danymi OPI, przeliczając wszystko raz jeszcze samodzielnie. Ale wynik się nie zmieniał. Jak w tej sytuacji wyznaczyć wartości referencyjne? Czy historia na Uniwersytecie Jagiellońskim – jeśli trzymać się sztywno standardów – ma utracić prawa do doktryzowania, bo ze swoimi 203,47 punktami nie osiągnie B+ w KI? (...) Oto jeden z dylematów, przed jakimi wówczas stanąłem. A było ich przecież znacznie więcej.

Przyznaję, że była to jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu, podjęta po całonocnej nieprzespanej nocy.

Zapewne nie wszystkie określenia procedury, której wynik jest z góry określony przez czynniki pozamerytoryczne, przypadłyby mu do gustu.

Ale artykuł przynosi jeszcze kilka innych ciekawostek. Wspominaliśmy o obecności na ministerialnych listach wydawnictw działających w sposób typowy dla naukowych „drapieżników”. Czy Komisja, która oceniała jednostki naukowe, zdawała sobie z tego problemu sprawę? Okazuje się, że nie. Co więcej, wydaje się, że dla niektórych ekspertów przynajmniej jedna z kategorii A+ publikacje w tego typu wydawnictwach były wręcz czymś pozytywnym i godnym docenienia. Tak przynajmniej twierdzi Pomorski.

Idąc dalej: wiadomo, że artykuł naukowy to nie to samo co recenzja. Teoretycznie liczba punktów za tę ostatnią jest znacznie niższa niż za pełnoprawny artykuł. Pomorski – przypomnijmy:

FOT. PAP/CTK, MONTAŻ: MARIUSZ ROSA

# ANA TYŁACH CZAI SIĘ OBAJTEK

**Jeśli nie wiadomo, o co kłóci się w PiS, to chodzi o pieniądze. Wszystkich pogodzi zakup TVN?**

**Dominika Wielowieyska**

**W** obozie PiS buzuje. Poszło oczywiście o pieniądze. I o wpływy na rynku medialnym. Walka Karnowskich z Sakiewiczem weszła w nową fazę, a na tyłach czai się Obajtek. Pazerność poszczególnych odłamów obozu populistyczno-prawicowego jest legendarna, a to z kolei wywołuje wzajemne pretensje. Bo każdy ciągnie kolderkę w swoją stronę. Dwa środowiska medialne konkurują o te same pieniądze i tych samych widzów. Sakiewiczowa „Strefa Wolnego Słowa” to sieć powiązanych spółek, a w niej „Gazeta Polska” portal niezalezna.pl i TV Republika. Karnowscy kontrolują tygodnik Sieci, portal wPolityce.pl i TV wPolsce24. Jedni i drudzy apelują o wpłaty od widzów, bo odcięci od państwowej kropłówki muszą zrewidować strategię.

A teraz okazało się, że o te same pieniądze walczy też sam PiS po tym, jak PKW odrzuciła jego sprawozdanie finansowe i tym samym zablokowała partyjną subwencję z budżetu na trzy lata.

Ostatnia odsłona wojny zaczęła się od tego, że telewizja Republika Tomasza Sakiewicza kilka tygodni temu przerwała transmisję konferencji PiS, gdy prezes Jarosław Kaczyński apelował o wpłaty na konto partii. W tym czasie Republika pokazała planszę ze swoim numerem konta i zaapelowała do widzów o darowizny.

Napięcie między Sakiewiczem a Nowogrodzką jest obserwowane od dawna. Szef Republiki chciał być zaproszony do gabinetu prezesa, rościł sobie prawo do bycia równorzędnym partnerem dla Kaczyńskiego. Miał wiele dobrych rad dla partii. Uważał się za rządcę dusz już od czasu stworzenia Klubów Gazety Polskiej, które okazały się skutecznym narzędziem docierania do wyborców. A teraz urosł we własnych oczach jeszcze bardziej, bo oglądalność jego stacji po przejęciu gwiazd TVP Jacka Kurskiego urosła, a sam Donald Trump udzielił wywiadu Michałowi Rachoniowi.

Ale Kaczyński wciąż zaprosić go na rozmowę nie chciał. Prezes jest niezadowolony, że na boku urosł mu alternatywny ośrodek władzy, niezależny od Nowogrodzkiej, który kontroluje komunikację z wyborcami PiS

i chce stawiać warunki. Układ z TVP za czasów rządów PiS był wymarzony – wystarczyło, że on wykona jeden telefon i szef telewizji państwowej traci pracę. Takiej władzy nad Sakiewiczem prezes nie ma. I to go irytuje. No i w TVP Kaczyński mógł rozkazać, by nie zapraszać polityków Konfederacji.

A w Republice tak się nie da, bo Sakiewicz chce poszerzać grono odbiorców. I może się to wydać śmieszne, ale naprawdę Nowogrodzka uważa, że na antenie Republiki zbyt dużo jest krytyki PiS. Dlatego postanowił rozdzielać łaski pomiędzy telewizję braci Karnowskich a Republikę, aby żadna nie urosła nadmiernie.

Owszem, Kaczyński ostatnio wystąpił na antenie Republiki, bo namówiła go Danuta Holecka, którą lubi. Główna prezenterka „Wiadomości” za czasów PiS próbowała obniżyć temperaturę sporu. Nie udało się. Konflikt przez jakiś czas był skrywany, ale w końcu nastąpił wybuch. Joanna Lichocka, posłanka PiS z kręgu najwierniejszych, w poniedziałek na antenie Republiki zwróciła się bezpośrednio do widzów: „Żeby Karol Nawrocki mógł być prezydentem, do tego są potrzebne pieniądze na kampanię. Ja, szczerze mówiąc, troszkę się dziwię, że Telewizja Republika pokazuje tylko konto swoje, a nie informuje o tej wielkiej zbiórce, która powinna nastąpić”.

„Pani poseł, proszę się nie gniewać, ale Telewizja Republika jest rzeczywiście niezależna i pokazuje, co chce” – odpowiedział jej prowadzący program Adrian Klarenbach.

Lichocka nie dawała za wygraną: „Wiem, ale tu chodzi o sprawy Polski i też kwestie przyszłości istnienia Telewizji Republika. Ja wiem, że będziecie mnie tu zakrzykiwać, ale to jest naprawdę sprawa racji stanu. I dlatego, proszę państwa, apeluję, w pierwszej kolejności PiS, te konta, które będą przeznaczone na kampanię prezydencką Karola Nawrockiego”. Gdy Sakiewicz to usłyszał, wszedł na antenę, oświadczając: „Republika to jest skarb, który prawa strona dostała za darmo, bo bardzo niewiele w tej sprawie zrobiono, a nawet czasem bardzo przeszkadzano. Jeśli ktoś nie potrafi docenić tego skarbu, to jest po prostu niewiarygodnie głupi. Po prostu powinien zająć się czymś innym niż polityką”. I dodał, że PiS przez osiem lat nie stworzyło swoich mediów. „W Polsce nigdy nie zbudowano silnych mediów prawicowych, były media, które miały duży wpływ, ale nie było medium na tym samym poziomie konkurencyjnym z tymi największymi i Republika jest pierwszym tego typu sukcesem, którym można zrównoważyć ten potencjał drugiej strony”.

„Coś czuję, że znowu nasza rozmowa będzie analizowana na Nowogrodzkiej” – stwierdził Klarenbach. A Sakiewicz: „Bardzo dobrze, na to liczę”.

W tym samym czasie Sakiewicz postanowił zaatakować braci Karnowskich. Na poniedziałek wieczorem zaproszono Karola



Nawrockiego do Republiki, rozmowa miała trwać pół godziny, ale Holecka ją przeciągała w nieskończoność tak, aby kandydat PiS nie zdążył na wywiad do telewizji wPolsce24.pl. A swoją rozmowę Karnowscy reklamowali już od jakiegoś czasu. Dwie pieczenie na jednym ogniu: nie dość, że widzowie żyzymali się na spóźnienie, to jeszcze nie mogąc się doczekać Nawrockiego w wPolsce24.pl, przerzucali się tam, gdzie on jest.

Druga strona nie wytrzymała. Na platformie związany z Karnowskimi dziennikarz Marcin Wikło napisał wściekły: „Mimo sabotażu telewizji Republika, mieniającej się patriotyczną, i po próbie spalania kandydata, który jest na miejsce tego, kogo oni chcieli poprzeć – dr Karol Nawrocki jest w programie »Polska wybiera« w TV wPolsce24. Inny poziom rozmowy, prowadzą Marta Kielczyk i Michał Adamczyk”.

Chodzi o to, że Sakiewicz wspierał Przemysława Czarnka w wyścigu o nominację PiS. Bo Czarnek dawał pieniądze na Republikę i był postrzegany jako osoba, która będzie dbała o interesy środowiska „Gazety Polskiej”. Wikło zarzuca Sakiewiczowi, że zdradzając nazwisko kandydata kilka dni przed krakowską konwencją, chciał spalić Nawrockiego po to właśnie, by prezes PiS wskazał na Czarnka.

„Trzeba było dać omówienie wywiadu z rosyjskim ambasadorem, skoro mieliście trochę czasu” – złośliwie odpowiedział na wpis Wikły Marcin Dobski z TV Republika. Chodzi o słynny wywiad Karnowskich z ambasadorem Rosji Siergiejem Andriejewem w przeddzień agresji Putina na Ukrainę. Wojciech Biedroń, inny medialny działacz PiS związany z Karnowskimi: „Naprawdę użyłeś tego argumentu Marcin? Ty, który podejmujesz trudne, kontrowersyjne tematy? Takich argumentów używasz? Przecież ten wywiad kacapa obnażył. O to w nim chodziło”. Ale wywiad był wielką porażką. Andriejew nazwał Ukrainę „politycznym burdelem” i miał szansę zaprezentować całą serię kłamstw kremłowskiej propagandy. Sakiewicz wtedy namawiał Daniela Obajtka, by prezes Orlenu w ramach protestu wycofał reklamy z „Sieci”. Bezskutecznie. Ale bracia Karnowscy zyskali pseudonim „Kremłowscy”.

Pod wymianą zdań między obozem Karnowskich i Sakiewiczza posypały się komentarze od zwolenników PiS: „Prześcieńcie się klócić”. Bo wojna o pieniądze i wpływy mo-

że podkopać morale wyborców. Ale Sakiewicz jest zadowolony z poniedziałkowego manewru z Nawrockim. Na X chwali się, że miał ponad milion oglądalności. Co nie zmienia faktu, że wywiad był śmiertelnie nudny. Jak napisał Wojtek Szacki z Polityka Insight, Holecka jak dobra matka prowadziła Nawrockiego cały czas za rączkę, żeby się tylko nie potknął.

Ta wojna między Karnowskim i Sakiewiczem trwa od dawna. Właściciel Republiki i Gazety Polskiej miał żal do Nowogrodzkiej, że za mało go wspierała, że więcej pieniędzy dostawali Karnowscy, choć mają za możnego właściciela, senatora Grzegorza Biereckiego, twórcę SKOK-ów. I był zły, że TVP Jacka Kurskiego podebrała mu ludzi, przez co oglądalność Republiki szorowała po dnie.

Jednak Sakiewicz zapomina o jednym: dzisiejszy sukces Republika zawdzięcza TVP i Kurskiemu. To tam wypromowano ten rodzaj szczujni, często oderwanej od rzeczywistości, zgromadzono ludzi, którzy dawali jej twarze i stworzono grupę wiernych odbiorców takiego przekazu. Gdy PiS po utracie władzy stracił wpływ na TVP, te znane twarze poszły głównie do Sakiewicza.

Kaczyński nie zdecydował się na budowę jednego silnego PiS-owskiego medium w postaci Republiki także dlatego, że miał poważne wątpliwości czy Sakiewicz jest sprawnym menedżerem i czy nie przejada pieniędzy, które dostawał od rządu PiS przez ostatnie osiem lat. Nowogrodzka zniesmaczył doniesienia o tym, że pracownicy Republiki mają wypłacane pensje z opóźnieniem. W trzecim roku rządów Zjednoczonej Prawicy dwie dziennikarki stacji zdradziły „Wyborczej”, że newsroom dzieli się na „rodzinę” i na „wyrobników”. Rodzina to Sakiewicz, Dorota Kania, Katarzyna Gójska-Hejke. Podjeżdżają na wewnętrzny parking nowymi SUV-ami, wypłaty dostają duże i na czas. „Wyrobnikom” płaci się natomiast 3500 złotych na rękę – albo i nie płaci. W 2019 roku pracownicy pisali do władz PiS: „Mieliliśmy nadzieję, że chociaż z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę telewizja zbudowana na katolickich i patriotycznych wartościach, która w ogromnym stopniu przyczyniła się do zwycięstwa wyborczego PiS, doceni zaangażowanie szeregowych pracow-



• 21 listopada, Warszawa. Były prezes Orlenu Daniel Obajtek w drodze na przesłuchanie w Najwyższej Izbie Kontroli

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

ników i wypłaci im pensje na czas. Upokarzająca dla wszystkich konieczność dopytywania, prośbienia i błagania o należne wynagrodzenia nie pozwala nam planować najbliższych tygodni życia, powoduje nieustanny stres i brak poczucia godności”.

Karnowscy też mają swoje pretensje: uważają, że Kaczyński powinien wydać rozkazy bankom państwowym, by dały grupie Biereckiego kredyt na zakup Radia Zet. Tak, by przebić ofertę Agory. Kaczyński tego nie zrobił z różnych powodów: nie lubi Biereckiego, a najwięcej wątpliwości wzbudził w nim pamiętny transfer pieniędzy do Luksemburga. Przypomnijmy: Komisja Nadzoru Finansowego ujawniła, że z kas prze-transferowano ponad 100 mln zł do spółki SKOK Holding w Luksemburgu. Prezes PiS obawiał się, że to samo się stanie z zyskami Zetki i będzie to obciążenie dla PiS. A poza tym zmuszenie członków komitetu kredytowego banku do klepnięcia takiej transakcji nie jest proste, bo każdy obawia się zainteresowania prokuratury w związku z działaniem na szkodę banku.

• Nie zmienia to faktu, że z rządu, instytucji rządowych, spółek skarbu państwa do mediów PiS-owskich w latach 2016-23 roku popłynęły setki milionów. A jednocześnie i Karnowscy i Sakiewicz cały czas lamentują, jak są biedni, choć żyją jak pączki w maśle. Media niezależne „Wyborcza”, Onet, TVN, Wirtualna Polska, a także medioznawca prof. Tadeusz Kowalski śledzili, ile środowiska Gazety Polskiej i tygodnika Sieci dostały publicznych pieniędzy, a prawdopodobnie nie odkryto jeszcze wszystkich źródeł.

W przypadku Sakiewicza suma państwowych dotacji zbliża się do 100 mln zł. Wymienimy kilka pozycji. Z budżetu Polskiej Fundacji Narodowej Sakiewicz dostał 9 mln zł. Miał za to dbać o wizerunek Polski za granicą. Sakiewicz twierdzi, że za te pieniądze naprawił relacje polsko-izraelskie. Administracja rządowa dała mu ok. 20 mln zł. Tylko w ciągu pierwszych pięciu lat rządów PiS do kontrolowanej przez Tomasza Sakiewicza „Gazety Polskiej” ze spółek Skarbu Państwa spłynęło grubo ponad 60 mln zł. Sakiewicz i jego ludzie wypłacają sobie spore dywidendy. Jakież? Do końca nie wiadomo, ale szefa Republiki stać na kupno polowy zabytkowej willi za blisko 2 mln zł. Nie

może jednak przeboleć tego, że Karnowscy dostali ponad dwa razy więcej niż on.

W ciągu siedmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy w założonym przez Jacka i Michała Karnowskiego tygodniku „Sieci” spółki Skarbu Państwa wykupiły reklamy o wartości ponad 142 mln zł. „Do Rzeczy” zgarnęło ponad 71 mln zł, a „Gazeta Polska” – 61 mln zł. Dodajmy, że bracia zarobili 5 mln zł w ciągu ostatnich siedmiu lat z samych tylko dywidend z zysku spółki Fratria wydającej tygodnik „Sieci”.

Te dane są punktowe i wyrwykowe. Trudno precyzyjnie określić, jak duży strumień pieniędzy popłynął do braci Karnowskich i Sakiewicza. Poza tym pieniądze domagało się także środowisko Tadeusza Rydzyska. Wszystkie te wydatki nie miały związku z zasięgiem, oglądalnością, słuchalnością mediów. Był to wielki system przepompowni pieniędzy podatników do prywatnych biznesów związanych z ludźmi PiS.

• Obie grupy medialne zmroziła zapowiedź Kaczyńskiego niedługo po przegranych wyborach: „Uczynimy wszystko, żeby stworzyć także prywatną dużą telewizję, która będzie wolna”. Politycy PiS byli zdumieni, gdyż wcale nie chodziło o Republikę ani

## Media cienko przędą? Nie na prawicy

### Do 100 mln zł

• zbliża się suma państwowych dotacji z czasów PiS dla mediów Sakiewicza

### Blisko 2 mln zł

• zapłacił szef TV Republika za połowę zabytkowej willi

### Ponad 142 mln zł

• były warte reklamy spółek skarbu państwa w tygodniku „Sieci” braci Karnowskich

### 5 mln zł

• dywidend z zysku spółki Fratria wydającej „Sieci” zarobili Karnowscy przez siedem lat

Karnowskich. Mateusz Morawiecki wraz z byłym prezesem TVP Mateuszem Matyszkowiczem, następcą Jacka Kurskiego, szukali możliwości zakupu stacji, którą można będzie przekształcić w medium ogólnopolskie dla odbiorcy PiS-light, do tego atrakcyjne, coś na kształt Kanału Zero.

Ale mijały miesiące i nic w tej sprawie się nie działo. Teraz idea nowej telewizji powróciła wraz ze spekulacjami, że amerykański koncern Warner Bros. Discovery z powodu problemów finansowych może sprzedać TVN. Po wygranej Trumpa w pojawiły się obawy, że stacja straci ochronę administracji amerykańskiej, na jaką mogła liczyć za Joego Bidena i jeśli zjawi się jakiś oferent z rublami w sakiewce, to jeden z trzech filarów polskiego rynku telewizyjnego trafi w jego ręce.

Temat powrócił w związku z tym, że Daniel Obajtek kilka dni temu stawiał się w Najwyższej Izbie Kontroli i w stronę ekipy TVN24 rzucił: „Powiem panu szczerze, że my się będziemy częściej spotykać, ale już u was niedługo”. I „będzie chodził do tej stacji, jak do siebie”.

Obajtek wystąpił u youtubera Macieja Uchmańskiego. – Podoba się panu TVN? – padło pytanie. Obajtek: – Nigdy mi się nie podobał i nie podoba. – To kiedy pan kupi TVN? Obajtek: – Mam pewne ambicje, chciałbym z czasem, aby mi tam biuro przygotowali. Mam takie marzenia. Od marzeń się zaczyna, tylko tyle mogę powiedzieć. – Gromadzi pan kapitał? Obajtek: – Nie, ale od marzeń się zaczyna. TVN to jest telewizja wroga polskiej racji stanu, która chciałaby wszystko zaorać, wszystkie procesy inwestycyjne skrytykować. – Ja będę dążyć ten temat TVN. Obajtek: – Czy pan sądzi, że ja wszystko powiem u pana i będę psuł swoje marzenia?

Nie tylko Obajtek planuje zatrudnić się w TVN. Magdalena Ogórek, celebrytka, była kandydatka SLD na prezydenta i działaczka medialna PiS, obecnie zatrudniona u Karnowskich, stwierdziła, że czeka na posadę dyrektorki programowej TVN. Żona Jacka Kurskiego, Joanna, stwierdziła na to, że nie jest jasne, czy Ogórek ma kompetencje. Dzielenie skóry na niedźwiedziu trwa.

Wśród potencjalnych nabywców TVN – według „Newsweeka” – wymienia się koncern PPF Petra Kellnera, najbogatszego Czecha, który zginął trzy lata temu w wypadku helikoptera i władzę przejęła jego żona Renata oraz holding węgierskiego miliardera Józsefa Vidy. Ta druga opcja oznaczałaby, że Obajtek zostanie prezesem TVN. Bo Vida jest związany z Lorincem Meszarosem, współpracownikiem Orbana. No i ma świetne kontakty na Węgrzech, odkąd jako prezes Orlenu sprzedał część aktywów Lotosu MOL-owi, węgierskiemu koncernowi państwowemu.

Ciekawe wnioski wypływają z oświadczenia majątkowego Obajtka, które musiał złożyć jako europoseł. Okazało się, że oprócz milionów z Orlenu ma inne źródło dochodów. Dorabia w węgierskiej spółce powiązanej z ludźmi bliskimi Orbánowi. W firmie budowlano-deweloperskiej Bayer Construct Zrt jest dyrektorem rozwoju biznesu międzynarodowego. Założycielem i prezesem spółki jest Attila Balázs, partner biznesowy Istvana Tiborczy, zięcia Orbána.

• A czeska inwestorka? „Wyborcza” opisywała interesy rodziny Kellnerów. „Polscy miliarderzy Sołowow, Biernacki, Starak czy Solorz to przy niej gracze z drugiej ligi – przedstawił Piotr Miączyński wdowę po Kellnerze, która ma m.in. „46 kanałów telewizyjnych docierających łącznie do 49 mln osób w Bułgarii, Chorwacji, Czechach, Rumunii, Mołdawii, Słowacji oraz Słowenii”, a w Polsce kontroluje InPost i dostarcza pociągi Skoda dla warszawskiego metra. I przytoczył analizę Ośrodka Studiów Wschodnich: „W Czechach Kellner miał pozycję najważniejszego oligarchy, co wynikało z dużego zakresu jego powiązań politycznych i działalności jego koncernu – PPF – w obszarach strategicznych z punktu widzenia interesów państwa.

Możliwości oddziaływania Kellnera na czeską debatę publiczną znacząco zwiększyło przejście w 2020 r. najpopularniejszej czeskiej telewizji prywatnej TV Nova”.

– W kontrowersyjnych okolicznościach uzyskał w 2018 r. 10-letni kontrakt na realizację elektronicznego systemu poboru opłat drogowych. Pomocna w tym była bliska relacja z Milošem Zemanem, którą zbudował po objęciu przezeń fotela prezydenta, a której symbolem stały się przeloty Zemana prywatnym samolotem Kellnera – pisze OSW. Inny fragment analizy: „Wiele wskazuje na to, że Kellner był jednym z inspiratorów i beneficjentów prochińskiego i prorosyjskiego kursu, który realizuje w czeskiej polityce zwłaszcza prezydent Zeman”.

Niedawno na urodzinach Zemana gościła cała plejada prorosyjskich polityków z naszego regionu, na czele z Orbanem. Prezydent Andrzej Duda był krytykowany za udział w imprezie. Ale Renata Kellnerowa po śmierci męża zwolniła część jego współpracowników i wybrała rozwój grupy bliżej domu. Wycofuje się powoli z Azji oraz Rosji. Woli rynki zachodnie. Czeski inwestor jest więc nadal wielką zagadką.

• W kręgach rządowych zaczęła krążyć inna plotka: PiS chce, by w transakcję sprzedaży TVN zaangażował się sam Elon Musk i lobbuje za tym intensywnie. – To bajki – konkluduje polityk PiS, którego o to zapytałam. Niemniej politycy PiS starają się utrzymywać bardzo bliskie relacje z otoczeniem Trumpa. O szefie gabinetu prezydenta i jego bliskim doradcy Marcinie Mastalerku mówi się, że ma dobre relacje z ludźmi przyszłej szefowej personelu Białego Domu Susie Wiles. A Musk jest – jak na razie, bo kto wie, jak się skończy zderzenie dwóch tak potężnych ego – jeszcze ważniejszą postacią na dworze prezydenta elekta.

Druga strona, związana z TVN, nie składa broni i ponoć walczy o uwagę rodziny wiekowego miliardera liberała George’a Sorosa. TVN i środowiska rządowe liczą też, że ochronę stacji w otoczeniu Trumpa zapewni im Georgette Mosbacher, ambasadorka USA w Polsce za jego pierwszej kadencji. – Ale ona już nic nie znaczy – zapewnia mnie jeden z polityków PiS po tym, jak Mosbacher w TVP Info ogłosiła się przyjaciółką Rafała Trzaskowskiego.

Amerykanka mówiła tam: Uważam go za przyjaciela, spotykaliśmy się, gdy byłam w Warszawie. Pan prezydent Trump ma też bliską relację z prezydentem Dudą, ale nie spodziewam się, aby te relacje miały się jakoś istotnie zmieniać. Pan prezydent Warszawy jest zawsze mile widziany w Waszyngtonie. Relacje między krajami się nie zmieniają”.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że Mosbacher była u Trumpa w Mar-a-Lago, słynnej rezydencji na Florydzie, gdzie prezydent elekt przyjmuje współpracowników i gości. Tak jak inni wizytujący miała napisać na kartce ewentualne stanowiska, o jakie chciałaby się ubiegać. Na pierwszym miejscu wymieniła ambasadora przy ważnej instytucji międzynarodowej, na drugim – ambasadora w Polsce. Ale nie dostała żadnej odpowiedzi. Pytana przez dziennikarza, czy wróci do Polski, odpowiedziała, że Trump bardzo chwalił jej pracę i „ma nadzieję na powrót do służby publicznej”.

W układance medialnej, wciąż kluczowej – mimo rosnącej roli kanałów politycznych, publicystycznych i talk show na TikTok i YouTube, o czym boleśnie przekonali się Demokraci odpowiedzialni za kampanię Kamali Harris – w docieraniu do wyborców, jest dziś bardzo wiele niewiadomych. Przede wszystkim nie wiadomo czy dojdzie do sprzedaży TVN, bo w USA mogą być rozważane inne scenariusze. Ale obie strony w Polsce szykują się do tej rozgrywki i prowadzą ożywione, których szczegóły są trymane w tajemnicy.

Jeden z internautów napisał na X: O Boże, a co zrobi biedny Sakiewicz, jak mu wszystkie gwiazdy uciekną tym razem do TVN? •

# RAFAL KWAŚNIEWSKI, PARDON, TRZASKOWSKI



• 23 listopada, Warszawa. Rafał Trzaskowski po ogłoszeniu, że zostanie kandydatem Koalicji Obywatelskiej na prezydenta RP FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

**Ponieważ lewica słabuje, wszyscy myślą, że trzeba łowić na prawo od centrum. Przegapiąją długi trend szybkiej liberalizacji i sekularyzacji społeczeństwa.**

ZE SŁAWOMIREM SIERAKOWSKIM  
I PRZEMYSŁAWEM SADURĄ  
ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

**AGNIESZKA KUBLIK:** Co poszło nie tak? Dzisiaj wybory parlamentarne prawdopodobnie wygrałby PiS z Konfederacją. Premier Tusk ma aż 50 procent złych not. **SŁAWOMIR SIERAKOWSKI:** – To, co się dało zrobić, to się udało. Inaczej niż wyborcy, którzy nie śledzą na bieżąco polityki, rozumiem, jaką blokadą dla zmian Koalicji 15 października jest prezydent. I PSL. Mnie brak ustawy liberalizującej aborcję, wprowadzenia prawa osób LGBT czy związków partnerskich albo niezbyt szybkie rozliczenia poprzedniej władzy nie dziwi przy obecnym rozdaniu politycznym. To, co się dało zrobić rozporządzeniami, to rząd zrobił. Warunkiem realizacji całego programu jest wygrana w wyborach prezydenckich i kto chce dalszych postępów, musi przede wszystkim sprzyjać wyborowi Rafała Trzaskowskiego na prezydenta. **PRZEMYSŁAW SADURA:** – Zgoda. Ale wyborcy mają prawo patrzeć inaczej. Naobiecowano ludziom wielkie zmiany – wzmocnienie praw kobiet, rozliczenie przestępców i że tak w ogóle, to Polska będzie krajem mlekiem i miodem płynącym – i nic. I oczywiście to „nic” nie jest winą rządu albo tylko rządu – ale wyborcy mają prawo być zniecierpliwieni. Nawet jeśli zdają sobie sprawę,

że mamy wielkiego hamulcowego w Pałacu Prezydenckim, który nie pozwoli niczego zmienić do końca swojej kadencji, to Koalicja 15 października musiała wiedzieć, że Duda będzie wszystko blokował, że trzeba będzie rządzić rozporządzeniami. Tymczasem niekiedy rządzący wyglądają na zaskoczonych tą sytuacją. I jeszcze jedno: nawet jeśli wyborcy dostrzegają, że jednak rozliczenia PiS postępują, to czują, że im się gorzej żyje, a już na pewno, że się nie poprawia.

**Pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy do nas wpływają, premier ogłasza kolejne miliardy na wielkie rozwojowe inwestycje. Zarzuty są stawiane, prokuratorzy dobierają się do kolejnych ludzi Zjednoczonej Prawicy, PKW ukarała PiS za opłacanie publiczną kasą swojej kampanii wyborczej. To nie są drobniagzi. Wydawałoby się, że każdy dostaje albo zaraz dostanie coś, na co liczył.**

**SS:** – Wszystko prawda. Niemniej dostrzegamy problem z identyfikacją ludzi z rządem. Koalicja Obywatelska wypada lepiej niż Koalicja 15 Października jako rządząca całość. Problem z identyfikacją z rządem mają przede wszystkim wyborcy PSL, Polski 2050 i Lewicy.

Widzimy, że KO rośnie grupa bardzo lojalnych wyborców, nawet jeśli zniecierpliwionych zbyt wolnym tempem rozliczania PiS. KO ma coraz bardziej żelazny elektorat, co długofalowo dla tej partii jest optymistyczne. Zwłaszcza przed wyborami prezydenckimi, bo tutaj motywacja będzie kluczowa.

Dziś mamy aż trzy silnie zmotywowane grupy wyborców. Pierwsza, wyborcy PiS, to nic nowego, oni są zmotywowani i zawsze byli. Druga, wyborcy Konfederacji – i to jest coś nowego, bo oni są dużo bardziej zintegrowani niż wcześniej, ta grupa puchnie, dochodzą rozczarowani wyborcy PiS.

Trzecia – to żelazna grupa wyborców KO, i to jest nowość.

**Dlaczego wyborcy Trzeciej Drogi są zdemotywowani?**

– Bo okazała się samoblokująca się koalicja. Tworzą ją elektoraty nawzajem sobą bardzo rozczarowane. Elektorat PSL jest na konserwatywnej kontrze do rządu, elektorat Hołowni jest na liberalnej kontrze do PSL.

**Lewica?**

– Jest ofiarą własnego sukcesu, bo dużą część jej programu już wcześniej przejęła PO. W gabinecie Tuska objęła ministerstwa albo trudne, albo nieefektywne. No i cały czas ma problem z przywództwem.

**A Konfederacja rośnie, umacnia więz ze swoimi wyborcami, ma poparcie niemal dwa razy takie jak TD i Lewica.**

**PS:** – Po pierwsze, wyborca prawicowy nie jest wyłącznie bogoojczyźniany, w tej grupie mieszczą się też zajadli wolnorynkowcy czy konserwatyści. Oni też, podobnie jak twardy elektorat PiS, przeżywają silne emocje negatywne i nie mają powodu cieszyć się, że do władzy doszła koalicja partii demokratycznych, liberalnych. A Konfederacja ma dla nich ofertę.

Po drugie, Konfederacja rośnie w siłę, bo się uruchamia efekt dołączania do zwycięzców.

**wyborcza.pl**

• „Hołownia przejechała. Zaczynał jako kandydat bardzo merytoryczny, ale w końcu sam stał się memem”. Cała rozmowa Agnieszki Kublik na Wyborcza.pl/magazyn

Po trzecie teraz Konfederacja czerpie wyborców z dodatkowych, innych źródeł niż wcześniej. Wiosną 2023 r., jeszcze przed wyborami parlamentarnymi, rosło jej poparcie, bo przyłączyli się do niej wyborcy, którzy się orientowali tylko i wyłącznie na skrajny liberalizm ekonomiczny, wręcz darwinizm ekonomiczny. Młodzi, zwłaszcza mężczyźni, którzy nie chcą płacić podatków, bo przecież „sobie radzę bez tego całego państwa, nie korzystam z usług publicznych”. Oni zaczęli się orientować na Konfederację, nie do końca wiedząc, co Mentzen z Bosakiem mają do zaproponowania w innych kwestiach. To był elektorat liberalny nie tylko ekonomicznie, ale we wszystkich sferach – więc pierwsi wyborcy Konfederacji nie byli przeciwko Europie, polityce klimatycznej, gejom, lesbijkom. Nagle okazało się, że chcą głosować na partię, która jest przedpotopowa. Więc wrócili na pozycje wyjściowe i Konfederacji spadło, bo nie była w stanie zmodyfikować swojego programu.

Ale teraz przepływa do niej elektorat zniechęcony do PiS. Nie ten fanatyczny, bo on zostanie przy przesiedle Kaczyńskim do końca świata i jeden dzień dłużej. Nie ten cyniczny, który głosował ze względu na korzyści, bo on dalej uważa, że socjał w Polsce to zasługa PiS i nawet jeśli poszerza go koalicja rządowa, to dlatego, że się boi PiS, więc trwają przy PiS.

Ale Kaczyński traci ten elektorat, który jest języckiem, czyli głosujący na partię mniejszego zła. Teraz dla tych ludzi mniejszym złem jest Konfederacja, bo jeszcze nie rządziła i może tyle się nie nakradła. A temu PiS-owi to trzeba patrzeć na ręce. A Konfederacja już nauczyła się elastyczności i z pozycji liberalnych przechodzi na pozycje solidarystyczne. Coraz bardziej zbliża się do PiS, bo wyborcy obu tych partii już szykują się do koalicji.

W tym samym czasie Lewica z formacji lewicowo-solidarystycznej przemienia się w lewicowo-liberalną i staje się progresywnym skrzydłem KO.

**A piątka Mentzena: Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej? Wybórcy Konfederacji są tego świadomi?**

**SS:** – Nie wydaje mi się. Konfederaci nauczyli się unikać takich deklaracji. Przechodzą trochę ewolucję, jak inne skrajnie prawicowe partie populistyczne, próbują się obłożyć teflonem. Mają bardzo popularnego lidera – Krzysztofa Bosaka, który w sondażach wypadła lepiej niż Mentzen.

Konfederacja jest świadoma, skąd czerpie nowych wyborców, więc stara się sprzedać jako trochę uczciwszy i mniej prząsny PiS. I trochę mniej obciachowy, dobrze ubrany, w garniturze, z językami. Konfederacja wie i to, że jeśli będzie źle się działo w Trzeciej Drodze – a już się dzieje – to będzie kolejne źródło wyborców.

**PS:** – Mentzen przyciąga radykalizmem, Bosak – racjonalizmem, spokojem, opanowaniem. Uchodzi za prawnika, inżyniera, choć żadnych studiów nie skończył.

**A Trzaskowski czy Nawrocki mają szanse zdobyć głosy spoza swoich żelaznych elektoratów?**

**SS:** – Trzaskowski na pewno ma możliwość absolutnego zdominowania lewej strony. I to jest niedoceniane w debacie. Ponieważ Lewica słabuje, wszyscy myślą, że trzeba łowić na prawo od centrum. A ja zwracam uwagę na długi trend liberalizacji i sekularyzacji społeczeństwa. PiS wypłynął na kontrze do tego trendu, na sprzeciwie wobec tych ogromnych, szybkich zmian. Ale lata mijają, Polacy się liberalizują. A Trzaskowski wychodzi poza swoją bańkę, bo to jedyny polityk, który w innej partii uważany jest za bardziej popularnego, niż liderzy tej partii.

Nawrocki nie będzie miał większego poparcia w Konfederacji czy w PiS niż Mentzen, Bosak czy Kaczyński. A na Lewicy numerem jeden jest nie Zandberg czy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ale Trzaskowski. To szerokie wyjście poza wyborców PO daje mu ogromną przewagę.

Trzaskowski jest trochę jak Aleksander Kwaśniewski. Sympatyczny, ładny, taki, którym się można pochwalić za granicą. Obciążeniem może być jego elitarność, ale przez lata udało mu się zmienić nieco ten wizerunek. Na Campusie, przed młodymi, występuje w dżinsach, w bluzie z kapturem. Przez to nabiera nie tylko wyluzowanego, nowoczesnego, ale też ludowego charakteru.

**PS:** – Sławek tyle cukru wysypał, że na miejscu Trzaskowskiego to bym położył się, nic nie robił i czekał, aż kampania sama się zrobi. PO ma długą tradycję pewniaków w wyborach prezydenckich, którzy przegrywają...

**SS:** ... nie powiedziałem, że jest pewniakiem, tylko że konsekwentnie buduje sobie poparcie i wychodzi poza ograniczenia.

**PS:** – Oczywiście Trzaskowski na dzień dobry bierze elektorat Lewicy. Tylko że to jest dobre na pierwszą turę, w drugiej i tak by dostał te głosy. Bo obecny wyborca Lewicy zagłosowałby w drugiej turze nawet na Sikorskiego, gdyby to on rywalizował z kandydatem PiS. A elektorat, który Lewica miała – upraszczając, młodych kobiet, które kierują się głównie kwestiami płci, ich praw, aborcji – chwilowo i tak nie wybiera się na wybory.

**SS:** – No nie, Przemek. Rząd nie może liczyć na zmobilizowanie tych dwóch kluczowych grup społecznych, czyli kobiet i młodych wyborców, a Trzaskowski może. To fundamentalna dziś różnica. Dlatego Tusk trzyma go daleko od rządu. Zauważmy, że Radek Sikorski w sondażu KO przegrywał w pierwszej turze z kandydatem PiS właśnie dlatego, że nie miał tak szerokiego poparcia w tej części elektoratu.

**PS:** – Trzaskowski ma szansę nie tyle teraz wywoływać nowe emocje, ile skutecznie wrócić do tych z 15 października 2023.

Nawrocki co prawda też może wyjść poza żelazny elektorat, ale z innego powodu. On w zasadzie nie ma żadnego konkretnego elektoratu, to człowiek, który się pojawił troszeczkę znikąd, jest nierozpoznawalny. Najpierw musi wywindować swoje wskaźniki poparcia do poziomu tych, które ma PiS. I dopiero gdy zdobędzie elektorat PiS, może myśleć o szukaniu poparcia gdzie indziej.

Pytanie, czy starczy mu czasu, bo potencjalnie on jest niebezpieczny. Są takie części elektoratu PSL i Polski 2050, dla których Trzaskowski jest trudny do zaakceptowania.

**Naprawdę Nawrocki nie dostał na początek żelaznego elektoratu PiS?**

**SS:** – Ma go nie tyle Nawrocki, co Kaczyński. I w tym sensie Nawrocki go dostał, bo Kaczyński swój elektorat pośle na bój.

**PS:** – Tak, ale pamiętajmy, że jak mówimy o żelaznym elektoracie PiS, to chodzi o ten fanatyczny. A to jest tylko połowa głosujących na PiS.

**Nawrocki z jego emploi – wykształcony, w garniturze, ale twardziel, bokser, z niejednego pieca chleb jadł, nawet niedaleko**

wsze mamy trybuna ludu. I mamy też błazna. Różni ludzie odgrywali role błazna – Andrzej Lepper, Janusz Palikot. Teraz, niestety, Hołownia robi za błazna.

**Jeszcze będzie w stanie być kimś innym?**

– Hołownia próbuje być kandydatem niezależnym, antyestablishmentowym, ale ta opowieść już nie zadziała. Po pięciu latach w mainstreamie nie jest antyestablishmentowy. Więc po omacku szuka dla siebie roli, ale czeka go los Palikota i jego formacji. Czyli marginalizacja w życiu politycznym i wchłonięcie, najprawdopodobniej przez KO.

**Na ile sensowne są porównania do sytuacji z 2014 roku, kiedy Kaczyński wystawił w wyborach Andrzeja Dudę, równie nieznanego, co dziś prezes IPN?**

– Nie są. Co by nie mówić, Duda był wtedy politykiem z doświadczeniem – zdążył być eurodeputowanym, ministrem, rzecznikiem partii, był politycznie otrząskany. Nie mówił z kartki, no i był podobny do takiego wujka w rodzinie, nieco prowincjonalnego, ale akceptowalnego.

## Te wybory będą miały bardzo wizerunkowy charakter. Nie bez powodu Kaczyński mówił, że potrzebuje polityka okazalego, wykształconego, z językami. Wszyscy się z tego śmieją, a on okazał zmysł polityczny

**półświatka, takiego męskiego, się obracał – w drugiej turze dostanie głosy Konfederacji.**

**SS:** – To zależy od dwóch rzeczy. Jak bardzo Trzaskowskiemu uda się uniknąć antagonizowania elektoratu Konfederacji – bo wcale nie jest powiedziane, że jakaś część sympatyków Mentzena i Bosaka nie będzie myślała o prezydencie w kategoriach reprezentacyjnych. Prezydent Warszawy może się podobać w elektoracie szeroko rozumianej prawicy z tego samego powodu, z którego zaczął podobać się Kwaśniewski.

Wybory prezydenckie mają przede wszystkim wizerunkowy charakter. Nie bez powodu Kaczyński mówił, że potrzebuje polityka okazalego, wykształconego, z językami. Wszyscy się z tego śmieją, ale akurat, jak wygrywać wybory to on wie.

**A Szymon Hołownia na jakie głosy może liczyć? Na wszystkich wyborców Trzeciej Drogi?**

**PS:** – Nie. Bo nie dostanie części głosów PSL. Nasze badania dały jednoznaczny wynik. Ten egzotyczny sojusz nie stworzył udanego partnerstwa, a elektoraty obu ugrupowań już mają się serdecznie dość. Więc Hołownia wie, że musi szukać gdzieś indziej.

**Tylko gdzie.**

– To nie jest tak, że on chce startować. Po prostu nie ma innego wyjścia. Jego projekt polityczny zaczyna się rozpadać w oczach, więc musi jeszcze raz wziąć udział w wyborach prezydenckich. Wie, że wygrać nie może, ale startować musi, by ratować resztki swojego projektu politycznego. Problem Hołowni polega na tym, że – co widzimy w badaniach – jest traktowany jako kandydat niepoważny. Do tego stopnia, że kandydatki Lewicy są przez wyborców traktowane poważniej niż on.

Jak spojrzymy na historię kampanii prezydenckich, to widzimy te same figury. Mamy króla, mamy pretendenta, zawsze jest jakiś outsider, ktoś antyestablishmentowy, za-

Natomiast Nawrocki jest kandydatem, który ma wyjątkowo podejrzaną przeszłość jak na kandydata na prezydenta w poważnym państwie. Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych pokazał znajomych kandydata PiS, ze swastykami na plecach, skinheada z wytatuowanymi faszystowskimi hasłami. To jest nie do obrony w żadnym elektoracie, nawet Konfederacji. Gdy te zdjęcia i ta wiedza dotrą do wyborców, może być katastrofa. Jak się ma majestat urzędu prezydenta do mafiozy Wielkiego Bu? Jeszcze takiego prezydenta nie mieliśmy. I nie bez powodu.

**Wyjaśnijmy – Wielki Bu, były członek gangu sutenerów...**

– ...więc co wyjdzie jeszcze na jaw do czasu wyborów?

**PS:** – Postawienie na Nawrockiego to próba wejścia po raz drugi do tej samej rzeki, ogrzania tej samej strategii. Weźmiemy kandydata, który nie kojarzy się za bardzo z PiS, nie jest frontmanem, pierwszoligowym politykiem PiS, więc ma czystą wizerunkową kartę i mu ten wizerunek od początku zbudujemy.

Lecz Kaczyński przecenia rolę strategii wizerunkowej w zwycięstwie Dudy. Jak każdy autorytarny lider, ma skłonność do przesadnej wiary w swój geniusz i karmienia tym ego. Bo prawda jest taka, że stworzenie wizerunku Dudy to był tylko jeden z warunków jego sukcesu w 2015 r. Trzeba było jeszcze takiego rywala jak Bronisław Komorowski, który spektakularnie położył swoją kampanię. A Trzaskowski takich błędów nie popełni, KO trudno byłoby drugi raz, po wielu hartujących nauczkach, aż tak spartaczyć kampanię.

No i Dudzie przysłużył się Paweł Kukiz. Game changer, kandydat antyestablishmentowy, zrobił świetną kampanię, zmobilizował ludzi na prawicę, którzy normalnie nie poszliby głosować – i w drugiej turze, wciąż zaktywizowani, nie mieli wyjścia. Bo przecież nie poparliby do bólu establishmento-

wego, zadowolonego ze wszystkiego Komorowskiego.

**Na Kukiza zagłosowały 3 miliony ludzi, dostał 20 proc. głosów.**

– Nie wiemy, czy i teraz taki game changer się nie pojawi. Nasze badania pokazują, że jest dla kogoś takiego przestrzeń.

**SS:** – Nie wiemy, jaką rolę odegra Mentzen i jak dobrą zrobi kampanię. Jego elektorat może pójść za Nawrockim. Ale czy tak robi, gdy Mentzen do tego nie wezwie? A raczej tego nie robi, bo Konfederacja konkuruje z PiS o tych samych wyborców. Kaczyński ogłosił kandydata na typowym PiS-owskim wiecu, bo w towarzystwie PiS-owskich aparatczyków, czyli zrobił dokładnie to, czego nie chciał zrobić – na dzień dobry przedstawił Nawrockiego jako człowieka ultra-PiS.

Pamiętajmy też, że Kaczyński tamte wybory w 2015 r. nie tyle chciał wygrać, co nie przegrać. I teraz też dobierał kandydata tak, żeby przede wszystkich mu w partii nie zagroził. I żeby mu elektorat nie uciekał do Konfederacji. Raz można było mieć takiego farta jak z Komorowskim i z przegranego

zrobił się wygrany, ale to dalej jest metoda na uniknięcie kłopotów, a nie na wygraną.

No i PiS nie ma pieniędzy na kampanię. Żaden bank ich nie pożyczy, a zwrotu za kampanię prezydencką nie ma, inaczej niż za kampanię do parlamentu.

Konkluzja jest taka, że PiS chce mieć piśowskiego i niepiśowskiego kandydata jednocześnie. To raczej nie może się udać.

**Widzę jeszcze jedną różnicę: wtedy, gdy zdarzył się Duda, byliśmy po dwóch kadencjach Platformy Obywatelskiej. A teraz wyborcy jeszcze nie zdążyli się zmęczyć obecnie rządzącymi.**

– Tak. Teraz jest dokładnie odwrotnie. Trend sprzyja Trzaskowskiemu. Także dlatego, że na całym świecie, od Nowej Zelandii po USA, przegrywają dziś ci, którzy rządzą w czasie pandemii i lockdownu. ●

### Dr hab. Przemysław Sadura

profesor UW, szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii UW, kurator instytutu badawczego „Krytyki Politycznej”, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy”

### Sławomir Sierakowski

socjolog, założyciel i lider „Krytyki Politycznej”, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej, publikuje m.in. w „New York Timesie”

Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski od kilku lat badają kondycję Polaków (raporty „Polityczny cynizm Polaków” i „Koniec hegemonii 500 plus”, „Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraincom” i „Społeczeństwo populistów” oraz najnowszy – „Ukryty kryzys władzy”).

Kim jest Jan Żaryn

# ONR, czyli WSPANIAŁA POLSKA INTELIGENCJA

„Jak pana gazeta pisze o mnie artykuł, to najpewniej, by przedstawić jako faszystę albo idiotę”. Co komu dał i o co się martwi ulubiony historyk PiS i narodowców



FOT. SEAWOJIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZAPL

Piotr Głuchowski

**D**ziewiętnaste go października, 40. rocznica zamordowania przez Służbę Bezpieczeństwa księdza Popieluszki. Ulicami Warszawy idzie tzw. marsz papieski, czyli protest przeciwko rugowaniu lekcji religii ze szkół, a w istocie przeciwko Koalicji 15 Października, Donaldowi Tuskiowi i w sumie, co wydarzyło się po przegranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborach.

Wśród niosących czołowy transparent z hasłem „Chrystus wczoraj, dziś i na zawsze” jest Jan Żaryn. Czyli nie byle kto. Był senatorem PiS i dyrektorem powołanego przez tę partię Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego.

Dwa dni później w TV Republika Żaryn tłumaczy Edycie Lewandowskiej, że choć nie ma już PRL-u i zaborów, to walka z Kościołem w Polsce trwa: – Jeżeli jakaś pani, która chce się nazywać „Babcią Kasią”\*, próbuje wkroczyć do kościoła i naruszyć święte miejsce, a Robert Bąkiewicz\*\* jest skazany dlatego, że za zgodą proboszcza broni tego kościoła przed profanacją, to jesteśmy w sytuacji, w której musimy mówić: non possumus! Nie ma dialogu z tymi, którzy chcą deptać wartości katolickie i narodowe! Wyplukać z polskich szkół katechezę. Prowadzić antychrześcijańską politykę w Polsce wedle tradycji PZPR-owskiej.

Żaryn tłumaczy też, że „tamta strona”, reprezentowana przez Tuska, ma w sobie „potężnego diabła, który nimi zarządza...”. A to, co proponuje, nie jest żadnym alternatywnym patriotyzmem, lecz „zdradą narodową”. Jednocześnie wyraża obawy, że wybory prezydenckie „tamta strona” wygra, gdyż ma „zdolność do tego, żeby fałszerstwo wyborcze wytłumaczyć jako działanie na rzecz praworządności”.

Potem przechodzi do młodzieży: – Mieliśmy to szczęście, że udało się wydobyć z zapomnienia „żołnierzy wyklętych”, którzy stali się symbolem męstwa i patriotyzmu i duża część młodzieży, dzisiaj trzydziesto- czy czterdziestoletniej, idzie tym śladem. Niestety, tracimy pokolenie młodsze, to, które nazywa się tam jakoś: zet, alfa... Oni mają potrzebę wzrastania ku dobremu, ale fałszywi dawcy podsunęli im tę pożywkę: honorowanie środowisk LGBT, różnego rodzaju dewiacji; walka o to, by homoseksualiści byli traktowani jak normalne małżeństwa...

Na pożegnanie profesor szkicuje własny obraz: – Wprawdzie jestem szufladkowany jako PiS-owiec, bo byłem senatorem tej partii, ale twarz człowieka nie musi być określana przez jedno zdarzenie w życiu. Jestem także działaczem społecznym; profesorem uczelni; praktykującym katolikiem, który się do tego przyznaje; mam różne wymiary...

## Wymiar I. Ministrant i opozycjonista

Ojciec profesora, Stanisław Żaryn, przedwojenny architekt i oficer, został ranny we Wrześniu 1939 roku. Potem wstąpił do konspiracji – działał w Narodowych Siłach Zbrojnych i Armii Krajowej. Walczył w powstaniu warszawskim. Po wojnie współtworzył Biuro Odbudowy Stolicy, dzisiaj jest patronem ulicy na Mokotowie.

Matka, Aleksandra, prawniczka, podczas okupacji wraz z mężem ukrywała w rodzinnym majątku w podwarszawskich Szeli-gach Żydów – za co oboje zostali odznaczeni medalami „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”.

Ich urodzony w 1958 syn Janek od małego był ministrantem w kościele św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży w Warszawie. Maturę zdał w 1977 roku w prestiżowym XV LO im. Narceży Żmichowskiej, po czym dostał się na wymarzone studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Podczas karnawału „Solidarności” nie wstą-

pił do Niezależnego Zrzeszenia Studentów, tylko do jeszcze bardziej antykomunistycznego Ruchu Młodej Polski. W stanie wojennym dawał prywatne wykłady z historii licealistom i pisał do podziemnej prasy.

W listopadzie 1982 roku podczas demonstracji zatrzymało go ZOMO, z zakładu na Białolecie wyszedł m.in. dzięki poręczeniu prof. Aleksandra Gieysztora, słynnego historyka, dyrektora Zamku Królewskiego. Przed sądem odpowiadał z wolnej stopy. Ostatecznie, dzięki zabiegom adwokata Czesława Jaworskiego, zarzut „udziału w zbiegowisku i stawiania czynnego oporu milicji” upadł – student Żaryn został uniewinniony. Od 1984 roku uczył historii, m.in. w topowym liceum Batorego, jednocześnie pracował naukowo: w 1996 roku obronił w Instytucie Historii PAN doktorat: „Stosunki między władzą państwową a Kościołem katolickim w Polsce w latach 1945–1950”.

Żona profesora, Małgorzata, też jest historykiem. Ślubu udzielił im założyciel Oazy, czyli Ruchu Światło-Życie, zmarły w 1987 roku ks. Franciszek Blachnicki. Małgorzata od 2004 roku była kustoszka w Muzeum Powstania Warszawskiego, potem w Muzeum Historii Polski. Mają troje dzieci, ich syn Stanisław – politolog, dzienni-

karz katolickiej „Frondy” – był za rządów PiS rzecznikiem koordynatora służb Mariusza Kamińskiego.

## Wymiar II. Twarz polskiego nacjonalizmu

Dorobek Jana Żaryna jako „działacza społecznego” jest imponujący. Działa w kilkunastu zrzeszeniach, wyliczę tylko kilka z brzegu: stowarzyszenie katolików Fides et Ratio, fundacja Dzieło Nowego Tysiąclecia („upowszechnia naukę Jana Pawła II Świętego”), komitet redakcyjny Biblioteki Świętej Jadwigi Królowej, rada redakcyjna konserwatywnego periodyku „Głaukopis”, Fundacja „Żołnierzy Wyklętych”, zespół historyczno-teologiczny Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie, Katolickie Stowarzyszenie Wychowawców, Związek Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych...

Gdy po roku 2000 Radio Maryja rozkręciło – w kontrze do debaty o polskim udziale w Zagładzie i rozrachunków z polskim antysemityzmem, rozpoczętych po publikacji „Sąsiadów” Jana Tomasza Grossa o pogromie w Jedwabnem – akcję poszukiwania i upamiętniania rodaków pomagającym Żydom podczas okupacji, Żaryn stał się również filarem Komitetu dla Upamiętnienia Polaków Ratujących Żydów.

Chciałem akurat profesora, jak znajduje czas na to wszystko, ale nie chciał rozmawiać. – Skoro „Wyborcza” zamierza drukować o mnie artykuł, to najpewniej, żeby przedstawić albo jako faszystę, albo jako idiotę – wyjaśnił.

Dlaczego akurat faszystę?

Może dlatego, że przed laty objął funkcję redaktora naczelnego pisma byłych żołnierzy NSZ „Szaniec Chrobrego”? Periodek miał być kontynuacją konspiracyjnego biuletynu ONR – Obozu Narodowo-Radykalnego – i Związku Jaszczurczego z lat II wojny światowej. Pismo wychwalało NSZ, konspiracyjne wojsko opozycyjne wobec rządu londyńskiego, drukowało ideologów polskiego nacjonalizmu Feliksa Konecznego i Adama Doboszyńskiego, rozmawia-

**Jan Żaryn w TV Republika:  
Niestety tracimy pokolenie  
młodsze, to, które nazywa się  
tam jakoś: zet, alfa...  
Oni mają potrzebę  
wzrastania ku dobremu, ale  
fałszywi dawcy podsunęli  
im tę pożywkę: honorowanie  
środowisk LGBT, różnego  
rodzaju dewiacji**

ło żołnierzami kolaborującej z Niemcami Brygady Świętokrzyskiej NSZ oraz wybielało współpracującą z hitlerowcami nacjonalistyczną Organizację „Toma”, która w latach 1943-45 likwidowała żołnierzy prosowieckiego podziemia z Gwardii i Armii Ludowej, ale też innych nacjonalistów, w tym prywatnych wrogów dowodzącego grupą.

– Przez ten „Szaniec” drugim obok historii Kościoła obszarem kojarzonym z Janem Żarynem stała się tradycja endecka i nacjonalizm – mówi prof. Paweł Machcewicz, współtwórca i były dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, który zna dobrze bohatera. W 2000 roku przyjmował go do pracy w IPN i razem pisali tam teksty. – Potem stał się, obok takich osób jak Robert Bąkiewicz, jedną z twarzy polskiego nacjonalizmu. Niewątpliwie jest kontynuatorem różnych wątków tradycji czy to Stronnictwa Narodowego, czy ONR.

Prof. Żaryn chybaby nie zaprzeczył. Sam stwierdził w Polskim Radiu, że „ONR, czyli wspaniała polska prawica i inteligencja, wypracował bardzo ciekawy program patriotyczny”, zaś „świat wartości, które towarzyszyły żołnierzom, oficerom, a także politykom związanym z NSZ, winien być bliski także dzisiejszemu państwu polskiemu”.

Prof. Machcewicz w pierwszej chwili nie wierzy, że to naprawdę słowa Jana Żaryna: – Przecież deklaracja programowa ONR z 1934 roku postulowała „odżydzenie miast i miasteczek polskich” i stanowiła, że „Żyd nie może być obywatelem Państwa Polskiego”. Oenerowcy chcieli pozbawić praw politycznych również Ukraińców. Odrzucali parlamentaryzm, a w praktyce – demokrację, stosowali przemoc. Jeżeli zdaniem prof. Żaryna to ma być przykład „ciekawego programu” na dzisiejsze czasy, to w mojej głowie brzęczy dzwonek alarmowy...

### Wymiar III. Lustrator i oskarżyciel

W 1993 roku Żaryn walczył o mandat posełski z listy Porozumienia Centrum, liczącego się wówczas na młodej, kipiącej po Okrągłym Stole i transformacji ustrojowej scenie politycznej, ale przepadł, jak również cała partia braci Kaczyńskich.

Pięć lat później stał się bohaterem niewielkiej afery. Resort spraw zagranicznych rządu Jerzego Buzka zamówił u niego broszurę przeznaczoną dla zachodniego czytelnika. Nosiła tytuł „Od niepodległości do teraźniejszości”, a Żaryn pisał w niej m.in.: że powojenny antysemityzm był „zrozumiałą” reakcją społeczeństwa na wstępowanie Żydów do stalinowskiego NKWD i bierutowskiego UB; że „na reformach Leszka Balcerowicza zyskali dygnitarze wywodzący się z PRL”; że rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego – drugi rząd III RP, zdominowany przez wolnorynkowych liberałów zdecydowanych prywatyzować i urynkować odziedziczone po PRL przedsiębiorstwa – „prowadził prywatyzację poprzez atrakcyjną dla kapitału zagranicznego likwidację przedsiębiorstw”; a polityka „grubej kreski” wyłonięnego po pierwszych wolnych wyborach i upadku PRL rządu Mazowieckiego zrelatywizowała „wszystkie podstawowe wartości, w tym patriotyzm”.

Po medialnej burzy MSZ wycofał broszurę, zaś Żaryn wytłumaczył, że jedynie „chciał wzbudzić debatę o najnowszej historii Polski”. Co zostało dostrzeżone po prawej stronie. W październiku 2000 roku historyk sygnował (m.in. z prof. Tomaszem Strzemboszem, słynnym wówczas historykiem, Wojciechem Roszkowskim, wtedy autorem popularnych książek o polskiej historii najnowszej, dziś autorem niesławnego podręcznika do HiT-u, i znaną socjolożką prof. Barbarą Fedyszak-Radziejowską) „List warszawskiej inteligencji z poparciem

Mariana Krzaklewskiego w wyborach prezydenckich”. Intelktualiści poparli rozdającego karty na prawicy lidera związkowej „Solidarności” i szefa dominującej w rządzie Akcji Wyborczej Solidarność przeciwko walczącemu o drugą kadencję Aleksandrowi Kwaśniewskiemu.

A już w grudniu prof. Leon Kieres, prezes świeżo powołanego Instytutu Pamięci Narodowej, zatrudnił go w Biurze Edukacji Publicznej IPN. Żaryn zajął się m.in. lustracją – tematem dziś archiwalnym, ale wtedy budzącym społeczne emocje porównywalne do dzisiejszej debaty aborcyjnej – i zadeklarował jako zwolennik szerokiego otwarcia archiwów bezpieki. W „Gazecie Polskiej”, bodaj najważniejszym wówczas tytule prawicy, tłumaczył, że misją IPN jest „zmiana świadomości historycznej Polaków, tak by poprzez poznanie poczuli się wolni od peerelowskich demonów i przerwali zaklęty krąg patologicznych układów narosłych w latach komunizmu i aktualnych w III RP”. Jego zdaniem ujawnianie danych tajnych współpracowników SB jest dążeniem do poznania autentycznych, a nie pomnikowych biografii działaczy „Solidarności”, w tym samego Lecha Wałęsy.

I nie tylko jego: latem 2005 roku Żaryn, Machcewicz i redaktor naczelny „Gościa Niedzielnego” Andrzej Grajewski opublikowali „raport-świadectwo” na temat współpracy z SB dominikanina Konrada Hejmy. Wybuchł skandal, bo publikacja uderzyła w postać symboliczną – Hejmo był dyrektorem rzymskiego Ośrodka dla Pielgrzymów Polskich i przyjacielem Jana Pawła II. Zakonnik wprawdzie twierdził, że nie był „świadomym donosicielem”, ale ujawnione dokumenty, w tym lista prezentów, jakie dostawał od SB, mówiły same za siebie.

Jeszcze poważniejszą lustracyjną potyczką Żaryna okazała się awantura wokół nadania Lechowi Wałęsie statusu pokrzyw-

zonego przez SB. Przyszły senator był już wówczas dyrektorem całego BEP IPN, a mianował go na to stanowisko (w miejsce Machcewicza) nowy prezes IPN Janusz Kurtyka.

W kwietniu 2009 roku profesor w TOK FM oskarżycielsko stwierdził, że za prof. Kieresa część pracowników IPN manipulowała sprawą lustracyjną Wałęsy, aby ukryć jego współpracę z SB. Jak mówił, legenda antykomunistycznej „Solidarności” i były prezydent został uznany ofiarą bezpieki, „ponieważ poprzedni prezes Instytutu uważał go za postać wybitną, której ów status się po prostu należy niezależnie od życiorysu”. Tymczasem za pokrzywdzone można uznać jedynie osoby, wobec których nie ma śladu rejestracji jako współpracowników – a Wałęsa figuruje wszak w aktach jako tajny współpracownik „Bolek”.

Dziś to nie bulwersuje, szczególnie po odnalezieniu w 2016 r. w domu gen. Czesława Kiszczaka, byłego szefa SB i milicji, oryginalnej teczki Wałęsy. Wtedy jednak słowa Żaryna wywołały poważne poruszenie. Tym bardziej, że sam noblista twierdził i nadal twierdzi, że nie był współpracownikiem SB.

Po słowach Żaryna o byłym prezydencie szef klubu parlamentarnego Lewicy, dziś zapomniany, ale wówczas typowany na „polskiego Tony’ego Blaira” Wojciech Olejniczak postulował nawet likwidację IPN, który za pieniądze podatników kala „symbol Polski”, jakim jest gdański noblista.

Poddany presji Kurtyka, mimo sympatii do Żaryna, odwołał go z funkcji dyrektora BEP. I od razu uczynił swoim doradcą.

### Wymiar IV. Obrońca Janusza Walusia i autor Karnowskich

Po katastrofie smoleńskiej Żaryn został członkiem komitetu poparcia prezesa PiS

REKLAMA

R E K L A M A

Kraj/34349295

## PRZEJRZYSTE PROCEDURY, KONKURSY NA ZASADACH FAIR PLAY

# PROO i NOWEFIO 2025

Narodowy Instytut Wolności rozpoczął nabór wniosków do dwóch rządowych programów dotacyjnych dla NGO.

*– Procedura konkursowa jest transparentna, środki dostępne dla szerokiego grona organizacji, a zasady sprawiedliwe. Regulaminy konkursów nie pozwolą na żadną ingerencję w wyniki. Liczyć będzie się tylko merytoryczna ocena ekspertów* – mówi Michał Braun, dyrektor NIW-CRSO. Wnioski do programów PROO oraz NOWEFIO można składać do 10 grudnia. Do dyspozycji jest w sumie 120 milionów złotych.

Do tej pory nie było w Polsce ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego. Po raz pierwszy ta funkcja pojawiła się w rządzie Donalda Tuska. Od niedawna pełni ją Adriana Porowska, która przez dziesięćnaście lat była związana z Kamiliąską Misją Pomocy Społecznej. Ma więc duże doświadczenie w pracy w III Sektorze.

Tak mówiła o jego znaczeniu i sile na dorocznej konferencji NIW: – *Naszą rolą jest m.in. edukowanie i pokazywanie ludziom, że sprawczość jest w ich rękach. Kto jak nie organizacje pozarządowe i ludzie działający na ich rzecz widzą to najlepiej i mogą działać? Szukajcie NGO w swojej okolicy i budujcie sojusze. Te sojusze mogą wspólne występować do władz lokalnych i pokazywać: słuchajcie, jesteśmy.*

*Nie tylko po to, aby korzystać z pieniędzy i wykonywać usługi, które są zadaniami własnymi gminy. Ale po to, by pokazywać kierunki, by ściągać często niemałe pieniądze do samorządów i pokazywać innowacyjne rozwiązania, które łączą.*

### Miliony w puli

Teraz środki, o których mówi ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego, są w zasięgu każdej organizacji. W sumie, z dwóch źródeł, do dyspozycji będzie 120 milionów złotych. Mogą się o nie starać organizacje pozarządowe oraz inne instytucje prowadzące działalność pożytku publicznego.

Pierwsze z tych źródeł to Rządowy Program Rozwoju Organizacji Obywatelskich (PROO), oferujący dotacje na rozwój instytucjonalny organizacji. Jeszcze szerszy zakres ma Rządowy Program Fundusz Inicjatyw Obywatelskich (NOWEFIO), dzięki któremu stowarzyszenia i fundacje mogą realizować dziesiątki działań różnego rodzaju.

W regulaminach konkursów wprowadzono sporo istotnych zmian. Co ważne, wynikają z konsultacji, w których wzięli udział przedstawiciele organizacji pozarządowych. Co się zmieniło? Przede wszystkim, wprowadzono transparentne zasady naboru ekspertów oceniających wnioski, jak również procedury zapobiegające ingerencji w wyniki konkursów. Poza

tym, fundusze zostały podzielone z myślą o małych, średnich i dużych organizacjach – dzięki temu młode NGOsy nie będą już musiały konkurować z doświadczonymi organizacjami, a dodatkowe punkty otrzymają te, które do tej pory nie korzystały z funduszy PROO. Inny przykład ważnej zmiany: programy wspierania mediów obywatelskich, organizacji strażniczych i think-tanków kierowane będą do organizacji, które faktycznie prowadzą taką działalność, co najmniej od 12 miesięcy.

### Dowiedz się więcej

Szczegóły dotyczące naboru dostępne są na stronie internetowej [www.niv.gov.pl](http://www.niv.gov.pl). Można tam znaleźć również harmonogram spotkań w regionach.

*– Ruszamy z dużą kampanią informacyjną na temat regulaminów konkursów, będziemy we wszystkich województwach. Zachęcamy do zapraszania nas do swoich miejscowości. NIW przeprowadzi także szereg webinarów. Działa również specjalna infolinia* – mówi Adela Gąsiorowska, zastępca dyrektora Narodowego Instytutu Wolności.

Oprócz konkursów w ramach edycji 2025, organizacje realizować będą także projekty wieloletnie. W sumie NIW-CRSO przekaże w przyszłym roku ponad 220 mln zł rządowego wsparcia dla organizacji pozarządowych.



Narodowy Instytut Wolności  
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego



w wyborach prezydenckich oraz rady programowej Ruchu Społecznego im. Świętej Pamięci Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Zainicjował też powstanie stowarzyszenia Polska Jest Najważniejsza, z którego później wyklula się partia o tej nazwie – już bez udziału Żaryna, za to z licznymi prominentnymi konserwatywnymi politykami, którym otworzyły się oczy po latach wspierania PiS, w rodzaju Joanny Kluzik-Rostkowskiej, Jana Oldakowskiego, Marka Migalskiego czy Pawła Kowala. W kolejnym roku historyk został przewodniczącym rady programowej Muzeum im. Rodziny Ulmów w Markowej, upamiętniającego rodzinę wymordowaną przez Niemców za ukrywanie Żydów, wystartował też do Senatu z elbląskiej listy PiS. „Gościowi Niedzielnemu” tłumaczył, że kandyduje, ponieważ „jest przerażony tym, co dzieje się w polskiej polityce”.

A co się takiego działo w 2011 r.?

Rządząca Platforma Obywatelska szykowała się do kolejnego zwycięstwa w wyborach parlamentarnych, w siłę rósł Ruch Palił, niosący na sztandarach hasła dziś mainstreamowe, wtedy szokujące, w rodzaju liberalizacji aborcji, związków partnerskich, usunięcia religii ze szkół czy legalizacji marihuany – zdaniem Żaryna polityczny Frankenstein stworzony, by mieszać wyborcom w głowach.

Walcząc o senatorski mandat, Żaryn atakował: – Liberalizm w lewackiej wersji chce uszczęśliwiać człowieka na siłę (...) tylko trzeba zabić nienarodzonych, starszków, a jeszcze uznać, że kazirodztwo to kolejny przejaw wielości, i jeszcze, i jeszcze... Bo ludzie chcą.

Mimo prawicowej wyrazistości sukcesu w Elblągu nie było. Kandydat PiS uzbierał 20 proc. głosów, konkurent z PO półtora raza więcej. Senatorem z okręgu podwarszawskiego historyk został dopiero w 2015 roku. Był wówczas redaktorem naczelnym miesięcznika braci Karnowskich „W Sieci Historii” i obok profesorów Ryszarda Legutki, ponoć ulubionego partnera intelektualnego prezesa PiS, oraz Andrzeja Nowaka jednym z głównych ideologów PiS. Bezpośredniego dostępu do ucha Kaczyńskiego raczej nie miał, lecz do wicepremiera-ministra kultury profesora Piotra Glińskiego – już tak. Okaże się to ważne.

Jako senator Żaryn wypowiadał się na wszystkie istotne tematy. W portalu wPolityce.pl braci Karnowskich deklarował konieczność zatrzymania pochodzu islamu. „Walka z islamem najazdem nie będzie łatwa, jeżeli nie będziemy dawać świadectwa, że jako chrześcijanie jesteśmy boskimi stworzeniami”, a nie tylko opierać się na przepisach prawa migracyjnego.

Domagał się wznowienia ekshumacji w Jedwabnem, ponieważ „wymaga tego polska racja stanu”. Bo zbyt łatwo przyjęliśmy, że Żydów spalili Polacy, a mogli to przecież zrobić Niemcy.

Gdy ambasadorka Izraela Anna Azari w rocznicę Marca '68 ubolewała nad żywotnością polskich „demonów antysemitizmu”, Żaryn w telewizji wPolsce.pl wezwał do jej wydalenia z kraju. Jego doktorant i kolega z IPN Wojciech Muszyński orzekł przecież, że rok 1968 tylko „umożliwił Judeopolonii wyrosłej z ubecko-politruckich korzeni” ucieczkę przed odpowiedzialnością za zbrodnie popełnione w latach stalinizmu.

Zabrał głos w debacie o pedofilii wśród księży, przekonując, że to „świat zewnętrzny spowodował zniszczenia wewnątrz Kościoła, jak pedofilia czy homoseksualizm, który nie Kościół wymyślił”.

Bronił Janusza Walusia, który w 1993 roku, gdy w RPA kończył się apartheid, zastrzelił Chrisa Haniego, przywódcę partii komunistycznej i jednego z liderów walki o prawa czarnych mieszkańców. Żaryn wyznał, że jako parlamentarzysta „podejmuje działania dla jego uwolnienia z więzienia”. Skazany na dożywocie Walus wyszedł w 2022 roku, nie wiadomo, czy profesor miał w tym udział.



• Warszawa, 2.04. 2024. Jan Żaryn razem z uczestnikami Narodowego Marszu Papieskiego w 18. rocznicę śmierci Jana Pawła II

W wyborach trzy lata wcześniej nie odnowił mandatu parlamentarnego. I wówczas przydała się znajomość z Glińskim, który stworzył dlań Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej. – Nawet nie ukrywał, że tworzy instytucję specjalnie dla człowieka – mówi prof. Machciewicz. – Chodziło też, jak sądzę, o pozyskanie dla PiS, rękami Żaryna, najtwardszych narodowców. Tych, których poznał jako redaktor „Szańca”.

PiS-owska władza przyznała Instytutowi – na działalność bieżącą – kilkanaście milionów złotych. Do tego w ciągu trzech lat ponad 100 mln zł dotacji na podlegający Żarynowi Fundusz Patriotyczny plus 40 mln na zakup nieruchomości. I jeszcze 27 mln na przyszłe Muzeum Dziedzictwa Chrześcijańsko-Narodowego w Polsce. – Dlaczego myśl polityczna endecji została przez rząd potraktowana wyjątkowo? – pytał lider Partii Razem Adrian Zandberg. – Czemu inne stronnictwa, takie jak Polska Partia Socjalistyczna czy Bund, nie zasłużyły na podobne placówki badawczo-edukacyjne?

### Wymiar V. Współpracownik antysemitów i nacjonalistów

Wicedyrektorem IDMN został historyk Paweł Skibiński, publicysta „Frondy” i „W Sieci Historii”, członek Opus Dei, były dyrektor Muzeum Jana Pawła II w stołecznej świątyni Opatrzności Bożej. Skibiński, znany m.in. z publikacji o dyktaturze generała Franco, bagatelizował jej zbrodnie. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” podkreślił, że czas rządów junty „był okresem prężnego rozwoju Hiszpanii”.

Zastępcą Żaryna ds. projektów krajowych został Andrzej Turkowski, były członek zarządu Stowarzyszenia Marsz Niepodległości Roberta Bąkiewicza, które stało się szybko beneficjentką dotacji z funduszy IDMN.

Kierownikiem działu wydawnictw został Jakub Siemiątkowski, były sekretarz

Młodzieży Wszechpolskiej i współzałożyciel pisma „Szturm”. Można w nim przeczytać, że Eligiusz Niewiadomski, zabójca Gabriela Narutowicza, pierwszego prezydenta niepodległej Polski, wybranego w 1922 roku głosami posłów lewicy i mniejszości narodowych, to autor „chwalebego zamachu na prezydenta wybranego przez wrogie Polsce siły”.

W dziale naukowym IDMN zatrudniono byłego współpracownika Janusza Korwin-Mikkego Michała Gniadka-Zielińskiego, który zasłynął stwierdzeniem, że „feminizm był metodą bolszewizmu na omotanie kobiecej części świata”. Gniadek to wice-naczelnik miesięcznika „Myśl Konserwatywna”, w którym drukowali m.in. Konrad Rękas – lider otwarcie prokremlowskiej partii Zmiana, czy wskrzesiciel ONR Adam Tomasz Witczak.

Członkami rady programowej Instytutu zostali m.in. były poseł i eurodeputowany PiS o fundamentalistycznie katolickich poglądach – Marek Jurek; stały komentator Radia Maryja – prof. Mieczysław Ryba; dyrektor w Instytucie Solidarności i Męstwa im. rotmistrza Witolda Pileckiego – dr Wojciech Kozłowski; wreszcie Marian Barański – wiceprezes kanapowego Stronnictwa Narodowego „Szczerbiec”. Stowarzyszenie zgodnie ze statutem ma „walczyć z aborcją, homoseksualizmem, konkubinatem i innymi zбочeniami”, a także z „masonską propagandą równości wszystkich ludzi i ras”. A Barański na tle innych współpracowników Żaryna wygląda najbardziej oryginalnie. Niegdyś mentor skinheadów, potem współpracownik „judeosceptyków” (m.in. Kazimierza Świtonia, który zasłynął stawianiem krzyży w Auschwitz, przedstawiającego się jako „naczelnik antysemita RP” wydawcy brukowych czasopism Leszka Bula i Zygmunta Wrzodaka, w późnych latach 90. wpływowego związkowego trybuna z fabryki Ursus), wreszcie związał się

z gwiazdą YouTube’a, „kamratem” Wojciechem „Jaszczurem” Olszańskim.

Po napaści Rosji na Ukrainę w 2014 roku podpisał się pod wiernopoddańczym „Listem Słowian do Putina”, w którym wyraził radość z tego, że „po wielu niekorzystnych latach demontażu Rosji nastąpiło jej odrodzenie w duchu moralnym oraz chrześcijaństwa”. Bo „tylko Wielka Chrześcijańska Rosja może zatrzymać marsz szatana Zachodu na nasze słowiańskie ziemie”.

Do współpracowników IDMN należał też Rafał Mossakowski, pełnomocnik komitetu wyborczego Grzegorza Brauna, współorganizator „miesięcznik wołyńskich” pod warszawską ambasadą Ukrainy, siewca spiskowych teorii na temat szczepionek i telefonii 5G, a przede wszystkim twórca nacjonalistycznego serwisu Centrum Edukacyjne Polska (dawniej CE Powiśle). Można się z niego dowiedzieć m.in., kto był prawdziwym sprawcą Holocaustu i dlaczego Żydzi („Niemcy nie parali się tym, żeby Żyda jakiegokolwiek tam łapać, wozić do Oświęcimia czy innej Treblinki. Tym się zajmowali oni sami”) oraz kto rządzi w Polsce („po roku 1944 nastąpiła okupacja naszego kraju przez siły żydowsko-masońskie, które władają nami do dzisiaj”).

Następny współpracownik IDMN to monarchista, profesor uczelni w Toruniu Jacek Bartyzel – apologeta premiera Węgier Viktora Orbána („albo Orbán, albo Żydopeszt”), autor stwierdzenia „Żydzi, plemię zmiłowe pełne pychy, jadu i złości”.

Na koniec Maciej Motas i Arkadiusz Miksa – publicyści nacjonalistycznych portali „Myśl Polska” i „Magna Polonia”, którzy rozpowszechniają w sieci narracje zbieżne z rosyjskimi, oraz doktor Krzysztof Kawęcki, były prezes partii Marka Jurka Prawica RP, publicysta Radia Maryja, redaktor pism „Wielka Polska”, „Polska Narodowa”, „Prawica Narodowa” itp., autor apologii ONR, który kilka razy bezskutecznie startował do Sejmu i samorządu Mazowsza kolejno z partii: ZChN, AWS, PiS oraz Kukiz'15.

### Wymiar VI. Dyrektor instytutu na zakupach

Działający od 17 lutego 2020 roku instytut prof. Żaryna odniósł kilka sukcesów: doprowadził do nazwania stołecznego Dworca Wschodniego imieniem swojego pierwszego patrona – Dmowskiego; ufundował dwie poświęcone mu tablice, objął opieką grób i ogłosił konkurs na najciekawsze prace magisterskie/doktorskie o polskim ruchu narodowym.

*W Instytucie kierowanym przez Jana Żaryna znaleźli się: członek Opus Dei, członek zarządu Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, były sekretarz Młodzieży Wszechpolskiej, współpracownik Janusza Korwin-Mikkego oraz mentor skinheadów i autor „Listu Słowian do Putina”*

Aby uczcić drugiego z patronów, sprowadził ze Szwajcarii (za równowartość 300 tys. złotych) należący do Paderewskiego fortepian. Szymon Jadczyk z Wirtualnej Polski odkrył, że ta „perła w koronie Instytutu” jest warta najwyżej kilkanaście tysięcy, a Paderewski „nawet przy tym fortepianie nie stał, o graniu nie wspominając”. Instrument nie ma żadnych certyfikatów, ekspertyz czy jakichkolwiek dokumentów potwierdzających związek z Paderewskim.

Od początku działania IDMN jego pracownicy i współpracownicy włączyli się też w walkę wyborczą. Przed drugą turą wyborów prezydenckich podpisali „Apel środowisk niepodległościowych, narodowych i chrześcijańskich” o głosowanie na Andrzeja Dudę. Oprócz Żaryna sygnowali go m.in. Ryba, Bartyzel, Barański i Kawęcki. Wsparcie Dudy przez „uczniów Dmowskiego” nie było darmowe, o czym świadczą ujawnione e-maile Michała Dworczyka, szefa kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego. Nacjonaliści mieli oczekiwanie: domagali się nowelizacji dwóch ustaw – umożliwiającej domowe nauczanie młodzieży oraz o koniecznej zgodzie rodziców na wejście zewnętrznych edukatorów (w domyśle – od seksu) do szkół podstawowych. W zamian oferowali organizację przed warszawskim ratuszem demonstracji przeciw konkurentowi Dudy – Rafałowi Trzaskowskiemu, a także wygwizdanie tegoż podczas kampanijnych wizyt w Białymstoku, Lublinie i Rzeszowie.

Duda istotnie zapowiedział taką nowelizację prawa oświatowego, by organizacje pozarządowe nie miały wstępu do szkół bez zgody kuratorium; spotkał się też z „delegacją rodzin”, której obiecał poprzeć poselski projekt ustawy o edukacji domowej. „Środowiska niepodległościowe, narodowe i chrześcijańskie” odwdzięczyły się miernie: protest przed magistratem nie wypalił, podczas trasy wyborczej Trzaskowskiego gwizdów było niewiele. Prezydent Warszawy jednak przegrał, więc Żaryn i współpracownicy mogli planować przyszłość.

W 2021 roku minister Głiński obiecał, że w ciągu siedmiu lat Instytut otrzyma kolejne 32 mln, ale w październiku 2023 PiS przegrał wybory, w grudniu oddał władzę, zaś Instytutem i jego Funduszem Patriotycznym zainteresowała się NIK.

Wymiar VII. Sponsor wykiwany przez narodowców?

Jej raport z maja był dla zwolnionego już Żaryna fatalny. Cytuję: „Stwierdzono nieprawidłowości w przyznawaniu i rozliczaniu wsparcia finansowego [w ramach którego Instytut] rozdał niemal 102 mln zł. Kontrola pokazała, że umożliwiano poprawienie wniosków nawet po zakończeniu naborów, a dofinansowanie przyznawano także tym, których wnioski zawierały błędy formalne i merytoryczne. Zidentyfikowano przypadki, w których osoby oceniające wnioski były powiązane z organizacjami ubiegającymi się o wsparcie. Dyrektor Instytutu Jan Żaryn bez uzasadnienia przekazał 19 beneficjentom w sumie blisko 1,5 mln zł”.

IDMN obdarowywał przede wszystkim Roberta Bąkiewicza. Organizacje z nim powiązane otrzymały ponad 13 mln zł. Na liście beneficjentów są: Stowarzyszenie Straż Narodowa, Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, Roty Marszu Niepodległości, Media Narodowe i parę innych podmiotów, z których jeden otrzymał pół miliona na zakup nieruchomości pod Siedlcami – ma tam powstać bąkiewiczowski Dom Patriotów.

Kolejny beneficjent to Fundacja Patriotyczna im. Witolda Pileckiego ze Szczecina. Założył ją przed samym ogłoszeniem konkursu Bartłomiej Ilcewicz – miłośnik „żolnierzy wykłętych”, a jednocześnie współpracownik posła Solidarnej Polski Dariusza Mateckiego. Jesienią 2021 fundacja Ilcewicza kupiła za 400 tys. zł pozyskanych od IDMN mieszkanie w centrum Szczecina na „hub dla wolontariuszy i patriotyczny think tank”. Gdy dwa i pół roku później to miejsce odwiedziła dziennikarka serwisu OKO.press, lokal stał pusty.

Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej 1945 dostał od FP 400 tys. zł. Szeffował mu Piotr Rydzewski, radny PiS w Suwałkach, organizator tamtejszych Marszów Niepodległości. Za dotację suwalska organizacja kupiła mieszkanie. Dziennikarze OKO.press sprawdzili, że i tam nic się nie działo.

– W związku z nieprawidłowym przekazywaniem środków finansowych złożyliśmy w prokuraturze kilka zawiadomień o możliwości popełnienia przestępstwa – mówi obecny, powołany przez nowego ministra kultury, p.o. dyrektora Instytutu znany historyk i pisarz Adam Leszczyński. – Zawiadomienia dotyczyły osobiście zarówno prof. Żaryna, jak i innych osób pracujących tutaj za jego kadencji. Cały czas trwa audyt, wychodzą na jaw kolejne nieprawidłowości i nie wykluczamy nowych zawiadomień.

W maju Żaryn opublikował w „Rzeczpospolitej” skierowane poniekąd też do Leszczyńskiego oświadczenie „Pozbawia się mnie prawa do obrony”. Napisał: „W ciągu czterech lat istnienia IDMN wydaliśmy ok. 80 książek, różnej wielkości i wagi, w tym takie, które otrzymały nagrody (m.in. Feniksy, czyli Wydawców Targów Katolickich, czy prestiżowa Książka Historyczna Roku im. Oskara Haleckiego). Ponadto wydaliśmy niezwykle cenne publikacje m.in. dotyczące Augusta Hłonda, Romana Dmowskiego czy też ks. Jerzego Popiełuszki, wywiad rzekę ze Stanisławem Gebhardtem odznaczonym przez prezydenta RP Orderem Orła Białego itd., itd. Żaden historyk zajmujący się dziejami obozu narodowego i katolicyzmu społecznego w Polsce czy historią Kościoła katolickiego w XIX i XX w. w kraju i na emigracji nie może pominąć tego dorobku. (...) Udało się stworzyć bardzo prężny Klub Nauczyciela liczący ok. 1000 członków, zorganizować liczne wykłady, konferencje. To naprawdę spory dorobek”.

Dalej w tekście Żaryn dezawuuje swego następcę Leszczyńskiego, a potem już do sedna: „Celem Funduszu Patriotycznego niewątpliwie było wzmocnienie w przestrzeni publicznej środowisk do tej pory wykluczonych lub niezwykle ważnych dla polskiej pamięci historycznej. Nie tu miejsce na ich wymienianie, gdyż w ciągu czterech lat FP przeznaczył pieniądze na ok. 650 projektów. Słyszę plotki, że w ramach dziwnie rozumianej praworządności niektórzy beneficjenci będą musieli zwrócić zgodnie z prawem przyznane im pieniądze. Jeśli to prawda, to znaczy, że obecna władza chce zabić społeczną aktywność środowisk pravicowych”.

Czas na podsumowanie. Z ostatnim pytaniem idę do prof. Antoniego Dudka, historyka i politologa, publicysty „Rzeczpospolitej”. Dudek zna się z Żarynem od przeszło 20 lat, pisali doktoraty na podobne tematy. Obecnie jedynie się „tolerują”.

– Czy Janowi Żarynowi udało się przyciągnąć „najtwardszych narodowców” do PiS?

– Nie mam takiego wrażenia. Skupił wokół Instytutu grupę ludzi o narodowych sympatiach, ale oni tam nie robili polityki, tylko na przykład siedmiotomowy słownik biograficzny działaczy katolickich. Nic mi też nie wiadomo, aby profesor Żaryn kształcił w instytucie młodych narodowców. Natomiast Fundusz Patriotyczny mógł być jakimś kluczem do nich – w ten sposób pozyskano, jak mi się zdaje, Roberta Bąkiewicza. Tylko czy on jest tak ważny? W jego otoczeniu też zaszło pęknięcie... ale mniejsza o to.

Istotne jest – kończy profesor – że nie udało się pozyskać Krzysztofa Bosaka. Dlatego, kiedy czytam o tych milionach z Funduszu, myślę, że narodowcy wzięli, a nie pokwitowali. ●

\*znana aktywistka, za rządów PiS ikona ulicznej walki o praworządność, weteranka pikiet i manifestacji pod Sejmem

\*\* drobny zbankrutowany przedsiębiorca, który zostawszy narodowcem przejął organizację Marszów Niepodległości i został koniem trojańskim PiS w ruchu narodowym, za co rządy Zjednoczonej Prawicy nagrodziły go wielomilionowymi dotacjami

# Galileusz była czarownicą

Skoro przed świętami i nowym rokiem wszyscy układają rankingi, to ja też



Marcin Matczak

Zbliża się grudzień, a z nim wszelakie rankingi: najlepsze książki roku, największe rozczarowania miesiąca, influencer dnia i najbardziej kontrowersyjny post ostatniej minuty.

Nie dajmy się zwariować. Wprawdzie czas się kurczy, a życie przyspiesza, ale my na przekór tej hegemonii terazniejszości patrzmy na sprawy szerzej. Oto ranking największych procesów – nie 2024 roku, nie XXI wieku, ale największych procesów w historii świata! Przedstawiam go Państwu w dwóch częściach. Dziś miejsca od dziesiątego do szóstego, za tydzień sam szczyt tego subiektywnego rankingu.

## Miejsce 10. Proces czarownic z Salem

Rok 1692, Massachusetts. Dwie dziewczynki, Betty Parris i Abigail Williams, oskarżają sąsiadki o czary i rozpoczyna się histeria. Na końcu w majestacie prawa ginie 14 kobiet, 5 mężczyzn i dwa psy – a ludzkości pozostaje wspomnienie procesów, w których dosłownie wszystko poszło nie tak. Dowodem mogło być znanie na skórze albo twierdzenie oskarżycieli (wśród których byli rodzice „torturowanych” przez „czarownice” dzieci), że widzieli, jak zjawy oskarżonych znęcają się nad ofiarami. Obrony nie przewidywano, egzekucje przeprowadzono szybko i sprawnie.

Do dzisiaj nie wiadomo, czy powodem tego szaleństwa było zatrucie sporyszem, czy chciwość. Większość straconych kobiet nie miała rodzin, a jednocześnie posiadała grunty, które po ich śmierci skwapliwie przejęto. Efektem historii z Salem jest nauka, która ciągle kształtuje współczesne postępowanie karne – jeśli nie ma gwarancji sprawiedliwego procesu, da się ludzi oskarżyć i powiesić dosłownie za wszystko.

## Miejsce 9. – Sprawa Bush v. Gore

Pierwsza w historii sprawa, w efekcie której sąd wybrał prezydenta USA, jak mówią złośliwi. W przeciwieństwie do ostatnich wyborów, gdzie wygrała Trumpa nad Harris przysła szybko, w 2000 r. łatwo nie było. Decydowały głosy oddane na Florydzie, a nie było wiadomo, jak zostały oddane z powodu prymitywnej technologii – dziurkacza. Jak bardzo przedziurawiona musi być kartka do głosowania, żeby uznać, że głos został oddany? Czy całkowicie, czy częściowo? Czy dziurka może zwiśać?

Podziurawione kartki trzeba było liczyć ręcznie. A im dłużej liczono, tym bardziej na Florydzie wygrywał Gore. Pewnie on zostałby prezydentem, gdyby liczono do końca. Ale na to nie pozwolił Sąd Najwyższy, stwierdzając, że brakuje jasnych przepisów, na ile przedziurawioną kartkę można uznać za przedziurawioną, a to umożliwia manipulację. Kazał zakończyć ręczne liczenie i wygrał Bush.

A potem był zamach na World Trade Center, wojna w Iraku i Afganistanie, i wszystko, co z nich historycznie wynika, a co mogłoby być inne, gdyby papierowe kółeczko na kartce nie zawisło, ale od niej odpadło.

## Miejsce 8. – Proces Galileusza

Rok 1633. Wielki spór pomiędzy genialnym astronomem i Świętą Inkwizycją o naturę świata. Proces przez wielu uważany za symbol walki nauki z religijnym zabobnem, choć jak wskazują badacze, to współczesna, antyreligijna jego interpretacja. Galileusz, wspierając heliocentryzm Kopernika, kwestionował nie przede wszystkim religię, ale ówczesną naukę, która – jak się jej wydawało – miała silne dowody na to, że to Ziemia leży w środku wszechświata.

Podpadł jednak dawnemu koledze, papieżowi Urbanowi VIII, bo z niego zakpił w swojej książce (nie należy żartować z władców), podpadł Kościołowi i – oskarżony o herezję – trafił na resztę życia do aresztu domowego. Zrehabilitowany przez Watykan po 359 latach, zostanie zapamiętany także ze złośliwego „a jednak się kręci”. My pamiętamy ten proces jako próbę zatknięcia nauce ust, która nigdy się nie udaje.

## Miejsce 7. Roe vs. Wade

Rok 1973, USA i najgłośniejsza w historii sprawa o konstytucyjność prawa do aborcji. Decyzją 7 do 2 Sąd Najwyższy stwierdza, że z amerykańskiej konstytucji da się wyprowadzić prawo do prywatności. Tym samym uznaje decyzję o usunięciu ciąży za indywidualną sprawę kobiety, w którą nikt nie powinien się wtrącać.

To w tej sprawie sędziowie uzależnili prawo do aborcji od trymestru ciąży, uznając, że im bardziej jest ona zaawansowana, tym więcej interesu państwa w ochronie życia poczętego. To za tę decyzję byli także oskarżani przez wiele lat przez konserwatystów – że prawo do prywatności, wprost w konstytucji niezapisane, wyciągnęli z niej, jak magik wyciąga królika z kapelusza. Proces o dalekosiężnych konsekwencjach nie tylko dla Amerykanów. Spór także i o to, jak dalece może się posunąć prawnicza interpretacja, kiedy tekst prawa jest dość ogólny.

## Miejsce 6. – Małpi proces Johna Scopesa

Proces nauczyciela, który sto lat temu w Dayton uczył dzieci teorii ewolucji, choć zacołane prawo stanu Tennessee tego zabraniało, bo przecież człowiek pochodzi od Boga, nie od małpy.

Dla jednych spór średniowiecza z oświeceniem, dla innych jedna z pierwszych spraw, w której zastosowano metodę „litygacji strategicznej”: procesu wywołanego specjalnie, by rozstrzygnąć ważną społecznie sprawę (Scopes ostatecznie nie pamiętał, czy uczył ewolucji, ale zachęcono go, by tak twierdził, żeby pozwolić sądowi zdecydować, czy kreacjonizm może zamknąć usta ewolucjonizmowi).

To także jedna z pierwszych spraw medialnych – transmitowana przez radio, prowadzona w pewnym momencie na trawniku przed budynkiem sądu z powodu liczby zainteresowanych. Sprawa z udziałem prawników-celebrytów, w tym adwokata, który trzy razy starał się o prezydenturę USA jako kandydat Demokratów.

Scopesa skazano na grzywnę w wysokości 100 dolarów, ale medialnie ewolucjonizm wygrał z kreacjonizmem. Między innymi dlatego, że oskarżycielom trudno było odpowiedzieć na pytanie, skąd Kain wziął sobie żonę, co podkopało nieco naukową wartość Biblii.

● Tyle na dzisiaj, a ja już przyjmuję zakładki, co za tydzień znajdzie się na podium. Czy może spór Jakuba Żulczyka z Andrzejem Dudą? Wyrok TK w sprawie Adama Glapińskiego? A może polskie procesy lustracyjne? Zobaczmy! ●

Elita wybiera, lud ogląda

# JAK NAPRAWIĆ TELEWIZOR

A gdyby, zamiast nowelizować ustawę o mediach publicznych, połączyć wszystkie 19 spółek w jedną korporację. I oddać ją politykom, artystom oraz naukowcom



RYS. JACEK GAWŁOWSKI

Maciej Mrozowski

**P**rzed wyborami parlamentarnymi politycy demokratycznej opozycji zapowiadali reformę mediów publicznych jako jeden z warunków, obok przywrócenia praworządności, naprawy naszej demokracji po PiS-owskich rządach. Do manifestu programowego „100 konkretów” Koalicja Obywatelska wpisała odpolitycznienie i uspołecznienie mediów publicznych, likwidację Rady Mediów Narodowych oraz zatrzymanie „fabryki kłamstw i nienawiści, jaką stała się TVP i inne media publiczne”.

Po wygranych wyborach i przejęciu władzy minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz zabrał się do działania. Realizując uprawnienia właścicielskie wobec spółek skarbu państwa, zwolnił stare zarządy i zaczął powoływać nowe, a gdy napotkał trudności z legalizacją zmian, zdenerwował się i postawił media publiczne w stan likwidacji, kierowanie nimi powierzając likwidatorom.

Ci uruchomili procesy zmian kadrowych i programowych. Na pierwszy ogień poszły programy informacyjne i publicystyczne, w których pojawiły się nowe twarze (niektóre znane od dawna). Wraz z nimi pojawiła się też nadzieja na głębsze zmiany związane z zapowiadzaną nowelizacją ustawy medialnej. Minister Sienkiewicz zrobił więc swoje i mógł odejść w nagrodę do Brukseli.

Tak oto media publiczne znalazły się w kuriozalnej sytuacji. Powstałe na mocy ustawy decyzją ministra zostały postawione w stan likwidacji. I co teraz? Czy zostaną zlikwidowane, a ich majątek pójdzie pod młotek? Wszak rządzący zapowiadali ich naprawę, nie likwidację. Zatem owa likwidacja to tylko stan zawieszenia, który ma dać czas na „uporządkowanie” sytuacji i znówelizowanie ustawy medialnej.

Po półrocznym bezruchu z końcem czerwca Ministerstwo Kultury ogłosi-

ło wreszcie założenia nowelizacji. Jednak głównym czynnikiem presji jest konieczność wdrożenia do naszego porządku prawnego europejskiego aktu o wolności mediów, który dotyczy całego rynku medialnego, a mediom publicznym poświęca tylko jeden z 29 artykułów. Dotyczy on „gwarancji niezależnego funkcjonowania dostawców publicznych usług medialnych” i sprowadza je do zapewnienia im stabilnego finansowania oraz wyboru ich władz w sposób otwarty i niedyskryminacyjny.

I tylko do tych dwóch kwestii sprowadzają się też główne propozycje nowelizacji ustawy medialnej, tak jakby to były jedyne mankamenty naszych mediów publicznych, a po ich usunięciu będą już funkcjonować prawidłowo. Naiwność, zła wola, ucieczka od problemu? Zdziwiałoby, że MKiDN nie dokonało głębokiej analizy przyczyn kryzysu naszych mediów publicznych, wierząc, że gwarancje finansowe i wymiana zarządów je uzdrowi.

A przecież jest oczywiste, że ich potencjał kreatywny – przede wszystkim TVP – spadł do zera i od dawna kopiuje komercyjnych konkurentów; że koszty rozdeptanej struktury (kilkadziesiąt kanałów, setki kierowników) zjadają finanse, których brakuje na tworzenie oferty programowej, latanej powtórkami i tanim importem; że ludzie lepiej wykształceni odeszli od „takich mediów”, a pokolenia młodsze nie mają w nich czego szukać. Wszystko to skutkuje postępującą marginalizacją telewizji z Woronicza, a podtrzymywanie tego molocha miliardowymi dotacjami, które tylko utwierdzą go w samozadowoleniu, to po prostu marnowanie publicznych pieniędzy.

Gdyby ministerstwo dokonało analizy przyczyn kryzysu naszych mediów publicznych, doszłoby do wniosku, że zawłaszczenie przez PiS-owskich nominatów było kulminacją procesów toczących je od dawna.

Bo źródłem tych procesów jest wpisana do ustawy o radiofonii i telewizji z 1992 r. model mediów publicznych. Czyli zmodyfi-

kowany wariant paternalistycznego modelu instytucji publicznej powstałego w XIX w., a w XX w. przyjętego jako forma instytucjonalizacji mediów publicznych, najpierw w Wielkiej Brytanii, potem w innych krajach. Jego istota polega na tym, że polityczne elity decydują o tym, co jest dobre dla reszty społeczeństwa. Cała realizowana przez te media misja publiczna – informować, uczyć, bawić – ma służyć stabilizacji ładu społecznego i utrzymania status quo przez hamowanie zmian mu zagrażających; w krajach socjalistycznych obowiązywała leninowska wersja tego modelu, eksponująca propagandowe i agitacyjne funkcje mediów.

Żeby zaś pogodzić dominację elit politycznych z wymogami demokracji, wprowadzono trójstopniowy mechanizm zarządzania nadawcami publicznymi. Najpierw naczelne władze państwowe tworzą urząd regulatora krajowego, wdrażającego do praktyki akty prawne dotyczące wszystkich nadawców (w Polsce to Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji), następnie regulator ów powołuje organ nadzorujący media publiczne (radę, komisję), a ten wybiera ich kierownictwo (prezesów, zarząd, dyrektorów). Skład regulatora krajowego ma być pluralistyczny, odpowiednio do relacji między rządzącymi i opozycją, a w organie nadzorującym media publiczne powinni być także przedstawiciele elit naukowych i artystycznych oraz społeczeństwa obywatelskiego.

W teorii wygląda to dość dobrze, w praktyce znacznie gorzej. Najbliższa teorii jest praktyka w krajach skandynawskich (Szwecja, Dania, Norwegia, Finlandia) oraz Litwie, Łotwie i Estonii, gdzie politycy różnych partii akceptują reguły pluralizmu i powściągają zakusy na zdominowanie mediów publicznych, dzieląc się władzą z przedstawicielami elit intelektualnych i społecznych.

Gorzej jest w środkowym pasie Europy (Niemcy, Francja, Austria). Tu za fasadą pluralistycznych instytucji (regulatora i organu nadzorczego) toczy się walka o wpływy i stanowiska w kierownictwie mediów publicznych, którą rządzi niepisana reguła

proporcjonalnego podziału stanowisk między rządzącymi i opozycją.

Najgorzej jest na wschodzie i południu Europy. Tu pluralistyczna i demokratyczna kontrola nad mediami publicznymi jeszcze się nie zakorzeniła. W krajach postkomunistycznych dlatego, że brak w nich demokratycznych tradycji, w Grecji, Hiszpanii i Portugalii opóźniają to zadawnione podziały społeczne, we Włoszech hamuje zdominowanie głównych kanałów publicznego radia i telewizji przez główne partie polityczne.

I choć z czasem sytuacja na południu Europy ulega poprawie, to nadal mocno odstaje od teoretycznego wzorca. Ten zaś coraz bardziej nie przystaje do współczesnych wyobrażeń o tym, jak powinna działać nowoczesna instytucja publiczna, służąca nie politykom i elitom, tylko wszystkim i każdemu, wedle ich i jego potrzeb. W efekcie we wszystkich wspomnianych krajach pozycja mediów publicznych słabnie (na północy mniej, na południu bardziej), a nawet nasilają się głosy kwestionujące sens ich dalszego istnienia.

Na tym tle korzystnie wyróżniają się media publiczne w Wielkiej Brytanii (BBC) i Holandii (NOS – Nederlandse Omroep Stichting, czyli Holenderska Firma Nadawcza). Brytyjskie dlatego, że są niezależne od polityków i zarządzane przez ekspertów z różnych dziedzin, którzy otwierają je na współpracę z różnymi środowiskami. Holenderskie zaś dlatego, że są powiązane z wielkimi wspólnotami społecznymi o różnych światopoglądach: katolikami, protestantami, socjalistami, liberałami, mającymi odrębne instytucje polityczne, społeczne, edukacyjne i kulturalne – tzw. filary systemu społecznego – w tym także odrębne programy w mediach publicznych, zarządzane przez reprezentantów tych wspólnot.

Ale i one są krytykowane przez milenialistów i zetki, dla których media publiczne nie są już alternatywą wobec mediów komercyjnych, tylko jeszcze gorszą wersję mediów tradycyjnych, im niepotrzebnych. A rzeczywistą alternatywą – czy raczej pierwszym wyborem – są dla nich kanały płatne (HBO

i inne), serwisy streamingowe (Netflix, Amazon Prime i im podobne) oraz platformy społecznościowe z YouTube na czele. Bardziej wymagający wśród młodszych odbiorców cenią te nowe – wciąż tak nazywane, mimo że już dawno okrzeple – media za śmiałe podejmowanie kwestii drażliwych i kontrowersyjnych, na co pozwala brak regulacji prawnych ograniczających ich działanie. Dla coraz większej części odbiorców te nowe kanały i oferty medialne nie są już wyjątkiem czy alternatywą, lecz wzorem mediów, jakich oni chcą, na dziś i na jutro.

Polskie media publiczne też wyróżniły się na tle europejskiego pejzażu, ale zdecydowanie negatywnie, dorównując pod tym względem tylko węgierskim. Ogólne zapisy ustawowe, łączące paternalistyczny model instytucji publicznej z formułą jednoosobowej spółki prawa handlowego, sprawiły, że od początku podlegały upolitycznieniu i komercjalizacji. Jednak w pierwszej dekadzie ich istnienia (lata 1994-2004) były jeszcze szanse na względnie pluralistyczny zarząd i ograniczenie presji rynku.

Nadzieje te wzrosły w roku 2004, gdy pluralistyczny skład KRRiT, reprezentujący umiarkowaną prawicę i lewicę, powołał rady nadzorcze publicznych mediów o podobnie zróżnicowanym składzie, a te wybrały zróżnicowane zarządy. Ale następny rok pogrzebał te nadzieje, bo konflikt w radzie nadzorczej TVP doprowadził do wykluczenia z zarządu członków kojarzonych z lewicą. Tym sposobem prawica uzyskała pełną kontrolę nad telewizją publiczną i mogła swobodnie rywalizować z konkurencją – zwłaszcza z TVN – eliminując pozycje mniej atrakcyjne dla reklamodawców i przerywając niektóre audycje reklamami (było to łamanie ustawy medialnej, co potwierdził wyrok sądowy zakazujący tych praktyk).

Potem było już tylko gorzej. Kolejne zmiany władzy skutkowały przetasowaniami układów personalnych w spółkach mediów publicznych aż po 2015 r. PiS zawłaszczył je wszystkie w całości i tylko dla siebie, czyniąc z nich „fabrykę kłamstw i nienawiści” – czyli zmieniając model paternalistyczny w model leninowski. Po utracie władzy przez PiS nastąpił ostatni akt dramatu – wykorzystując formułę spółki handlowej, nowy minister sprawujący nadzór właścicielski nad mediami publicznymi wszystkie je postawił w stan likwidacji.

Tak oto w ciągu kilkunastu lat nasze media publiczne przeszły cykl od wzlotu do upadku, dyskredytujący je jako instytucje demokratyczne i społecznie użyteczne. To nie przydarzyło się mediom publicznym w żadnym innym kraju, gdzie powstały, i to kompromituje całą naszą klasę polityczną.

Jednak kryzys naszych mediów publicznych i kompromitacja ich mocodawców nie są tak bolesne jak spadek społecznej akceptacji dla ich dalszego istnienia w dotychczasowym kształcie. A jej odzyskanie, zwłaszcza wśród ludzi młodych, wychowanych na internecie i mediach społecznościowych, to dziś jeden z warunków niwelowania podziałów społecznych i naprawy demokracji.

Żeby tak się stało, konieczna jest gruntowna zmiana całej konstrukcji mediów publicznych, gwarantująca takie ich wbudowanie w system społeczny, które zależność od świata polityki – czego nie da się uniknąć – zrównoważy silnymi związkami ze światem kultury i społeczeństwem obywatelskim, umożliwiając różnym środowiskom wpływ na zarządzanie nimi i współtworzenie ich ofert. Musi to być zmiana fundamentalna, przeciwstawiająca władzy partyjno-państwowej (relacja góra – dół) zależność od społeczeństwa obywatelskiego i twórców kultury (relacje dół – góra), bo tylko na styku takiej współzależności pojawia się względna niezależność funkcjonalna, integrująca, lecz nie antagonizująca zróżnicowane społeczeństwo.

Postawienie mediów publicznych w stan likwidacji oraz nowelizacja ustawy medialnej to historyczna szansa na nowy początek. Jeśli zostanie zaprzepaszczona i zmiany będą połowiczne, media te nadal będą postrzegane jako instytucje aparatu władzy, kontrolowane przez polityków i im służące, nie społeczeństwu, a kolejne partyjne ich zawłaszczenie to tylko kwestia czasu.

Ponieważ prace nad nowelizacją dopiero się zaczęły, warto przedstawić pod publiczną rozważę, a rządzącym do namysłu, propozycje daleko idących zmian całej konstrukcji naszych mediów publicznych, dotyczące najważniejszych kwestii: definicji zadań, statusu i organizacji oraz zarządzania.

Media publiczne istnieją po to, żeby realizowały ustawowo określone zadania na rzecz całego społeczeństwa. W ustawie medialnej określa je ogólna definicja „misji publicznej” i równie ogólny wykaz powinności, z którego wynika, że wszystko jest lub może być misją publiczną. Ogólne formuły nie zobowiązują do niczego, dlatego w ramach kolejnej nowelizacji wprowadzono instytucję karty powinności. Ma to być szczegółowy wykaz powinności każdego publicznego programu (kanału), uzgodniony z KRRiT na okres pięciu lat.

W zamyśle rzecz chwalebna, w realizacji rozczarowująca. Bo głównie są to ogólne opisy poszczególnych programów (kanałów), a jedyne konkrety to procentowy udział różnych gatunków w ich ofercie i sz-

*Politycy dobierają kadry mediów publicznych do swoich wyobrażeń o świecie – a te wyobrażenia są zachowawcze. Polityczny establishment nie lubi zbędnego ryzyka, rzadko docenia ambitną twórczość i nowatorskie pomysły, woli rozwiązania sprawdzone, chroniące status quo*

*Zawłaszczenie mediów publicznych przez PiS było kulminacją procesów toczących je od dawna. Źródłem problemu jest przyjęty na początku III RP paternalistyczny model instytucji publicznej, jeszcze z XIX w.*

cunkowe koszty jej realizacji. Jak to działa w praktyce? Wystarczy porównać kartę powinności TVP na lata 2020-24 z niedawną praktyką programową tego nadawcy. Okazuje się, że działanie „fabryki kłamstw i nienawiści” było zgodne z kartą powinności, bo mieściło się w strukturze gatunkowej różnych programów i kosztach ich realizacji. Także dewastacja Programu 3 Polskiego Radia, słynnej Trójki, mieściła się w karcie powinności tego nadawcy.

Trudno, rzecz jasna, na poziomie ustawy szczegółowo zadekretować zadania mediów publicznych. Można jednak tak zmienić ustawowe zapisy, żeby zadania te były definiowane przez cele działalności nadawczej, a nie formy, sposoby czy kierunki działania. Na poziomie ustawy takie zmiany mogą się wydawać pozorne, zgoda kosmetyczne, ale mają wskazywać na istotne zmiany polityki i praktyki redakcyjnej.

Dla przykładu – obecny zapis ustawy medialnej stanowiący, że nadawcy publiczni mają „rzetelnie ukazywać całą różnorodność wydarzeń i zjawisk w kraju i za granicą”, co jest niewykonalne, absurdałne i bez sensu, można zastąpić sformulowaniem „dostarczać wiedzę o ważnych wydarzeniach w kraju i za granicą mających istotne znaczenie dla odbiorców”. Takie sformułowanie nie tylko zawęży tę dyrektywę programową, ale pozwala sprawdzić, czy i jak wzrosła wiedza odbiorców oraz, czy i jak pojmują wagę i znaczenie relacjonowanych wydarzeń.

Przyjmując, że nadrzędnym celem i racją istnienia mediów publicznych jest zaspokajanie demokratycznych, społecznych i kulturalnych potrzeb społeczeństwa oraz utrzymanie pluralizmu mediów (jak postuluje to załącznik do traktatu Unii Europejskiej), cały obszar zadań objętych szeroką definicją misji publicznej można podzielić na dwa obszary.

Jeden, określany jako służba publiczna, przekładałby ów cel nadrzędny na katalog ściśle zdefiniowanych celów programowych wskazujących podstawowe zadania mediów publicznych, realizowane własnymi siłami.

Drugi, określany jako usługa publiczna, wskazywałby ogólniejsze cele działania, rozwijające i uzupełniające zadania podstawowe poprzez inicjatywy podejmowane i realizowane we współpracy z partnerami zewnętrznymi.

Takimi partnerami mogą być rozmaite firmy, instytucje czy organizacje działające w jakiejś dziedzinie, np. modzie, zdrowiu, urodzie, motoryzacji, turystyce, projektowaniu wnętrz i wielu innych, które będą współtworzyć, współfinansować lub sponсорować realizację bloków programowych odpowiadających profilowi ich działania. To dla nich okazja do autopromocji, lecz tylko wtedy, gdy takie programy będą atrakcyjne i popularne, przyciągając liczne gro- no odbiorców. Będą się więc o to troszczyć, z pewnością lepiej niż etatowy personel redakcyjny. Oba rodzaje celów powinny być konkretyzowane w odniesieniu do poszczególnych programów na okres kilku lat przez

organ nadzorujący.

Proponowane rozróżnienie celów i obszarów działania ma kilka zalet. Wyraźnie określone cele służby publicznej pozwalają na stabilizację ram organizacyjnych, finansowych i kadrowych działalności redakcyjnej oraz wypracowanie dobrych praktyk i standardów programowych. Z kolei ogólne i zmienne cele usługi publicznej pozwalają na elastyczne reagowanie na oczekiwania różnych grup społecznych, rozwijanie kreatywności i różnorodności ofert programowych oraz budowanie sieci społecznych wokół mediów wspierających ich działanie.

Poza tym, last but not least, takie przed-

definiowanie zadań pozwoli lepiej badać ich realizację – formalna analiza przekazywanych treści już nie wystarczy, konieczne będzie ustalenie ich rzeczywistego wpływu na odbiorców i ich reakcji.

Ministerialne założenia do nowelizacji ustawy medialnej nie przewidują zmiany statusu mediów publicznych. Ma to być nadal 19 spółek skarbu państwa, a ich działanie nadal mają regulować trzy akty prawne: ustawa medialna, kodeks spółek handlowych, ustawa o zasadach zarządzania mieniem państwowym. Ten splot regulacji, istny węzeł gordyjski, nie tylko nie ogranicza, według ministerialnych oficjeli, niezależności mediów publicznych, ale wręcz ma ją gwarantować, jak nakazuje to europejski akt o wolności mediów.

I tak ma być? Po tym, co zrobił minister Sienkiewicz, pokazując, kto nimi rządzi? Przecież ten precedens pokazał, że każde kolejne zarządy mediów publicznych, choćby najbardziej odpolitycznione i uspołecz-

nione, mogą być przez polityków trzymających władzę odwołane lub zawieszane do czasu, aż spolegliwa KRRiT (część jej składu ma być zmieniana co dwa lata) powoła nowy „właściwy” zarząd. Taka groźba, niczym miecz Damoklesa, będzie wisiała nad głową każdego zarządu, który narazi się politykom trzymającym władzę. Jeśli zatem media publiczne nadal będą spółkami skarbu państwa, podlegając nadzorowi właścicielskiemu ministra kultury, to gwarancje ich niezależności wpisane do ustawy medialnej będą iluzoryczne. Jeśli natomiast ustawa ograniczy uprawnienia wynikające z nadzoru właścicielskiego, to faktycznie przestaną być spółkami prawa handlowego i cała konstrukcja straci sens.

Tego dylematu nie da się rozwikłać na gruncie istniejących regulacji prawno-instytucjonalnych. Pora więc zastąpić organizację skomplikowaną i mętłą rozwiązaniami prostymi i jasnymi. Ich podstawą powinno być połączenie wszystkich 19 spółek mediów publicznych w jedną skomasowaną instytucję, mającą status fundacji skarbu państwa bądź narodowej instytucji kultury czy korporacji publicznej. Chodzi o taką formę instytucjonalizacji, która zagwarantuje wyraźne i niekolizyjne rozdzielenie nadzoru państwa nad majątkiem i finansami mediów publicznych od odpolitycznionego i uspołecznionego zarządzania ich działalnością programową. Bez groźby sięgania po rozwiązanie atomowe, czyli postawienie ich w stan likwidacji.

Aby połączyć pragmatyzm zarządzania mieniem z elastycznością działalności programowej, strukturę skomasowanych mediów publicznych należałoby oprzeć na trzech pionach programowo-nadawczych: radiowym, telewizyjnym, internetowym, w każdym wyróżniając trzy sprofilowane kanały: jeden realizujący zadania służby publicznej, drugi rozwijający inicjatywy w zakresie usługi publicznej, trzeci obsługujący potrzeby społeczności lokalnych.

Wszystkie pozostałe programy radiowe i telewizyjne (naziemne i satelitarne) należałoby zlikwidować, a ich funkcje programowe i nadawcze powinna przejąć platforma internetowa. Która, oprócz transmisji programów, wzbogacałaby ofertę mediów publicznych o treści tworzone przez partnerów społecznych, udostępniała zasoby programowe (archiwa) oraz tworzyła przestrzeń (serwis społecznościowy) dla jednostek, grup i organizacji wspomagających realizację celów działania tych mediów. Taka platforma to jedyna przyszłościowa szansa na przyciągnięcie do mediów publicznych ludzi młodych i najmłodszych, czyli odwrócenia obecnego trendu.

Komasacja struktury organizacyjnej pozwoli też zastąpić 59 organów zarządzających (po 19 zarządów, rad nadzorczych i rad programowych) trzema oraz zlikwidować kilkadziesiąt czy nawet kilkaset bezproduktywnych, ale kosztownych stanowisk dyrektorskich i kierowniczych.

Uwolnione środki zasilą nakłady na produkcję programów. Bo proponowane przez autorów nowelizacji zastąpienie abonamentu dotacją budżetową w wysokości 0,09 proc. PKB to krok do rozwiązania problemu finansowania, ale jeszcze nie jego rozwiązanie. Taka dotacja zapewni utrzymanie odchudzonych mediów publicznych i pokrycie kosztów realizacji służby publicznej bez reklam.

Z pewnością jednak nie wystarczy na realizację bardziej ambitnych przedsięwzięć, nawet współtworzonych z partnerami zewnętrznymi. Dlatego w tym obszarze działalności programowej należy dopuścić nadanie reklam. Wpływy zapewnią partnerom zewnętrznym zwrot nakładów i pewien zysk. Przyczynią się więc do rozwoju niezależnych producentów i twórczości audiowizualnej, a to przecież też zadanie mediów publicznych.

Finansowanie budżetowe może sprzyjać niezależności mediów publicznych, jeśli będzie dzielone niedyskryminacyjnie, ale może też być środkiem nacisku.

Natomiast przedstawiony w założeniach do nowelizacji sposób powoływania władz spółek publicznej radiofonii i telewizji przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji (po likwidacji Rady Mediów Narodowych) nie gwarantuje ich odpolitycznienia i uspołecznienia. Miałoby to bowiem odbywać się tak, że KRRiT powołuje w każdej spółce radę nadzorczą (wspólnie z Ministerstwem Kultury) oraz radę programową (już samodzielnie), a obie te rady wskazują kandydatów na prezesów, spośród których KRRiT wybiera jednego, jako jednoosobowy zarząd danej spółki.

A uspołecznienie polegać ma na tym, że kandydatów do rady programowej zgłaszałyby organizacje pozarządowe, ale wyboru dokona KRRiT. I tyle. Koniec końców o wszystkim decydować więc będzie KRRiT, czyli ciało polityczne zdominowane przez nominatów obozu władzy. I trudno sobie wyobrazić, by ci nie dopilnowali wyboru kandydatów „właściwych”, czyli życliwych akurat rządzącemu obozowi. Nawet procedura otwartego i jawnego konkursu tego nie uniemożliwi, bo kandydatów można tak dobrać i przygotować, żeby spełniali kryteria wyboru.

Proponowane rozwiązania są prostą i jasną alternatywą. Redukują 19 procesów rekrutacyjnych obejmujących 76 etapów do jednego, rozdzielając zarazem tryb powoływania władz mediów publicznych i ich kompetencje tak, żeby zarządzanie nimi było odpolitycznione i uspołecznione. Kluczowe jest rozdzielenie państwowego nadzoru nad ekonomiczną stroną działania nadawców od społecznej kontroli nad ich działalnością programową.

Państwowy nadzór sprawowałaby kilkuosobowa rada (fundacji lub powiernicza) powoływana przez ministrów kultury i aktywów państwowych, której wyłączną kompetencją byłby podział i alokacja dotacji budżetowej oraz kontrola jej wydatkowania. Podstawą tego podziału powinien być algorytm kalkulacji kosztów uwzględniający charakter zadań, strukturę programu i stopień jego kreatywności.

Z kolei kontrola gospodarowania środkami publicznymi ograniczałaby się do prawa weta wobec każdej decyzji narażającej na szwank zasoby czy finanse nadawcy bądź rażąco sprzecznej z jego zadaniami. Choć szerokie, prawo weta nie ograniczałoby jed-

nak niezależności nadawcy, bo rada nie mogłaby mu niczego narzucać, chroniłaby tylko środki publiczne przed nieracjonalnymi decyzjami. Aż tyle i tylko tyle.

Organem sprawującym bezpośredni nadzór nad działalnością programową mediów byłaby rada społeczna wybierana przez przedstawicieli organizacji i środowisk mających znaczny wpływ na zaspokajanie demokratycznych, społecznych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa.

Do głównych kompetencji rady należałoby: przekładanie ustawowych zadań służby publicznej na roczne plany działania poszczególnych programów; powoływanie zarządu całej instytucji i szefostwa poszczególnych programów; określanie zasad współpracy z partnerami zewnętrznymi w zakresie usługi publicznej; bieżący nadzór nad realizacją celów i zadań działalności programowej.

Aby rada była odpolityczniona i uspołeczniona, musi być dość liczna i różnorodna. Ustawa powinna określać, jakie środowiska miałyby reprezentantów w radzie i jakie kryteria powinny spełniać organizacje reprezentujące te środowiska, aby móc zgłaszać kandydatów i uczestniczyć w wyborze członków rady. Rozwiązaniem optymalnym wydaje się skład 16-osobowy, obejmujący po pięciu przedstawicieli środowisk demokratycznych (partii i organizacji samorządowych), aktywistów społecznych (organizacji pomocowych, antydyskryminacyjnych, ekologicznych, edukacyjnych, prozdrowotnych) oraz artystów i twórców kultury (dziennikarzy, autorów, wykonawców, producentów, naukowców). Szesnastym członkiem rady powinien być przedstawiciel ministerstwa nadzorującego media publiczne i on powinien kierować pracami rady – żeby konfrontować ambitne plany z finansowymi realiami.

Mogłoby się wydawać, że liczba członków rady i organizacji ich wybierających mocno skomplikuje całą procedurę wyborczą. Jednak w praktyce wybieranych będzie tylko dziesięciu członków, bo przedstawicieli środowisk demokratycznych desygnują główne partie polityczne (np. trzy) i organizacje samorządowe (np. dwie). Zakładając, że każdego z pozostałych członków będzie wybierać nawet kilkanaście organizacji spełniających kryteria reprezentacji danego środowiska, organ prowadzący wybory, a może to być tylko KRRiT, upora się z tym dość łatwo i szybko, przeprowadzając procedurę online w trzech etapach: ogłosze-

nie wyborów, rejestracja delegatów i kandydatów oraz weryfikacja ich prawa do udziału w wyborach; głosowanie wstępne, indykatyjne, w którym każdy delegat wskazuje dwóch kandydatów; głosowania finalne. Jeśli w trzech turach żaden kandydat nie uzyska większości głosów (50 proc. + 1), wyboru dokona KRRiT spośród kandydatów popieranych najliczniej.

Taki wybór będzie jednak oznaczał środowiskowy blamaż, więc żeby go uniknąć, delegaci różnych organizacji będą musieli iść na kompromisy i się dogadywać, a to wartość dodana takiej procedury, sprzyjająca integracji różnych środowisk wokół mediów publicznych.

Ale co najważniejsze, rada wybrana w otwartych, jawnych i demokratycznych wyborach będzie miała silny mandat do kierowania działalnością programową mediów publicznych, w tym zwłaszcza powoływania ich zarządu oraz szefów poszczególnych programów i platformy internetowej, a jej liczebność i pluralistyczny charakter zapewnią odporność na naciski polityczne i presję władzy. Za to będzie odpowiedzialna przed środowiskami, których potrzeby, interesy i wartości ma reprezentować. I o to tu chodzi.

Te propozycje dotyczą tylko najważniejszych elementów nowego modelu mediów publicznych. Jest to więc jedynie punkt wyjścia do namysłu i wypracowania szczegółowych rozwiązań. To zaś wcale nie będzie takie trudne, jak mogłoby się wydawać, jeśli pracami nad tymi rozwiązaniami kierować będzie nadrzędna „filozofia” odróżniająca stary model od nowego.

Zapisana w naszej ustawie konstrukcja mediów publicznych to zmodyfikowany (przez hybrydyzację z formułą spółki handlowej) wariant paternalistycznego modelu instytucji publicznej, mającej integrować system społeczny i kształtować lojalnych obywateli. Jednak burzliwe przemiany lat 60. – kontestacja, kontrkultura; lat 70. – demokratyzacja mediów; lat 80. – deregulacja i komercjalizacja mediów; lat 90. – przełom cyfrowy i powstanie internetu; pierwszej dekady XXI wieku – konwergencja mediów i rozwój social mediów, i drugiej dekady – personalizacja mediów mobilnych, tak gruntownie zmieniły całą rzeczywistość, że media publiczne trzymające się starego modelu stały się reliktem przeszłości.

Żeby nie stracić społecznej akceptacji i nie wypaść z rynku, adaptowały się, jak mogły do zachodzących zmian – wprowa-

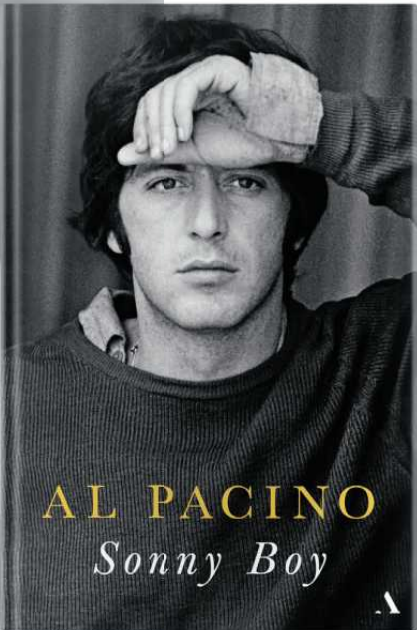
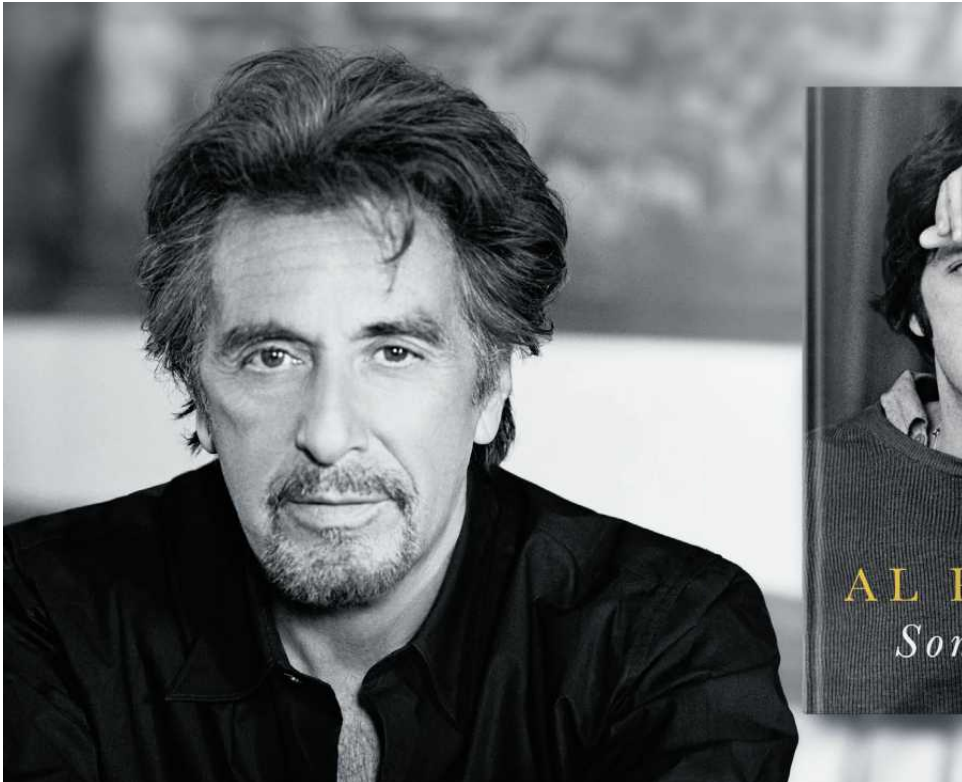
dzały nowe technologie, poszerzały zakres treści i usług, otwierały się na młode pokolenia. W efekcie z instytucji społecznych zmieniły się w dostawców treści, konkurujących z setkami innych dostawców, firm mediowych i milionami użytkowników internetu. Jednak fala krytyki kwestionującej ich dalsze istnienie wciąż się wzmacnia, zatem żeby przetrwać, muszą szukać nowej formuły instytucjonalnej, organizacyjnej i programowej. Czyli nowego modelu. I go szukają.

Twórcy naszej ustawy medialnej nie mogli przewidzieć kierunków, dynamiki i skali zmian cywilizacyjnych, które zagrażą istnieniu mediów publicznych. Horyzont ich wyobraźni wyznaczała transformacja ustrojowa w Polsce i z tej perspektywy założyli, że media publiczne w wersji klasycznej będą dobrą przeciwwagą dla komercyjnych, które miały się niebawem pojawić. I się pojawiły. Po czym szybko się okazało, że media publiczne nie chcą być dla nich ich alternatywą, tylko wolą być ich lepszą wersją. Z początku im się to nawet udawało, lecz z czasem rutyna i naśladownictwo wzięły górę nad kreatywnością, stawały się więc coraz gorszą – ale nie tańszą – imitacją medialnej komercji, nie zaś jej przeciwwagą.

I taki jest do dziś. Bo taki jest nieuchronny skutek rozwiązań, w których elity polityczne, a w istocie partyjne koterie, trzymają władzę nad telewizją i radiem. Nie chodzi nawet o to, żeby partyjni nominaci pilnowali, by informacje i publicystyka zaspokajały oczekiwania ich mocodawców, ale o to, że ci mocodawcy dobierają kadry zarządzające do swoich wyobrażeń o mediach i o świecie w ogóle – a te wyobrażenia są zachowawcze. Wszak polityczny establishment nie lubi zbędnego ryzyka, rzadko docenia ambitną twórczość i nowatorskie pomysły, woli rozwiązania sprawdzone, chroniące status quo.

Dopóki zatem nasze media publiczne będą pod władzą polityków, dopóty będą zanurzone w przeszłości, odklejone od teraźniejszości i bezradne wobec przyszłości. Oraz pod każdym względem wtórne wobec mediów prywatnych zorientowanych na teraźniejszość i przyszłość. Takie media publiczne zasługują na likwidację, a my nie zasługujemy na ich reanimację. Jeśli więc nasi politycy nie wykorzystają sytuacji, jaką sami stworzyli, i nie zmienią gruntownie ich kształtu i sposobu zarządzania, to muszą pamiętać, że niewykorzystane sytuacje się mszczą, jak mawiał pewien znany komentator sportowy. ●

REKLAMA



Wydawnictwo  
Agora

Wiele ról,  
jedno życie.

Al Pacino w końcu  
opowiada  
swoją historię.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI? ZAPRASZAMY NA



ŚWIAT

# Nienarwidzę Białego Domu

Melania Trump  
nie jest ofiarą.  
To zwyciężczyni.

Mateusz Mazzini



• W południe 20.01.2017 r. w Waszyngtonie Donald Trump został zaprzysiężony na swoją pierwszą kadencję, a wieczorem razem z żoną Melanią tańczył na Balu Wolności. Po raz drugi obejmie urząd prezydenta USA w poniedziałek 20 stycznia 2025 r.

FOT. KEVIN DIETSCH / POOL / ABACAPRESS.COM / EAST NEWS

Kiedy Donald Trump po raz pierwszy wprowadzał się do Białego Domu, w kręgu moich najbliższych znajomych, wliczając w to rodzinę, nikt nie wzbudzał takiego zainteresowania jak jego żona. O samym prezydencie wiadomo było sporo, zwłaszcza dzięki przegodom w show-biznesie. Najważniejsi członkowie jego administracji, jak sekretarz stanu Rex Tillerson czy Steve Bannon, ideolog, samozwańcy spin doktor i szara eminencja Waszyngtonu tamtych lat, nie budzili emocji, bo byli jeszcze w Europie postaciami enigmatycznymi.

Melania to zupełnie coś innego. Odstępstwo od normy. Egzotyka, tajemnica, blichtr świata mody, celebrycka aura. Całkowite przeciwieństwo poprzednich pierwszych dam. Czasami zaangażowanych społecznie, czasami zadowolających się uświetnianiem dyplomatycznych i państwowych okoliczności, ale z reguły – z dwoma wyjątkami – żon u boku głowy państwa.

Z prasowych relacji, opowieści starszych anglosaskich znajomych i żartów amerykańskich komików, jak chociażby wybitnej Tiny Fey, znałem historię o walce Nancy Reagan z narkotykami wśród młodzieży. Barbara Bush, jej następczyni, niczym spektakularnym w popkulturze ani w polityce się nie zapisała, podobnie jak Laura, jej synowa.

Co prawda pomiędzy nimi osiem lat w Białym Domu spędziła Hillary Clinton, która jako jedyna pierwsza dama w czasach powojennych wybiła się na niezależność, budując własną karierę polityczną. Ale po latach tamten epizod jej biografii szeroka opinia publiczna pamięta, jeśli w ogóle, raczej z racji „afery rozporkowej” Billa Clintona nakłaniającego do seksu zadurzoną w nim stażystkę Monikę Levinsky, co omal nie doprowadziło do impeachmentu oraz rozpadu tej power couple. Zdecydowanie więcej osób pamięta dzisiaj Hillary z szefowania Departamentowi Stanu za pierwszej kadencji Baracka Obamy i z przegranej z Trumpem walki o prezydenturę osiem lat temu niż z chodzenia pod ramię z mężem Bilem.

Po nich nastąpiła era Michelle Obamy, która na rolę pierwszej damy miała całkowicie autorski pomysł. Mocno zaangażowała się w działania edukacyjne i społeczne, które prowadziła całkowicie niezależnie od ówczesnej administracji. Na własną rękę podróżowała po kraju, a źródła opisujące tamte lata w Białym Domu wskazują, że nie bała się też zabrać głosu na tematy polityczne w towarzystwie innych światowych przywódców. Została po niej chociażby ustawa o darmowych zdrowych posiłkach w szkołach.

Można zaryzykować, że Michelle była i jest nawet bardziej popularna od męża i choć wciąż się zarzeka, że do zawodowej polityki nigdy nie przejdzie, to plotki na temat jej startu w wyborach prezydenckich wracają co kilka miesięcy. Tym bardziej że wśród Demokratów panuje jednocześnie pragnienie znalezienia nowego lidera i posucha w kwestii młodych talentów spoza mocno lewicowego jak na amerykańskie warunki i zdaniem wielu zbyt efekciarskiego kręgu Alexandrii Ocasio-Cortez. Fantazja o prezydenturze Michelle jest więc myśleniem życzeniowym amerykańskich środowisk progresywnych.

Choć kto wie, jakie byłyby wyniki w listopadzie, gdyby Joego Bidena zastąpiła nie jego wiceprezydentka Kamala Harris, tylko właśnie nazywana „Beyonce politycznego aktywizmu” Michelle, której nie czepiają się nawet trumpistowskie wyborcy.

Na tym tle Melania Trump wygląda jak kolorowy ptak. Już samo gniazdo, z którego wyfrunęła, mocno różni się od typowej drogi – Princeton, Yale albo prestiżowy college'u dla córek białego protestanckiego esta-



blishmentu – towarzyszek życia amerykańskich liderów.

Urodziła się w 1970 r. w Novym Mescie, pamiętającej średniowiecze i pierwszych Habsburgów miejscowości w Słowenii. Kiedy w czasie pierwszej kadencji Trumpa pojechałem do Lublany na konferencję naukową, w ciągu trzech dni usłyszałem kilkanaście razy, że bez względu na poglądy prezydenta USA rodacy są z pierwszej damy dumni, w czym nie przeszkadza im fakt, że jako mała dziewczynka i nastolatka Melania była formalnie Jugosłowianką, a gdy Słowenia zostawała niepodległym państwem, właśnie rzuciła studia architektoniczne i wyfrunęła robić karierę w Mediolanie i Paryżu. Pewien naukowiec powiedział, że Melania jest na podium osób najbardziej zasłużonych dla promocji kraju – zaraz po sportowcach w rodzaju kolarza Tour de France Tadeja Pogacara czy koszykarza Lukasa Dncicia i ekstrawaganckim filozofie Slavoju Žiżku.

Po tej rozmowie przez kilka lat nie byłem w stanie pozbyć się z głowy fantazji na temat Melanii. Wyobrażałem ją sobie rozsiewającą się w fotelu, z mikrofonem w ręce, jako uczestniczkę debaty, w której rywalem byłby właśnie Žižek. Mogliby dyskutować po słoweńsku i o czymkolwiek, nie chciałem wielkiej konfrontacji idei jak w przypadku sławnego starcia Žiżka z filozofem i „guru inceli” Jordanem Petersonem. Wystarczyłaby mi pogawędka. Dopiero po jakimś czasie się zorientowałem, że moja fantazja miała konkretne źródło. Podobnie jak miliony ludzi chciałem usłyszeć głos Melanii, żeby się przekonać, że istnieje.

Domniemany brak sprawności językowej pierwszej damy, zwłaszcza po angielsku, szybko stał się obiektem żartów, nawet dość brutalnych. Pierwszy mem na jej temat dotyczył właśnie tego.

W 2017 r. mieszkający w Zagrzebiu Amerykanin Brett Campbell postanowił wykorzystać plotki o słabym angielskim bylej modelki do reklamy własnej szkoły językowej. Na billboardach umieścił zdjęcie Melanii na tle amerykańskiej flagi, okraszając je napisem: „Wyobraź sobie, jak daleko możesz zejść, mówiąc tylko trochę po angielsku”. Żart szybko stał się hitem, ale w Bia-

**Amerykańskie wybory to show, w którym od partnerek kandydatów oczekuje się zaangażowania z definicji. Są traktowane jak akcesoria, kolejne logotypy, przestrzenie reklamowe. Nikt ich nigdy nie pyta, czy w ogóle chciałby brać w tym przedstawieniu udział**

łym Domu się nie spodobał, Melania zagroziła pozwem, billboardy zniknęły po kilku dniach.

Przez kolejne miesiące milczenie pierwszej damy trwało – a im bardziej Melania milczała, tym więcej pojawiało się niemiłych komentarzy, seksistowskich żartów i prostackich memów. Liberalowie na całym świecie przystąpili do wykopalisk, a że było w czym grzebać – w końcu i Melania, i Donald to celebryci skrojeni pod amerykańską publikę – efekty przychodziły łatwo.

I to efekty zaskakujące, bo ci sami ludzie, którzy kolportowali wyższościowe memy, ekscytowali się jej dyplomem z architektury uzyskanym na Uniwersytecie w Lublanie (choć rzuciła studia już na pierwszym roku) i tzw. wizą Einsteina przyznawaną osobom o „wybitnych zdolnościach i osiągnięciach”. Najczęściej wizę EB-1 dostają matematycy, inżynierowie, absolwenci kierunków ścisłych, nobliści. Urzędnicy uznali, że Melania Knauss wnosi do społeczeństwa podobną wartość.

Przebiwała przez to wszystko fantazja o mądrej Pięknej u boku Bestii i nadzieja – przypominająca fantazje polskich demokratów o Agacie Dudzie – że Melania będzie mitygowała populistyczno-konserwatywno-prawicowe zapędy męża.

Nic jednak nie było – i wciąż nie jest – tak często przypominane w jej kontekście jak nagie sesje fotograficzne z początku lat 90. Tym bardziej że sama pierwsza dama lubiła się nimi chwalić. Trafiły nawet do jej biogramu na stronie Białego Domu jako „jedno z jej największych osiągnięć”. Fotki nadal krążyły po internecie, teraz wyciągnęli je Rosjanie, którzy kilka dni po tegorocznym triumfie Trumpa pokazali nagie fotografie jego żony na antenie kanału Russia 1.

O życiu prywatnym pierwszej damy wiadomo było coraz więcej, ale o jej poglądach – nadal nic.

Tabloid „New York Post” w pierwszych tygodniach prezydentury pisał, że Melania nie chce się przenosić do Białego Domu na stałe. Woli zostać w Nowym Jorku, pilnować edukacji Barrona – jedynego dziecka, które ma z Donaldem. 18-latek jest zresztą jej oczkiem w głowie – do tego stopnia, że dla zapewnienia mu przyszłości weszła w jedyny znany publicznie spór sądowy z mężem. Według informacji Mary Jordan, dziennikarki „Washington Post” i autorki książki o Melanii, prawdziwym powodem niechęci do przeprowadzki do stolicy była opieszałość Donalda w aktualizacji ich intercyzy. Melania nalegała, by Barron miał wpisane takie same przywileje jak dzieci prezydenta z wcześniejszych małżeństw. Miała wręcz grozić, że dopóki nie otrzyma ich na piśmie, do Białego Domu się nie przeniesie.

Ostatecznie dołączyła do męża, ale przez cztery lata jej aktywność była sładowa. Dla niektórych współpracowników Trumpa okazała się wielkim rozczarowaniem – li-

## Poradzę sobie bez Donalda

### 1,5 mln dolarów

• zapłaciła w roku, w którym jej mąż został prezydentem, za apartament w Trump Tower

### 237,5 tys. dolarów

• zarobiła za jedno spotkanie z darczyńcami Partii Republikańskiej

### 45 mln dolarów

• zarobiła przez 14 lat na własnej kolekcji biżuterii i zegarków

czyli, że na tle nieokrzesanego, szczerze nieświadomego europejskich polityków prezydenta będzie świecić przykładem i obyczajem, łagodząc wizerunek całej administracji. Zwłaszcza że według jej oficjalnej biografii biegle mówi w aż sześciu językach. Jej współpracownicy powiedzieli jednak Mary Jordan i innym kronikarzom tamtej kadencji: słynnemu Bobowi Woodwardowi, Maggie Haberman z „New York Timesa” czy Olivii Nuzzi z „New York Magazine”, że mówi słabo, ograniczając się do kilku podstawowych fraz

Stanowczo głos zabrała tylko raz. 17 czerwca 2018 r. na jej stronie opublikowano oświadczenie, w którym pierwsza dama ubolewała nad tragedią rodzin rozdzielonych na granicy z Meksykiem wskutek polityki antyimigracyjnej jej męża. Apelowała, by program powstrzymywania nielegalnej imigracji realizować „w sposób humanitarny”, tak by pokazać, że „Ameryka jest krajem rządzonym z serca”. Kilka dni później prezydent wstrzymał rozdzielanie rodzin, a PR-owcy Melanii rozpoczęli ofensywę w mediach – również tych Trumpowi nieprzychylnych – przekonując, że pierwsza dama jako kobieta i matka „od wielu tygodni” naciskała męża, by drakońskie prawo złagodził.

Prof. Sonja Drimmer, historyczka sztuki z Uniwersytetu Massachusetts, porównywała na łamach „The Atlantic” te medialne wysiłki do średniowiecznych zabiegów łagodzenia despotycznego wizerunku króla za pomocą łaskawej królowej. Ten zabieg zaczyna się w symbolice wczesnochrześcijańskiej – pisała Drimmer – i płynnie utrzymuje się aż do średniowiecza. Matka Boska była przedstawiana jako ta, która potrafi wpłynąć na decyzje syna, zwłaszcza względem grzeszników. A królowe wyblagiwały u mężów łaskę dla złoczyńców, biedaków, osób niegodnych litości.

Profesorka tłumaczy, że kobiety były wykorzystywane jako narzędzie. Nieomylny władca nie mógł się przysiąc do błędu czy zmienić zdania – no, chyba że pod wpływem uczuć małżonki. Wygodne zwłaszcza w przypadku aktów łaski ryzykownych politycznie – niemile widzianych przez poddanych albo wpływowych możnych. W ten sposób, konkluduje prof. Drimmer, wygrywali wszyscy. Królowe mimo wszystko miały wpływ na rzeczywistość, a monarchowie pozostawali nieomylni i surowi, ale jednak o ludzkim sercu. A wizerunek monarchii, jak byśmy dziś powiedzieli, się ocieplał.

Tyle że Melanii w roli dobrej królowej od razu przybyła konkurentka. Do roli kobiety zmiękczającej serce prezydenta – i to w tej samej sprawie – zaczęła aspirować córka Truma Ivanka. Wyglądało to jak nieudolna rywalizacja speców od wizerunku publicznego. Opinia publiczna szybko się polapała, kto pociągał za sznurki i że byli to doradcy samego Trumpa, którzy się zorientowali, że rozdzielanie rodzin i zamykanie dzieci w klatkach jest politycznie zbyt kosztowne.

**Dla niektórych  
współpracowników  
Trumpa okazała się wielkim  
rozczarowaniem – liczyli,  
że na tle nieokrzesanego,  
szczerze nienawidzącego  
europejskich polityków  
prezydenta będzie świecić  
przykładem i obyciem,  
łagodząc przy tym wizerunek  
całej administracji**

Do akcji zaprzęgli Melanię, a Iwanke dorzucili na wszelki wypadek.

Minęło pół dekady i Melania wraca do roli pierwszej damy. Czy również do Białego Domu? Najprawdopodobniej nie, bo zapowiedziała już, że państwowe obowiązki wykonywać będzie na pół etatu. W Waszyngtonie zamierza bywać, czas dzielić między stolicę, Florydę – gdzie w tej chwili mieszka – i Nowy Jork. Ta metropolia pozostaje dla niej ważna, bo Barron zaczął właśnie studia na New York University. W historii USA to będzie całkowity precedens, bo żadna małżonka prezydenta nie odmówiła przeprowadzki do waszyngtońskiej rezydencji. Nie jest jednak tajemnicą, że stołecznego życia Melania szczerze nienawidziła, podobnie jak samego Białego Domu.

Zresztą – gdyby budynki mogły wyrażać uczucia – z wzajemnością. W Białym Domu nikt raczej nie będzie za nią tęsknić. Kiedy mieszkała tu poprzednim razem, wsławiła się kiczowatymi dekoracjami świątecznymi i przearanżowaniem słynnego Ogrodu Różanego stworzonego przez Jackie Kennedy, które ogrodnicy uznali wręcz za dewastację. Nie pomogły tłumaczenia, że pierwsza dama chciała nawiązać do pierwotnego projektu sprzed celebryckiej epoki Kennedych. Po porażce Trumpa w 2020 r. powstała petycja podpisana przez ponad 50 tysięcy osób, by Jill Biden cofnęła zmiany Melanii.

Jaka będzie jej druga kadencja? Jeszcze bardziej dyskretna. W czasie kampanii udzielała się mało albo wcale, na finiszu zaczęła się pojawiać na wiecach częściej, ale tylko jako tło – fotografować dawała się najczęściej w ciemnych okularach, bez uśmiechu. Na wielkiej konwencji Republikanów w Milwaukee nie zabrała głosu ani razu – co akurat wielu członków partii pamiętających jej dawne występy przyjęło z ulgą. W 2016 r. wygłosiła przemówienie, które w sporych fragmentach okazało się kopią słów wypowiedzianych osiem lat wcześniej przez Michelle Obamę. Dziennikarze zarzucili jej plagiat, na co sztab Republikanów odpowiedział, że trudno oczekiwać innych sformułowań, kiedy reprezentuje się te same wartości. Nikt nie wziął tego za dobrą monetę, za to posypały się komentarze, że Melania zasignalizowała, iż pod względem podejścia do prawdy niewiele się różni od męża.

W tym roku Melania nie popełniła faux pas, bo nawet nie ukrywała, że jest całkowicie nieobecna. Tak jakby walka męża o kolejną kadencję zupełnie jej nie interesowała.

Wbrew tabloidowym plotkom i marzeniom liberalów nie ma dowodów na to, że Melania swoim małżonkiem gardzi – choć też nic nie wskazuje, żeby łączyła ich szczerą miłość.

I tu znajduje się klucz do zrozumienia, kim jest jako żona i matka, jako pierwsza dama oraz jako partnerka faceta skazanego za płacenie gwiazdzie porno za milcze-

nie. Otóż Melania Trump świadomie ignoruje fakt, że jej mąż został już dwa razy prezydentem najpotężniejszego kraju na świecie. Jest pierwszą damą Stanów Zjednoczonych, ale otwarcie daje do zrozumienia, że ten tytuł do niczego nie jest jej potrzebny. Nie zamierza mu się poświęcać, korzyści z niego też nie czerpie.

Bo nie musi – jest bogata, zapewniła już przyszłość synowi i sobie, nawet bez sukcesów męża miałaby kilka rezydencji i świetną ochronę 24 godziny na dobę. Szacuje się, że jej własny majątek to 70 mln dol. To, co zarobiła jako modelka, pomnażała w inwestycjach, takich jak wypuszczona w 2010 r. własna kolekcja biżuterii i zegarków, która dotąd przyniosła jej 45 mln dol. zysku. Zyskał też na wartości apartament w Trump Tower, za który w 2016 r. zapłaciła 1,5 mln dol. A już po wyprowadzce z Białego Domu sprawnie komercjalizowała wizerunek, sprzedając m.in. popularne swego czasu wśród inwestorów tokeny NFT, czyli unikatowe cyfrowe wizerunki, np. wirtualne dzieła sztuki (na umowie licencyjnej zarobiła co najmniej 330 tys. dol., choć nie wiadomo, czy tylko za tokeny, czy również za inne sposoby wykorzystania jej nazwiska), oraz biorąc niemałe kwoty za przemowy i spotkania. Tylko za spicz na spotkaniu z biznesmenami i darczyńcami Partii Republikańskiej w kwietniu 2024 r. w Mar-a-Lago, słynnej posiadłości Trumpa na Florydzie, zainkasowała 237,5 tys. dol. Co może potwierdzać tezę, że milczy z wyboru, a nie dlatego, że nie ma nic do powiedzenia.

A od kiedy Trump zdecydował się wejść do polityki na pełen etat, zamienił amerykańską debatę publiczną w cyrk. Melania od początku pierwszej kampanii konsekwentnie udowadnia, że nie ma zamiaru nawet siedzieć na widowni.

Dla niektórych to postawa godna podziwu – również na feministycznej lewicy. W dniu amerykańskich wyborów Rebecca Reid na łamach „The Independent” chwaliła Melanię za odmowę udziału w brutalnej kampanii wyborczej. Brytyjska dziennikarka zauważa, że wycofując się z aktywnego uczestnictwa w wiecach czy spotach wyborczych, przyszła pierwsza dama łamie zasadę o żonie będącej przedłużeniem męża. Amerykańskie wybory to zawsze medialny show, w którym od partnerek kandydatów – bo byli nimi prawie zawsze mężczyźni – oczekuje się zaangażowania z definicji. Są traktowane jak akcesoria, kolejne logotypy, przestrzenie reklamowe. Nikt ich nigdy nie pyta, czy w ogóle chciałby brać w tym przedstawieniu udział.

Melania, milcząc, dokonuje aktu emancypacji – jedynej prawdziwej, możliwej w tych warunkach – przekonuje Reid. Po czym rzuca propozycję niemożliwą, ale intrygującą: a gdyby zakazać uczestnictwa małżonków w kampaniach? Niech przyszłe pierwsze damy nie przemawiają na wiecach, ba!, niech się wyprowadzą z Białego Domu czy 10 Downing Street. – Zamieńmy te miejsca wreszcie w to, czym tak naprawdę są: biura polityków, a nie udawane gospodarstwa domowe, po których niby przez przypadek kręca się dziesiątki podwładnych w garniturach i ze stosami papierów pod pachami – apeluje dziennikarka. Dopiero wtedy współmałżonkowie kandydatów, a więc głównie kobiety, mogą być prawdziwie wolni i swobodnie podejmować decyzje o swoim politycznym zaangażowaniu.

Brzmi sensownie, ale Reid ignoruje prostą zależność, której nie zmienia żadna regulacja: okej, można być anonimowym mężem kanclerki Niemiec albo zajmować się swoimi zawodowymi sprawami jak żona brytyjskiego premiera, ale w przypadku życiowego partnerstwa z prezydentem USA tak się nie da. Jeśli stoisz obok najbardziej wpływowego człowieka na planecie, chcąc nie chcąc jesteś postacią publiczną. I nawet gdybyś w świetle prawa była osobą zupełnie prywatną, to i tak wszystkie oczy będą na ciebie zwrócone, a każdy twój gest interpretowany.

A zresztą – czy Melania tak do końca się uchyla?

Kilka tygodni przed finałem kampanii ukazała się jej oficjalna autobiografia. To blisko 200 stron pustosłowia i anegdotek z czasów dorastania w byłej Jugosławii, ale jest kilka momentów, które zasługują na uwagę. Jak fragment, w którym Melania ujawnia się jako zagorzała obrończyni prawa do aborcji. „Konieczne jest zagwarantowanie kobietom pełnej autonomii w decydowaniu o tym, czy chcą mieć dzieci, tak aby były wolne od jakichkolwiek nacisków ze strony rządu”.

Komentatorzy szybko stwierdzili, że to oko puszczone do młodych wyborczyń – wiecie, mój mąż w poprzedniej kadencji mianował tych konserwatywnych sędziów Sądu Najwyższego, którzy w 2022 r. unieważnili słynny dający kobietom prawo do przerywania ciąży wyrok Roe vs Wade, pozwalając stanom decydować o zakazie aborcji, a teraz przymiła się o datki do mizoginicznych miliardarów wolnościowców z Doliny Krzemowej, ale rozumiecie, kampania ma swoje prawa, a wszystko zostanie po staremu.

Jednocześnie ani razu nie wypowiedziała się na ten temat publicznie w czasie kampanii, w której Trump taktycznie umywał ręce od kwestii aborcji, oznajmiając, że wolność jest najważniejsza, więc zostawi ją w gestii legislatur stanowych.

Na liście tematów skrzętnie pomijanych przez Melanię w rzadkich wypowiedziach, a nagle uwypuklonych w autobiografii, jest też politycznie motywowana przemoc. Stara-nowa pierwsza dama pisze, że to, co działo się podczas szturm na Kapitol, było całkowicie nieakceptowalne, że sporów politycznych nie powinno się rozwiązywać przemocą w żadnym wypadku.

W kampanii nie zająknęła się na ten temat słowem, bo w obozie jej męża byłaby to zdrada stanu. Prezydent elekt zbudował całą mitologię walki o reelekcję właśnie na założeniu, że wyborów cztery lata temu nie przegrał. Od razu zaczął rozgłaszać, że został okradziony ze zwycięstwa – a więc i wszyscy Amerykanie, którzy na niego głosowali. Jego zwolennicy, którzy ścignęli 6 stycznia 2021 r. do Waszyngtonu i wdarli się do Kongresu i Senatu, mieli więc prawo być wściekli – w końcu ktoś złamał ich obywatelskie prawa, ukradł im wybory i w konsekwencji całe państwo.

A jak ktoś jest na coś zły, ma prawo być agresywny – tak działa świat Trumpa. Żeby móc w nim funkcjonować, Melania od początku musiała się podporządkować tym zasadom. I co z tego, że zawarła krótką, potępiającą wzmiankę w autobiografii. Do męża mogło to nawet nigdy nie dotrzeć, powszechnie wiadomo, że nienawidzi podawania mu informacji w formie słowa pisanego, wiadomości przyjmuje wyłącznie wizualnie i dźwiękowo, stąd jego uwielbienie dla telewizji i social mediów.

Ważniejsze jest to, czego w książce nie ma. A nie ma ani jednej wzmianki o finansowych porażkach Trumpa i ucieczkach przed wierzycielami w bankructwo. Ani o kobietach, które skrzywdził. Nie pada nazwisko Stormy Daniels, aktorki filmów dla dorosłych, którą uciśzał kampanijnymi pieniędzmi. Nie ma choćby aluzji do słynnego nagrania, na którym Trump, wtedy jeszcze milioner celebryta, perorował: „Piękne kobiety pociągają mnie z automatu, od razu zaczynam je całować. To jest jak magnes. Całuję i nawet nie czekam. Kiedy jesteś gwiazdorem, one ci na to pozwalają. Możesz robić, co chcesz, nawet łapać za cipki”.

Choć trzeba przyznać, że w tej sprawie zabrała głos jeszcze jako kandydatka na pierwszą damę – gdy w 2016 r. ujawniona taśma mogła pograć kampanię Trumpa, stwierdziła w CNN, że kobiety same się do niego garnęły – „widziałam, jak niektóre dają mu swój numer telefonu” – a jej mąż jest dżentelmenem, bywa bezpośredni, ale szanuje kobiety, a to było takie „chłopackie gadanie”, do którego podpuścili go przedstawiciele lewicowych mediów.

No i ostatni temat tabu: dzieci z poprzednich małżeństw. Melania omija ten istotny autobiograficzny wątek, bo jej relacje z resztą rodziny Trumpów są co najmniej chłodne. Wiadomo, że najtrudniej było jej dogadać się z Iwaną – głównie dlatego, że ulubiona córka prezydenta w jego pierwszej administracji odgrywała ważną rolę doradczą. Melanii bliżej było do młodszej Tiffany, raptem kilkulatniej, gdy związała się z Donaldem, bo pozostali, jak sama napisała w biografii, wtedy „byli już dorosłymi, niezależnymi ludźmi”. „Nigdy nie chciałam zastępować ich matek” – dodała, okraszając to wyznanie eufemizmami w stylu „każdy człowiek jest inny”. I na tych paru zdaniach koniec.

Czytając książkę zatytułowaną po prostu „Melania”, ma się wrażenie, że to wszystko, czym przecież żyje cała Ameryka, jej w jakiś magiczny sposób nie dotyczy. Ale to żadna magia, tylko podjęta z zimną krwią decyzja. 54-latką po latach życia u boku kogoś takiego jak The Don zgodziła się odgrywać rolę niemej żony prezydenta w zamian za święty spokój. To niewysoka cena za wyjście z biznesowo-celebrycko-politycznego cyrku jej męża.

Być może najtrafniejszy komentarz, który kiedykolwiek usłyszałem na temat Melanii Trump, pochodził znad Wisły. Przyjaciółka pod koniec pierwszej kadencji Trumpa powiedziała mi, że Polska i Stany Zjednoczone jeszcze nigdy nie były tak blisko. Kiedy zapytałem, co ma na myśli – wzmacnianie wschodniej flanki NATO, obiecany Fort Trump, kontrakty zbrojeniowe, energetyka, sympatia ludzi Trumpa do rządów, które jak Polska i Węgry demonstrują eurosceptycyzm i pogardę dla „elit”? – odpowiedziała: „Wiesz, oba kraje mają pierwsze damy, które świadomie wybrały milczenie”.



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

## Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książki „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

## wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

### REDAKCJA:

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Telefon: 22 555 66 00

E-mail: redakcja@wyborcza.pl

Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz

zastęga sobie prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych

osobowych: ied@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;

PIERWSZY ZASTĘPCA:

REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:

Roman Imielski;

ZASTĘPCY:

Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla

WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef),

Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek,

Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor

Rakowski-Kłos, Grażyna Żabińska

GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski,

Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski,

Łukasz Rudnikowski

FOTOEDYCJA: Dominik Gajda

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska

8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak

CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan,

Joanna Kwas

Biuro reklam i ogłoszeń:

reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,

faks: 22 555 54 44

Rozpowszechnianie redakcyjnych

materiałów publicystycznych

bez zgody wydawcy jest zabronione.



Angela Merkel:

# KĄŻDE NOWE POKOLENIE MUSI SAMO ZADBAĆ O SWOJĄ WOLNOŚĆ

Marc Bassets

## EL PAÍS

**L**achowała się nietypowo jak na politycznego przywódcę: z dnia na dzień zniknęła ze sceny. A przecież była kimś więcej niż po prostu kanclerzem Niemiec – ona była aż czterokrotnie wybierana na to stanowisko, a w międzyczasie wybuchwały kolejne kryzysy, z którymi jako liderka Europy musiała sobie radzić – polityczne, gospodarcze i zdrowotne. Nigdy nie przegrała wyborów – po prostu zdecydowała się nie kandydować ponownie. 8 grudnia 2021 przekazała władzę swojemu następcy i odtąd nie zabrała głosu w żadnej debacie.

Niemal dokładnie trzy lata później, gdy Angela Dorothea Merkel wchodzi do pokoju w berlińskim hotelu Adlon i wita się z nami, jest taka sama jak wtedy, gdy na jej decyzje czekała cała Unia: naturalność, umiejętność skracanie dystansu i poczucie humoru – a jednocześnie ścisła samokontrola. Uśmiechając się uprzejmie, waży każde słowo i gest.

Merkel powraca do rozmów z dziennikarzami, bo opublikowała swoje wspomnienia, zatytułowane „Wolność”, napisane z pomocą jej lojalnej od lat współpracownicy, Beate Baumann. W tej książce jest taka sama jak wtedy, gdy była uważana za liderkę wolnego świata. Ale ten świat jest już inny. Donald Trump został ponownie wybrany na prezydenta USA. Niemcy pograżyły się w strukturalnej recesji. Tróipartyjna koalicja kierowana przez kanclerza Olafa Scholza właśnie się rozpadła: następca Merkel nie dotrwa do końca kadencji, a koniec jego rządu odbędzie się w konwulsjach – ostry kontrast do jej uporządkowanego odejścia, bez dramatu i hałasu.

**Czy nie kusi pani, by wrócić do polityki i wykorzystać swoje doświadczenie? Nie myśli pani czasem o decyzjach rządu: „Zrobiłabym to inaczej”?**

– Byłam kanclerzem przez 16 lat i wystarczy. Służyłam naszemu państwu, zawsze starając się robić wszystko, co możliwe. Teraz kto inny musi przejąć pałeczkę. Jasne, że często zastanawiam się nad tym, jak i dlaczego tak myślałam i działałam w wielu sytuacjach. Z tego wynika ta książka. Ale mój czas w aktywnej polityce dobiegł końca.

Jej czas: wystarczy wyjrzeć przez okno pokoju, w którym rozmawiamy, aby zrozumieć znaczenie tego czasu dla Niemiec i dla Europy. Okno wychodzi na Bramę Brandenburską, symbol podziału, a potem zjednoczenia Berlina. To właśnie wtedy przebiegał mur postawiony podczas zimnej wojny, a nieopodal prezydent Ronald Reagan powiedział w 1987 r. do radzieckiego przywódcy: „Panie Gorbaczow, niech pan zburzy ten mur”.

**Była kanclerzem Niemiec przez 16 lat.**

Po opuszczeniu urzędu w 2021 r. całkiem usunęła się z życia publicznego.

**Ale teraz wydaje swoje wspomnienia – 800 stron, na których opowiada o latach władzy oraz o życiu w NRD. I twardo broni swoich politycznych decyzji.**

Gdy dwa lata później mur faktycznie runął, świat przyspieszył. Również dla Angeli Merkel, córki protestanckiego pastora i nauczycielki, którzy tuż po jej narodzinach przenieśli się z Hamburga do NRD. 9 listopada 1989 r. miała 35 lat, spędziła je w komunistycznych Niemczech wschodnich, które zaferowały jej standardową naukową karierę fizyka – i faktycznie stanowiła z pozoru wzorcowy produkt systemu.

Jej czas w polityce – w Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU), wielkiej partii niemieckiej chadecji, a potem u steru Niemiec – był być może wyjątkowym okresem względnego spokoju w historii. Zaczęło się od tego wyjątkowego momentu, w którym wolność i demokracja zdawały się triumfować, od „końca historii” Fukuyamy. Kończy się triumfem Trumpa, wojną rozpętaną przez Władimira Putina oraz falą populizmu i wzrostu skrajnej prawicy w zachodnich demokracjach.

**Pisze pani: „Jeśli chcemy żyć w wolności, musimy bronić naszej demokracji, wewnątrz i na zewnątrz, przed tymi, którzy jej zagrażają”. W 1989 r. myśleliśmy, że wolność zatriumfowała ostatecznie. Jakże są dziś powody, by serio obawiać się o wolność w Europie?**

– Mam 70 lat, czyli dokładnie przez połowę życia spędzoną w NRD tęskniłam za wolnością. Ale ja byłam uprzywilejowana: moi rodzice przekazali mi przekonanie o wartości wolności w domu. Upadek muru berlińskiego przyniósł euforię, ale ona zawsze w końcu wygasa, a dziś rosną partie i nurty polityczne, które wolnością wycierają sobie usta, ale nie rozumieją, czym jest i próbują ją ograniczać. Dlatego uważam, że ponownie nastał czas walki o wolność.

Każde kolejne pokolenie musi się dowiedzieć, że jest ona czymś cennym, że nie można jej brać za pewnik, że wymaga wysiłku. Wolność obejmuje szacunek dla innych, tolerancję, zdolność do osiągania konsensusu. Wszystko to jest trudne i musi być nieustannie praktykowane od nowa, w każdym pokoleniu.

**Myśli pani, że na takie podejście do wolności miało wpływ 35 lat spędzone w dyktatorskim reżimie?**

Myślę, że my wszyscy, którzy żyliśmy w dyktaturach – co dotyczy nie tylko demoludów, ale także frankistowskiej Hiszpanii – nigdy nie zapomnimy, czym jest pragnienie wolności. Bo pamiętamy, w jaki sposób talenty i marzenia napotykały tam na bolesne, surowe ograniczenia. Pamiętając to, trudno nie być wdzięczną za wolność i możliwości, jakie ze sobą niesie. Ale wolność zawsze jest wyczerpująca, ponieważ wymaga brania odpowiedzialności za własne życie i życie innych.

**Ale czy nie obawia się pani, że era, która wydawała się rozpocząć w 1989 r., może dobiegać końca?**

– Strach nigdy nie jest dobrym doradcą.

Ale owszem, martwię się. Trzeba się martwić. Dziś stoimy w obliczu wyzwań, których nie było w przeszłości, np. z powodu tego, co robimy z nami sieci społecznościowe, ale także z powodu nieznośnej tendencji do postrzegania wszystkiego w kategoriach czarne-białe. Zamiast dostrzegać wszystkie odcienie, wolimy jaskrawe, pozbawione wszelkich niuansów skrajności.

Jej kariera polityczna jest wyjątkowa. Kobietą, i to z Niemiec wschodnich, rozegrała pewnych siebie mężczyzn z Zachodu w bardzo konserwatywnej partii. Podczas spotkań z Obamą czy Macronem musiała być pilnie obserwowana, z ciekawością i fascynacją. Jak przyszła z kosmosu. Władza ani jej nie oślniła – a przynajmniej ona nie dała nigdy tego po sobie poznać – ani nie przemieniła. Próżność i narcyzm nie należą do jej wad, tak jak fantazja czy zuchwałość nie należą do jej cnót. W swoim sposobie bycia ani nie może, ani nie chce ukrywać swojego pochodzenia, religijnego zaplecza, naukowego podejścia.

Ona uczyła się rosyjskiego w szkole w NRD, natomiast Władimir Putin mówi po niemiecku od czasów, gdy był agentem KGB w Dreźnie. W jakim języku ze sobą rozmawiali? Nie zawsze było miło. W książce Merkel wyjaśnia, że boi się psów od czasu, gdy przed wielu laty została pogryziona. Wiedział o tym Putin, gdy goszcząc Merkel wypuścił na nią swojego czarnego labradora. „Z wyrazu twarzy Putina wywnioskowałam, że bawi go ta sytuacja, więc zadałam sobie pytanie: czy on po prostu lubi oglądać, jak reaguje osoba w niebezpieczeństwie? Czy raczej to małosłowna demonstracja siły?”.

A Donald Trump? „Najwyraźniej rosyjski prezydent go zafascynował”, pisze. „W ogóle odnoszę wrażenie, że Trump łatwo daje się uwieść politykom o cechach autokratycznych i dyktatorskich”.

**Jako liderka najważniejszego kraju UE często miała pani do czynienia z Trumpem podczas jego pierwszej kadencji. Uważa pani, że „patrzył na wszystko z perspektywy inwestora na rynku nieruchomości. W takim ujęciu wszystkie kraje brały udział w czymś w rodzaju sportowym wyścigu, w którym sukces jednego musiał oznaczać porażkę drugiego”. Ma pani jakąś radę dla dzisiejszych polityków, jak sobie z nim radzić?**

– Nie mam żadnej rady, ale mam doświadczenie, z którego wynika, że trzeba być sobą. Zawsze wprost wyrażałam swoje poglądy, a Trump wyrażał swoje. Z tym że ja mówię z wiarą w słuszność, a on należy do ludzi, którzy lubią swoimi słowami sprawiać, by inni się bali. W rozmowie czy negocjacjach nie trzeba się martwić, że nie uda ci się postawić całkowicie na swoim. Każdy ma swoje interesy i trzeba je jakoś pogodzić, nawet jeśli bywa to trudne.

**To z pewnością dobra rada dla każdego negocjatora, ale czy także w przypadku kontaktów z Trumpem?**

– Problem polega na tym, że Trump nie wierzy w sytuacje win-win, tylko myśli w kategoriach zwycięzców i przegranych.

Jeśli jeden polityk pójdzie na ustępstwa, jeśli da coś drugiemu, a ten drugi da coś w zamian, to przecież obaj coś zyskają, bo razem są silniejsi niż w pojedynkę. Jest to również podstawowa zasada Unii Europejskiej.

A jej przeciwieństwem jest Make America Great Again, koncepcja, która ma na celu wyłącznie wzmocnienie własnego kraju, co w wielu przypadkach może zadziałać tylko poprzez odebranie lub odmówienie czegoś innym krajom.

**Wracając jeszcze do NRD – niewiele mówiła pani o niej przez ostatnie 35 lat.**

– Gdy mur upadł, ja natychmiast zajęłam się polityką i nie miałam czasu, by dokładnie przemyśleć życie w NRD. Dopiero proces pisania tej książki pozwolił mi po raz pierwszy na zasadniczą refleksję.

**I dopiero w jednym ze swoich ostatnich przemówień mówiła pani o tym otwarciu, o żalu, że doświadczenie życia w NRD zostało uznane za „obciążenie”. Ktoś nawet określił panią jako „Niemkę z wykształcenia, nie z urodzenia”. Czy to bolało?**

– Bolało. Co ciekawe, te komentarze nie padały publicznie w latach 90., ale dopiero na początku obecnej dekady. Dlatego mówiłam w ten sposób dopiero pod koniec mojej kadencji. Wcześniej zawsze uważałam się za kanclerza wszystkich Niemców. Zamiast mówić „spójrzcie, co to znaczy być pierwszą kobietą i pierwszym Ossi na tym stanowisku”, starałam się nie podkreślać różnic między Wschodem a Zachodem.

**Pisze pani: „Do ostatniego dnia będzie mi towarzyszyć pytanie o to, kiedy i w jaki sposób jedność Niemiec zostanie faktycznie dokonana”.**

– Niemiecka jedność nie jest kompletna. Kiedy będzie? Kiedyś uważałam, że wtedy gdy różnice między Meklemburgią a Szlezwikiem-Holsztynem [dwa sąsiadujące ze sobą kraje związkowe w północnych Niemczech, dawniej oddzielone granicą międzyniemiecką] będą mniejsze niż te między Meklemburgią a Saksonią [dwa dawne landy NRD]. Okazuje się jednak, że istnieją różnice w strukturach mentalnych między Niemcami wschodnimi i zachodnimi, np. w ich stosunku do partii politycznych. W wyniku doświadczeń dyktatury NRD, w nowych krajach związkowych panuje zupełnie inny



FOT. JESCO DENZEL / BUNDESREGIERUNG / GETTY IMAGES

• **Najstynniejsze zdjęcie ze szczytu G7 w historii, zrobione 9 czerwca 2018 w Charlevoix w Kanadzie. To rzecznik kanclerz Merkel wrzucił je na Twittera, ale podobno Trumpowi także się podobało**

poziom sceptycyzmu wobec udziału w życiu publicznym niż na zachodzie. Ponadto nastąpił ogromny exodus ludzi ze wschodu na zachód, za pracę. Problemy z tego wynikające będą się utrzymywać jeszcze przez jakiś czas. Być może my wszyscy, łącznie ze mną, nie doceniliśmy, jak długo trwa proces dochodzenia do korzystania z wolności w państwie, w którym przez 40 lat jej nie było.

**W ostatnich wyborach regionalnych we wschodnich Niemczech skrajnie prawicowe i populistyczne partie zdobyły w sumie ponad 40 proc. głosów.**  
– To duży problem. Dla mnie liczy się ludzka godność, która w Niemczech musi być nienaruszalna. Nie można tolerować nienawiści wobec mniejszości czy imigrantów. Jednak to partie demokratyczne muszą przekonać tych, którzy głosują na ekstremę – często tylko po to, by wyrazić swoje niezadowolenie czy frustrację – że to nie służy żadnemu celowi.

**Prawicowe partie ekstremistyczne są obecnie utrapieniem w wielu krajach europejskich.**  
– Dlatego musimy nieustannie prowadzić kampanię na rzecz wolności. Obecnie AfD próbuje przywłaszczyć sobie frazę „My jesteśmy narodem”, która pochodzi z pokojowej rewolucji w NRD w 1989 r., aby wykluczać ludzi uznanych za obcych. Kto jednak ma prawo decydować, kto należy do narodu, a kto nie? Do czego prowadzi takie myślenie?

**A jak inne partie powinny radzić sobie ze skrajną prawicą?**  
– Słuszne jest wykluczanie koalicji ze skrajną prawicą. Ale to nie znaczy, że można lekceważyć problemy, które ona wskazuje. W wielu krajach Unii w regionach wiejskich rozczarowanie ludzi jest większe niż w miastach. Bo infrastruktura na prowincji jest zła, brakuje komunikacji, szkół i lekarzy. Ale nie może być współpracy z partiami, które głoszą marginalizację ludzi, chcą, aby niektórzy po prostu nie należeli do społeczeństwa, nawet jeśli żyją z nami od dawna.

**Kluczowa data w książce i w pani karierze: noc z 4 na 5 września 2015, kiedy zdecydowała pani otworzyć niemiecką granicę dla uchodźców zablokowanych na Węgrzech. Czy teraz, gdy politycy w Europie i Ameryce triumfują z antyimigracyjnym przesłaniem, a nawet socjaldemokratyczny kanclerz Olaf Scholz forsuje restrykcyjne środki w tej dziedzinie, tamto przesłanie z września 2015 zostało zapomniane?**  
– Moja decyzja, by nie zawracać uchodźców z Węgier na granicy austriacko-niemieckiej była podjęta na korzyść ludzi przebywających na europejskiej ziemi. W Europie codziennie mówimy o naszych wartościach. Ale to na liderach spoczywa odpowiedzialność dostosowania do nich polityki. Musiałam nie tyl-

ko podjąć tę decyzję w sytuacji zagrożenia humanitarnego, ale także znaleźć rozwiązania, które trwałyby dłużej i przyczyniłyby się do zwalczania nielegalnej migracji. Chciałabym w tym kontekście wspomnieć o porozumieniu między UE a Turcją. Wiele z podejmowanych obecnie działań, jak umowy z Tunezją czy Libią, to kontynuacja mojej ówczesnej polityki. Ten sposób działania próbuje poradzić sobie z przyczynami migracji, pomagając przy tym, by to nie ci, którzy szerzą nienawiść i niechęć do obcokrajowców, tacy jak AfD, ustalali naszą polityczną agendę.

Problemem jest nielegalna imigracja, sieci przemytników i handlarzy ludźmi. Problemem jest desperacja, która zmusza ludzi do narażania życia poprzez podjęcie ryzykownej drogi do UE. Musimy zwalczać przyczyny migracji u ich źródeł, a jeśli ludzie jednak decydują się opuścić swoją ojczyznę, przynajmniej dać im możliwość życia blisko niej.

Dlatego zdecydowanie poparłam porozumienie UE-Turcja, które ograniczyło nielegalną imigrację przez ten kraj. Oznacza to jednak wspieranie Turcji w przyjmowaniu dużej liczby osób.

Krytykowano mnie za zawarcie tego porozumienia z prezydentem Erdoganem, twierdząc, że nie jest on prawdziwym demokratą. Ale ja wierzę, że czasami musimy współpracować z politykami, którzy mają inne przekonania, jeśli ta współpraca służy naszym interesom.

**Minister spraw wewnętrznych w pani rządzie, Horst Seehofer, powiedział niedawno, że to pani polityka migracyjna w 2015 r. „wprowadziła AfD do parlamentów”.**  
– Wiadomo, że nie zgadzamy się co do środków, które należy podjąć, aby skutecznie zwalczać nielegalną migrację, a jednocześnie nie sprzeniewierzyć się naszym wartościom humanitarnym. Europa nie może rozwiązać tego problemu izolując się, tylko przede wszystkim współpracując z krajami pochodzenia tych ludzi.

Angela Merkel przetrwała kryzysy, ale nie ukształtowała Niemiec czy Europy. Raczej zarządzała na bieżąco niż przewidywała nadchodzące niebezpieczeństwa. Odparła liczne ciosy, ale nie przewidziała cięższych, które miały nadejść. „Oszustwo” – to tytuł jednej z niemieckich książek, która trzy lata po odejściu Merkel z polityki analizuje jej dziedzictwo, a ten ostatni okres lata określa jako „trudne przebudzenie” po erze dobrobytu. Tak, jakby kanclerz uśpiła Niemców, a oni chętnie pozwolili się uśpić.

W 2021 r. opuściła scenę owiana aurą kobiety stanu, przywódczyni Europy. Dziś w swoim kraju przechodzi przez rodzaj czyszcza. Obwinia się ją o obecne trudności w odpowiadaniu Niemiec na wojnę w Europie i o recesję, protekcjo-

nizm i takie układanie geopolitycznej szachownicy, które ułatwiło zdominowanie jej przez bandytów. Nawet w jej własnej partii, CDU, mają do niej pretensje, że dała paliwo skrajnej prawicy swoją polityką otwartych drzwi dla migrantów.

**Słychać coraz więcej krytycznych głosów dotyczących pani rządów. Że po erze dobrobytu jego filary zostały szybko złamane: zniknął tani gaz z Rosji dostarczany przez kontrowersyjny gazociąg Nord Stream, znika bezpieczeństwo militarne zapewniane przez Stany Zjednoczone, kurczy się eksport do Chin. Czuje się pani odpowiedzialna za utrzymywanie tych zależności i nieprzewidzenie obecnych kryzysów?**

– To naturalne, że należy zadać te pytania. Pracowałam nad tym, aby w miarę możliwości zapobiec wojnie, którą Putin rozpoczął przeciwko Ukrainie w 2022 r. Ten atak stworzył jednak nową sytuację, na którą musimy zareagować nowymi środkami.

Ukraina musi mieć pokojową i wolną przyszłość jako suwerenne państwo. Celu tego nie można osiągnąć wyłącznie środkami wojskowymi; odstraszającej sile militarnej muszą towarzyszyć środki dyplomatyczne, które należy przemyśleć z wyprzedzeniem i wdrożyć we właściwym czasie.

Gdyby Niemcy nie kupiły w przeszłości rosyjskiego gazu, miałyby problem z wysokimi cenami energii już dekadę wcześniej, a prawdą jest również, że w tamtym czasie droższe alternatywy nie były społecznie akceptowane w kraju.

Co więcej, wydawało się właściwe, aby próbować utrzymać wymianę handlową z Rosją, również ze względów politycznych, aby pozostać w kontakcie z tym krajem, zwiążać go jakoś z Zachodem.

Każda epoka ma swoje trudne do przewidzenia wyzwania. Możemy zobaczyć, pod jak wielką presją znajduje się dziś multilateralizm, jeśli spojrzymy na ostrą politykę Chin.

Staralam się przezwyciężyć wielkie kryzysy – globalny kryzys finansowy, kryzys euro, atak na suwerenność Ukrainy, fale uchodźców, pandemię – w taki sposób, aby Europa pozostała zjednoczona. To nam się udało. Teraz stoimy w obliczu nowych poważnych problemów i to inni będą musieli je rozwiązać. Dotyczy to również naszych zdolności obronnych. Oczywiście powinniśmy byli szybciej osiągnąć natowski cel 2 proc. PKB na obronność. Nie tylko Trump, ale także Barack Obama już wcześniej skarżył się, że wkład Niemiec jest tu. Nasze wydatki na obronę rosły aż do końca mojej kadencji, ale nie tak bardzo, jakbym sobie tego życzyła. Nie udało mi się przekonać moich partnerów koalicyjnych, że jest to konieczne i nie uzyskałem niezbędnej większości w parlamencie. Ale teraz musi-

my to zrobić. Tu muszę pogodzić się z tym, że ludzie mnie teraz za to krytykują.

**Mówi pani, że pomogła uratować strefę euro po kryzysie finansowym z 2008 r., ale forsowane przez pani rząd środki były bardzo trudne dla krajów południowej Europy. Tam wielu ludzi kojarzy panią z latami surowych wyrzeczeń.**  
– Rozumiem to. A jednak uważam, że reformy były konieczne. Po zjednoczeniu Niemiec w nowych landach również mieliśmy bardzo wysokie bezrobocie. Wiem, co to oznacza dla ludzi. Nie ma wątpliwości, że środki oszczędnościowe i reformy stanowiły bardzo trudny okres w Hiszpanii, Portugalii i Grecji. Myślę jednak, że jeśli sytuacja poprawiła się, to właśnie dzięki tym reformom. Położyły fundament pod poprawę. W polityce zdarzają się sytuacje, w których trzeba żyć ze złą prasą czy wizerunkiem. Ale można sobie z tym poradzić, jeśli jest się przekonany, że postępuje się słusznie. Dotyczy to prowadzonej przeze mnie polityki wobec uchodźców, polityki europejskiej, polityki wobec koronawirusa i kilku innych kwestii.

Istnieją dwa biograficzne klucze, które, poza jej politycznymi sukcesami i porażkami, definiują Angelę Merkel. Po pierwsze, ponieważ dorastała w NRD, zawsze czuła się outsiderem, nawet we własnej partii, CDU, bardzo zachodniej w swoim stylu. Po drugie, to jak dotąd jedyna kobieta, która stanęła na czele Niemiec. CDU, oprócz tego, że była bardzo zachodnia, była również bardzo konserwatywna i zdominowana przez mężczyzn. I właśnie dlatego Merkel długo była tam niedoceniana: nazywano ją „dziewczyną Kohla”, bo to „kanclerz zjednoczenia” ją promował, ale ona na chłodno przyczyniła się do jego upadku.

Ona sama jako czynna polityk nigdy nie eksponowała tych dwóch definiujących ją kluczy.

**Zawsze unikała pani deklarowania się jako feministka. Ale w książce czytamy: „Tak, na swój sposób jestem feministką”. Jaki to sposób?**

– Chcę równego udziału kobiet we wszystkich dziedzinach. Nie parytetu, ale, jeśli to możliwe, równej liczby kobiet i mężczyzn w różnych zawodach, na różnych stanowiskach kierowniczych i w polityce. Również w przypadku mężczyzn wiele rzeczy zmienia się w społeczeństwie, oni również przez wieki musieli chęć, nie chcąc odgrywać przypisane im role. Dziś wolimy, aby mężczyźni i kobiety dzielili się pracą po równo. Dlatego np. wprowadziliśmy zasilek rodzicielski, który pozwala również mężczyznom wziąć kilka miesięcy urlopu po narodzinach dziecka. A przypomnę, że na początku było to wyśmiewane, ludzie mówili o „wolontariacie przy zmianie pieluch”.

A więc feminizm – tak, ale nie taki, który stawia mężczyzn przeciwko kobietom, ale taki, który pozwala mężczyznom i kobietom zmieniać się razem w taki sposób, że możemy mówić o prawdziwej równości płci.

**Dlaczego nie chce pani powiedzieć po prostu: „jestem feministką”, bez dodatkowych zastrzeżeń?**

– Ponieważ feminizm, który rozwinął się w Niemczech, a być może także w innych krajach europejskich, był często powiązany z socjalistycznymi ideami dotyczącymi społeczeństwa. Był to feminizm, który często stawiał mężczyzn przeciwko kobietom. A to nie jest mój rodzaj feminizmu.

Kiedy zostałam kandydatką na kanclerza po raz pierwszy, zdałam sobie sprawę, że w polityce bycie kobietą jednak nie jest zaletą. Wielu ludzi, a w tym wiele kobiet, martwiło się, zastanawiało się, czy kobieta może dobrze wykonywać tę robotę, czy podola. Ludzie dysponowali tylko męskimi wzorcami do naśladowania. Ale gdy zostałam wybrana po raz drugi, trzeci i czwarty, Niemcy zaczęli mi ufać.

Ja ufam, że uda nam się nadal żyć w pokoju i wolności w zjednoczonej Europie. ●  
tłum. Łukasz Grzymiśławski



# BIALI MĘZCZYŹNI po pięćdziesiątce w jachtach

**Ciekawe, dlaczego bogaci dostają więcej za darmo niż reszta?**

**Edyta Bryła**

**I**o był kolega Piotra w poprzedniej firmie. Facet z małego miasteczka w Wielkopolsce, skończył studia, dostał dobrą pracę, szybko awansował na wysokie stanowisko w firmie w branży IT. Za premię kupił sobie porsche i bardzo się z tym obnosił. Wrzucał zdjęcia w samochodzie na media społecznościowe, ale też na firmowy komunikator. Raz pretekstem było to, że dostał mandat za przekroczenie prędkości – niby się żalił, ale była okazja, by wszystkim przypomnieć, czym jeździ.

Wspólny kolega mówił Piotrkowi, jakie to wkurzające, że on tak się obnosi. Naprawdę tak musi? Ale ten kolega od porsche kiedyś przy kieliszku opowiadał, że jak jechał z Leszna do Poznania na rozmowę o pracę, to tata mu powiedział, żeby dał sobie spokój, bo szkoda pieniędzy na podróż, a pracy i tak nie dostanie. Być może przez całe życie tak mu podcinał skrzydła.

Pracę dostał. Na dodatek jak go pytali, ile chce zarobić, to podał kwotę x, a oni na to, że tyle zapłacić

mu nie mogą, bo na tym stanowisku minimalne wynagrodzenie jest dwa razy wyższe. Być może jemu to jest dzisiaj potrzebne, żeby zająć na rodzinne podwórko nowym porsche i pokazać tacie i sąsiadom, jak sobie świetnie poradził. To może nie jest najlepsza strategia na poprawienie sobie samooceny, ale Piotrek rozumie, że na pewnym etapie ten kolega może potrzebować w taki sposób eksponować sukces.

Z drugiej strony wiele osób naprawdę przekracza granice śmieszności. Inny znajomy wyjechał do Nicei, kupił tam sobie kabriolet i robił sobie w nim zdjęcia. Otwarcie mówił, że myślał, że znajomi w Polsce będą mu zazdrościć, a oni szybko o nim zapomnieli.

**Janusz Filipiak musi mieć rollsa royce’a**

Piotrka wkurzają nie tyle bogaci, co arogancja, kumoterstwo i korupcja. Nie są zależne od pieniędzy, choć, wiadomo, bardziej razi u bogatego. Bogaty więcej dostanie hejtu na drodze, jeśli kiepsko prowadzi albo parkuje. Ale jak w miejskim wydziale gospodarki komunalnej pani Gosia rozdaje znajomym mieszkania, to też wkurza. Bogata czy nie, liczy się to, kto z kim spał, pił wódkę, czym jest szwagrem. W sumie już mniej wkurza bogaty, który sam zarobił i sobie nakupił, niż nepotyzm, koligacje, kumoterstwo i protekcja.

W młodości Piotr był idealistą, myślał, że wszyscy będą działać optymalnie, dla wspólnego dobra. Ale

okazało się, że większość patrzy tylko na siebie. To chyba element dorosłości, pogodzić się, że świat jest niesprawiedliwy. I tak nic na to nie da się poradzić, nawet u sąsiada.

Piotr mieszka niedaleko rodziny, która ma dwa duże amerykańskie samochody, sportowego Dodge’a i terenówkę. Na rejestracjach mają naklejkę „fuck fuel economy”, czyli pieprzyć racjonalne zużycie paliwa. Chyba po to, by wyprzedzić czyjeś uwagi na temat spalin, jakie produkują w mieście. Ale ta rodzina ma małe dzieci. To im, między innymi, robią w mieście smog.

A też trzeba się zastanowić, co z tego, że się coś ma. Ludzie mają ileś rezydencji, superjachty, a nie mają czasu z tego korzystać. W tym rzecz, że im nie chodzi o to, żeby korzystać, tylko żeby mieć. Elton John postanowił raz odpuścić i sprzedał w 2001 roku 20 swoich samochodów – głównie starsze, kolekcjonerskie okazy – bo i tak nigdy nimi nie jeździł.

A na naszym podwórku, Janusz Filipiak, twórca Comarchu, mówił, że ludzie wypominają mu rollsa royce’a, ale gdyby na przykład w Zjednoczonych Emiratach Arabskich pojechał na spotkanie gorszym samochodem, traktowaliby go jak ubożego krewnego.

Nie trzeba być bogatym, żeby się tak zachowywać – polowanie na nowego iphona to pokazuje. Jak wchodzi nowy model, ludzie ustawiają się w kolejce nie wiedząc, czym on się będzie różnił od poprzedniego.



FOT. SHUTTERSTOCK

– Gdy byłem managerem niższego szczebla, koleżanka mi powiedziała, że człowiek z moją pozycją zawodową powinien mieć w szafie trzy garnitury. Jak ja garnitur noszę dwa razy w roku na czyjeś wesela – mówi Piotr.

Na tym polega cały rynek luksusowy – na wymyśleniu sposobu, by coś sprzedać po wyższej cenie. Na przykład, jak się chce sprzedać drogo mały samochód, można powiedzieć, że jest „w cenie premium”. To nie produkt jest premium, tylko cena, ale jak coś drożej kupimy, to chyba jesteśmy fajniejsi, co nie?

Część ludzi jest bardzo bogata, dlatego, że my chcemy wyglądać na bogatych.

Miliony nas kupują ich produkty, lykają jak pelikany, emocjonują się nimi. I jak oglądamy mecze i prychamy na zarobki piłkarzy, to też właśnie w tym czasie zarabiamy dla nich pieniądze.

Na przykład Nokia nie doceniła tego efektu. Piotr czytał, że firma wtopiła tym, że myślała, że krajom trzeciego świata trzeba dostarczyć telefony tanie, a okazało się, że także tam każdy chce mieć smartfon.

Ciekawe, dlaczego bogaci dostają więcej za darmo niż reszta?

Piotr ma dużo oszczędności w euro, więc założył płatne konto na jednej z platform fintechowych, bo oferowała dobre oprocentowanie. Dostał do nich darmowy VPN, dostęp do „Financial Times”, do saloników i szybkiej ścieżki security na lotniskach i kon-

ta premium na Tinderze – rzeczy, na które i tak byłoby go stać, gdyby ich potrzebował.

Ale w „Financial Times” odkrył interesującą rubrykę pod nazwą „Jak to wydać” (How to spend it). – Uzmyslowilem sobie, że istnieją ludzie, którzy mają już tyle pieniędzy, że potrzebują poczytać o tym, co z nimi robić – mówi Piotr. – „FT” chyba zresztą czuje, że coś tu jest nie tak, trochę ukrywa pełną nazwę rubryki i posługuje się teraz skrótem HTSI. Może nie chcą drażnić prekariatu.

#### Co można kupić za pieniądze

Robert mieszkał kiedyś w Londynie. Grał tam raz w tenisa z kolegą i on zaczął narzekać na bogatych, że oni to, oni tamto. Więc Robert zwrócił mu uwagę, że przecież dziecko wysłał do elitarnej szkoły. – Mówię mu, chyba nie robisz tego po to, żeby było biedne, tylko żeby było jedną z tych bogatych osób. Też będzie z automatu złe? – opowiada.

Jak dla niego, w antypatii do bogatych jest fałsz. Jak się nam coś uda, zasługę przypisujemy tylko sobie, a jak się nie uda, to się zastanawiamy, kto nas, najczęściej bogaty, oszukał. Szukamy teorii spiskowych. Niby zazdrościmy bogatym, a w USA biedni głosują na prezydenta, który korporacjom obniża podatki.

Według Roberta różnica między biednym a bogatym leży w tym, co ma w głowie. Zna człowieka, który odziedziczył działkę przynoszącą miliony, a dziś ma dziesiątki tys. długów. Dlaczego? W dotychczasowym życiu umiał tylko wydawać, ale nie inwestować. To znaczy najpierw dobrze zainwestował, sprzedawał piach z tej działki i zarobił 5 mln. Ale potem zaczął rozkręcać biznes, kupować samochody, sobie i dziewczynie, wielki pan był, ale gdzieś się potknął, interesy się nie spięły i jednak zbankrutował.

To nadinterpretacja, że bogaci mogą więcej. – To znaczy nie mogą więcej w takim sensie, że nie są inaczej traktowani przez prawo. Ale stać ich na wynajęcie 10 kancelarii, które powiedzą, jak być traktowanym dobrze, gdy robią coś złego. One znajdują drogę, sposoby, rozwiązania, by państwo nie mogło udowodnić, że robią to, co robią – mówi Robert.

Donald Trump płacił gwiazdzie porno za milczenie, ale uchodzi mu to na sucho. Żeby zarobić na swoje kampanie, robi interesy z reżimami, Arabią Saudyjską, Filipinami, z krajami, z którymi USA nie mają po drodze.

Sean „Diddy” Combs był gangsterem przez dziesiątki lat i to nie tak, że sprawa dopiero teraz wyszła na jaw – wszyscy wiedzieli, że był szefem gangu, zarabiał na handlu narkotykami, prostytutce. Władze wiedziały, policja wiedziała. A został aresztowany dopiero teraz.

Czy zabójcy drogowemu nie należy się kara? Nie może sobie kupić niewinnienia, jeśli spowoduje się śmiertelny wypadek, ale może kupić dom w Dubaju, który da złotą wizę, rezydenturę i ochronę. Tak zrobił Sebastian M., który spowodował tragiczny wypadek na autostradzie A1 pod Łodzią, w którym trzyosobowa rodzina zginęła na miejscu.

Nie trzeba być przestępcą, by korzystać z takich możliwości. Obywatel Chin nie może zamieszkać w Portugalii, chyba że, znowu, kupi sobie tam dom za 200 tys. euro – a z nim wszystkie prawa obywatela, prócz do głosowania.

#### Ile zarabia osoba „naprawdę bogata”

Jeśli bogatych nie lubimy, to też za arogancję. Dotyczy to na przykład polityków. Ale jeśli mamy aspiracje, by być bogatymi, innych bogatych będziemy podziwiał. Albo przynajmniej tych, którzy lubią opowiadać o swoich sukcesach i kreować się na ludzi sukcesu.

Z kolei wielu fanów Donalda Trumpa jego sukces finansowy – o porażkach starają się nie wiedzieć – bierze za dobrą monetę. To dlatego, że w ramach politycznej gry skutecznie uwołodzi.

– „Fani” mają do niego słabość, są w stanie quasi zakochania. Wszystko, co robi, będzie świetne. Niewygodne fakty można przypisać wrogim mediom lub w ogóle odrzucić. Tak działa przetwarzanie treści zgodnie z nastawieniem: wybiera się to, co pasuje do wyidealizowanego obrazu „ukochanego” – mówi dr Milena Drzewiecka z Uniwersytetu SWPS.

Co ciekawe, gdyby spojrzeć na fakty, rywalka w wyborach, Kamala Harris, sukces osiągnęła jeszcze większy, bo zaczynała od zera, jako dziecko imigrantów. A Donald Trump zaczynał z dobrej pozycji, jako syn inwestora, dewelopera, dostał pieniądze od ojca.

Część z nas, nie przyznając się do tego, lubi zaczynać się o stylu życia klasy średniej i wyższej, o tym jak mieszkają, gdzie bywają, gdzie jeżdżą na wakacje. Ale pewnie jeszcze chętniej czytamy, że zainwe-

### Podyskutuj o przyszłości

• 5 grudnia o godz. 18.00 zapraszamy do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na debatę pt. „Survival kit – miejski niezbędnik przetrwania”. Spotkanie jest organizowane w ramach prowadzonego przez Wyborczą cyklu „Przyszłości do życia”. Udział w niej wezmą: futurolożka – Zuzanna Skalska, projektant aut – Chris Bangle oraz architekci – Michał Ciomek i Jakub Szczep-sny. Spotkanie poprowadzi redaktorka Gazety Wyborczej, Natalia Mazur. Deбата z udziałem publiczności (wstęp wolny).

stowali źle, wydali dużo, a mieszkają kiepsko, otworzyli biznes i on upadł, są bogaci a nieszczęśliwi, dzieci mają rozpuszczone i też nieszczęśliwe. Mówimy sobie: „i dlatego ciesz się, że ja nie jestem bogaty”.

To kwestia tego, że lubimy porównywać się także w dół. – Jak się komuś powodzi lepiej, może to działać na nas deprymująco. A jak gorzej, to myślimy sobie, ciekawe, niby mają lepiej, a jednak gorzej, wcale nie są tacy mądrzy i na przykład stracili majątek. To jeden ze sposobów na poprawę własnej samooceny albo samopoczucia. Nie świadczy jednak o dojrzałej osobowości – mówi dr Drzewiecka.

W 2019 roku, według badania CBOS, jako „naprawdę bogatych” respondenci najczęściej wskazywali osiągających próg 10 tys. zł miesięcznie netto w przeliczeniu na osobę w rodzinie. Ile osób tyle ma? W większości uważaliśmy, że około 10 proc. z nas. I raczej przestrzeliliśmy.

Według portalu Statista, w 2022 roku w Polsce zarabiało tyle i więcej około 3,7 proc. (tym 2,7 mln płacących podatki według zwykłych progów podatkowych i 278 tys. podatek dochodowy według stawki liniowej wynoszącej 19 proc.).

Według badań, zdecydowana większość z nas jest świadoma nierówności. 77 proc. respondentów była zdania, że w Polsce ludzie nie mają równych szans i tylko nieliczni mogą się wzbogacić. Co ciekawe, od lat 90. do 2007 r oku tak uważało tylko 10 proc. osób.

Zdania są też podzielone w kwestii, czy ludzie zamożni cieszą się poważaniem i szacunkiem: 47 proc. mówi, że nie, 39 proc. – tak. Ale jednocześnie w większości uważamy, że do bogactwa dochodzi się przede wszystkim pracowitością oraz odwagą i gotowością do ryzyka (po 43 proc. wskazań), talentami i zdolnościami (36 proc.).

Dopiero w dalszej kolejności anketowani wskazywali wykorzystywanie luk prawnych, omijanie prawa i bezwzględność w stosunku do innych ludzi (po około jednej czwartej wskazań). Pomoc rodziny wskazujemy najrzadziej (11 proc.).

Wiele osób argumentuje, że bogaci motywują resztę z nas do cięższej pracy. Ale na dłuższą metę to wcale nie jest dobre. Tam, gdzie są większe nierówności, pracuje się dłużej, by dościsnąć bogatszych. Nierówności społeczne są szkodliwe też z innych powodów. Zwiększają dystans między grupami społecznymi, co widać na przykład w edukacji.

Przez nierówność szans wybitne jednostki z biedniejszych rodzin na terenach wiejskich, nie mają szans się wybić. Edukacja wyższa bywa płatna, a do tego trzeba opłacić mieszkanie, czasem dojeżdżać. Z zeszłorocznego raportu opracowanego przez Warszawski Instytut Bankowości we współpracy ze Związkiem Banków Polskich wynika, że miesięczne wydatki studentów to ponad 3,8 tys. miesięcznie. 5 proc. rozważało rezygnację ze studiów lub urlop dziekański z powodu kosztów.

Ale nierówności zaczynają wykluczać jeszcze wcześniej. Rośnie dysproporcja w jakości kształcenia w liceach – na szczycie statystyk są te prywatne, płatne.

Paweł Bukowski, wykładowca ekonomii na University College London oraz w Polskiej Akademii Nauk: – Wkrótce niektóre z nich mogą się stać, na wzór Wielkiej Brytanii, miejscami, skąd wywodzić się będzie cała nowa klasa polityczna. Już zresztą jesteśmy na podobnym poziomie nierówności, co ten kraj. Przygotowujemy sobie w Polsce rozwarstwienie i zagraża nam strata wielu talentów. Odejdziemy od społeczeństwa równych szans do społeczeństwa, w którym sukces zależy od tego, gdzie ktoś się urodził. To nieetyczne i szkodzi rozwojowi.

Niwelowanie nierówności oznacza więc także pracę nad poprawą sytuacji kobiet.

Wśród 3 tys. najbogatszych Polaków 83 proc. to mężczyźni.

Głównymi zwycięzcami transformacji ustrojowej byli przedsiębiorcy, głównie mężczyźni. Kobiety miały połowę mniejszą szansę, że założą biznes, a jak już im się to udało, to ich zyski były o połowę mniejsze. Przedsiębiorczynie pomijamy też, gdy mówimy o luce płacowej. Jest ona w UE relatywnie niska, 8 proc., ale bierze pod uwagę tylko płace z pracy etatowej.

To tylko jeden wycinek, jeśli uwzględnić jeszcze dochody z działalności gospodarczej i emerytury, luka zwiększy się do 33 proc. Czyli na każde 10 zł, które zarobi mężczyzna, kobieta zarabia 6,70 zł.

Skrajne ubóstwo i skrajne bogactwo

Nie jesteśmy na żadnym naturalnym kursie w stronę przesilenia – nierówności nie złączą się zmniejszać same z siebie, bo osiągną jakiś krytyczny punkt. To nie kwestia praw ekonomii, a systemu podatkowego. W przypadku Polski nie pełni on żadnej funkcji redystrybucyjnej. Przedsiębiorcy płacą wręcz podatki degresywne – im więcej zarabiają, tym podatki obciążają ich mniej w porównaniu do osób zarabiających tyle samo, a rozliczających się według progów podatkowych.

Do tego Polki i Polacy obsesyjnie boją się jakichkolwiek podatków, a najbardziej tych, jakie musieliby płacić najbogatsi. Zamożni mają też największe przywileje. Nie płacą podatków majątkowych, spadkowego, od wartości nieruchomości, a powinni.

Ale nie o polskie podatki tu idzie. Choć nierówności w Polsce na skalę Europy są wysokie, to w Europie na skalę świata – nie tak fatalne. Najlepiej zarabiające 10 proc. na naszym kontynencie ma 36 proc. europejskiego bogactwa, a dla świata ta proporcja wynosi 52 proc. – głównie za sprawą USA, Rosji i Indii, które, według raportu World Inequality Lab z 2022 roku, doświadczyły „spektakularnych wzrostów” w nierównościach.

Najbiedniejszej połowie świata przypada tylko 8 proc. bogactwa.

Uśredniając, bogacze wśród tych 10 proc. zarabiali 122 tys. dol. rocznie, a biedak z dolnych 50 proc. – 3,9 tys. dol. „Żyjemy w czasach niezwykle wysokich nierówności ekonomicznych. Skrajne ubóstwo i skrajne bogactwo wzrosły gwałtownie i jednocześnie po raz pierwszy od 25 lat. W latach 2019–2020 globalne nierówności wzrosły szybciej niż kiedykolwiek od II wojny światowej” – czytamy w raporcie. Przez ostatnie dekady mały udział w bogaceniu się miały też kobiety. Ich udział w dochodach wzrósł z 30 do 35 proc. od 1990 do 2020 roku.

Co ważne, to bogaci ponoszą odpowiedzialność za katastrofę klimatyczną, której skutki ponosi biedne południe, które na tę katastrofę wpływ ma najmniejszy. Raport Oxfamu z 2023 roku jednoznacznie wskazuje bogatych palcem: w 2019 r. 1 proc. najbogatszych (80 mln ludzi) emitował tyle samo dwutlenku węgla, co najbiedniejsze dwie trzecie ludzkości. „Każdego roku emisje najbogatszego 1 procenta niwelują korzyści pochodzące z prawie miliona turbin wiatrowych” – czytamy w raporcie.

Bogaci trują bardziej

Z kolei 10 proc. najbogatszych odpowiada za połowę wszystkich emisji. Dla porównania, cała Afryka – dom co szóstego mieszkańca Ziemi – odpowiedzialna jest za 4 proc. emisji.

Z kolei 10 proc. najbogatszych mieszkańców Europy wyemitowało tyle, co najbiedniejsza połowa. W 2019 roku było to średnio 29,2 tony dwutlenku węgla na osobę – prawie sześć razy więcej niż biedniejsza połowa mieszkańców kontynentu (5,1 tony) i prawie trzy razy więcej niż przedstawiciele europejskiej klasy średniej (10,6 tony).

– Jak spojrzymy na cele klimatyczne i limity emisji, większość świata per capita już je spełnia.

Tylko bogaci przekraczają limity i przez nich nie spełniamy norm klimatycznych – mówi Bukowski.

Część z nas, w Polsce, też jest w tej szkodliwej części. Według Global Carbon Atlas, w 2019 roku na 213 krajów zajmowaliśmy 36. miejsce pod względem wielkości emisji na mieszkańca. Nieznacznie wyprzedzały nas Niemcy, my wyprzedzaliśmy nieznacznie Belgię, Japonię i Holandię.

Według danych Oxfam i Stockholm Environment Institute, 20 proc. najbogatszych Polek i Polaków odpowiada za 45 proc. emisji. W marcu 2024 roku, żeby wejść do tego grona, trzeba było zarabiać 10,5 tys. zł brutto. Żeby być w top 10 proc. – 12,5 tys. Wejście do najbogatszego 1 proc. w skali świata wymaga ponad 500 tys. złotych netto rocznie (dotyczy 380 tys. osób).

Oczywiście niekoniecznie trzeba tyle zarabiać, by być jednym z czołowych emitentów. – Oxfam podaje, że średnie emisje najbogatszych 10 proc. to 24 tony CO2 rocznie. Żeby osiągnąć takie emisje, wystarczy na przykład dojeżdżać codziennie dużym spalinowym samochodem z przedmieść do centrum miasta, parę razy polecieć na wakacje samolotem i utrzymywać 200-metrowy dom lub mieszkanie – podaje w rozmowie z portalem SmogLab dr Michał Czepkiewicz z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Docisnąć jednak powinniśmy się wszyscy. Jak podał portal OKO Press, badacze z berlińskiego instytutu „Hot or Cool” szacują, że poziom emisji powinien wynieść 3,4 tony CO2 w 2030 roku i jedna tona w roku 2050, jeśli mamy dotrzymać postanowień porozumienia paryskiego. To oznacza, że emisje najbogatszych Polaków powinny się zmniejszyć niemal 30-krotnie przez najbliższe 28 lat, a emisje klasy średniej – około 10 razy.

Rakieta kosmiczna gorsza niż jacht

Wśród najbogatszego jednego procenta nadreprezentowana jest określona grupa: biali mężczyźni po pięćdziesiątce, często z Europy i Stanów Zjednoczonych. Wyraźnie widać, że ich emisje wynikają ze stylu życia, na przykład podróżowania prywatnymi megajachtami i samolotami. Jeden super jacht, który nie pływa, tylko czeka na pasażerów, przez rok produkuje 7 tys. ton dwutlenku węgla.

Skoro mowa o jachtach, właśnie one, a nie samoloty, są najbardziej zanieczyszczającymi powietrze zabawkami.

– Może poza raketami kosmicznymi – powiedział Alex Maitland, jeden z autorów raportu.

Bogaci mają tak duży udział w ogólnych emisjach nie tylko z powodu swojego trybu życia, ale również inwestycji – w brudne spółki, które na przykład produkują energię z kopalni.

– Spośród 125 miliarderów przeanalizowanych przez Oxfam, tylko jeden inwestował w zielone technologie – mówi Magdalena Salik, pisarka i dziennikarka naukowa.

Bogaci szkodzą środowisku też przez wpływy polityczne i mediowe. Amerykańscy senatorzy inwestują w akcje spółek sektora energetycznego, w kopalnie, przez co są podatni na działania lobbystów z tej grupy.

Co więcej, jak wskazuje Oxfam, wszyscy amerykańscy senatorowie, którzy w imieniu USA ratyfikują międzynarodowe traktaty klimatyczne, mieszczą się w 1 proc. największych emitentów. Dotyczy to również polityków europejskich. Tworzy to zamknięte kręgi wpływu, skupione tak naprawdę na osobistym interesie, a nie wspieraniu działań proekologicznych.

Jak wskazuje Salik, istnieją badania pokazujące, że im więcej w społeczeństwie jest nierówności, tym większa jest skłonność do konsumpcji produktów luksusowych.

W społeczeństwach z dużymi nierównościami dobra luksusowe stają się pożądanymi symbolami statusu, o których marzy się niezależnie od wielkości bankowego konta.

Jeśli większość społeczeństwa ma dochody dużo poniżej średniej, a obok nich istnieje niewielka grupa niezwykle boga-

77 proc. respondentów  
była zdania, że w Polsce  
ludzie nie mają równych  
szans i tylko nieliczni mogą  
się wzbogacić

tych, ci pierwsi częściej chcą zmieniać telefony, pokazać się w markowych ciuchach czy kupować efektowne samochody.

– A tam, gdzie nierówności nie są tak duże, jak w krajach skandynawskich, posiadanie rzeczy nie dodaje zbytnio statusu. Ważniejsza jest wspólnota, wolny czas i sposób, w jaki go spędzamy – mówi Salik.

250 miliarderów i milionerów pisze list otwarty

Ale nawet jeśli nie na pokaz, to i tak bogaci wydają dużo pieniędzy na konsumpcję, bo mogą.

Bolesnym przykładem jest Norwegia. Pod względem ochrony klimatu ma dobry wizerunek, tymczasem przeciętny mieszkaniec Norwegii zużywa prawie trzy razy więcej zasobów, niż przyroda jest w stanie odtworzyć – a może odtworzyć 7 ton na osobę.

Przeciętny Europejczyk zużywa tylko dwa razy więcej (14 ton). Tak wynika z raportu EY i WWF. Poziom konsumpcji w Norwegii wyższy jest o 70 proc. od średniej europejskiej, ten kraj znajduje się też w światowej czołówce producentów śmieci.

Winne takim danym są głównie rolnictwo, transport i budownictwo. „Norwskie gospodarstwo domowe ma w garażu średnio 1,6 samochodu, z którego korzysta maksymalnie przez pół godziny dziennie. Resztę doby auta stoją bezczynnie” – mówi Mari Svenkerud z EY w Oslo.

Widać też, że winni są stricte najbogatsi. W 2020 roku na mieszkańca z niższym średnim dochodem przypadało tylko 3-5 ton zużytych surowców. Ci ze średnim wyższym dochodem zużywali już prawie 20 ton, a ci z wysokim 24 tony. Co ciekawe, u tej ostatniej grupy zużycie spadło z 27 ton w ciągu 10 lat, a u przedostatniej – wzrosło z około 8 ton. Czyli najbogatsi trochę konsumpcji odpuszcili, a ci ze średniej półki za balowali.

Nie ma się co ludzić, że bogaci zreflektują się sami, zastopują konsumpcję, przekierują inwestycje na zielenisze branże. Nie ma też co liczyć, że młodsze pokolenie przyszłych bogaczy będzie mądrzejsze od starszego.

Wielkomiejscy – najbogatsi – milenialsi są przeciwieństwem tylko na tyle ekologiczny, na ile im wygodnie. Asceza klimatyczna to nierealistyczne oczekiwanie, ale też nic by nie dała. Nawet jakby bogacze przestali latać samolotami, przesiedli się do autobu-

sów i przestali robić zakupy, wciąż istnieć będzie system, który wspiera nierówności. I w miejsce nawróconych pojawi się kolejne 10 proc. szkodzących.

– Nie jest więc kluczem reagować do różnie, tylko poszukiwać środków pozwalających na zmianę, czy choćby naprawienie systemu – mówi Salik. Jakich? Znowu, potrzebne jest skuteczne, wysokie opodatkowanie najbogatszych.

Według Oxfamu, podatek wynoszący 2 proc. dla milionerów z majątkiem przekraczającym 4,5 mln euro, 3 proc. dla właścicieli majątków przekraczających 45,7 mln euro i 5 proc. dla miliarderów, pozwoliłyby zebrać prawie 250 mld euro, do wykorzystania na walkę z kryzysem klimatycznym i nierównościami.

Zresztą najbogatsi sami wystosowali apel, by ich opodatkować. W styczniu ponad 250 miliarderów i milionerów podpisało list otwarty wzywający do wprowadzenia podatków od majątku najbogatszych ludzi na świecie, by walczyć z nierównościami i zapobiec katastrofie klimatycznej.

„ [Opodatkowanie] nie zmieni fundamentalnie naszego standardu życia, nie pozbawi niczego naszych dzieci ani nie zaszkodzi wzrostowi gospodarczemu naszych narodów. Ale zamieni ekstremalne i nieproduktywne bogactwo prywatne w inwestycję dla naszej wspólnej demokratycznej przyszłości” – piszą w liście podpisanym przez m.in. Abigail Disney, Valerie Rockefeller i Briana Coxa.

Wizja zmian jest jednak niezwykle ponura, a perspektywa działań iluzoryczna, skoro wciąż stać nas na pomysły, by na przykład szczyt klimatyczny organizować w Dubaju – betonowym mieście z gigantycznymi nierównościami, w klimatyzowanych taksówkach i klimatyzowanych wieżowcach.

– To był czysty cynizm. Nie żeby szczyt miał być w fawelach. Ale mógłby się odbyć w kraju afrykańskim, gdzie jest sucho i problem z dostępem do wody, i gdzie punktem wyjścia do debaty byłoby nagłośnione doświadczenia jego mieszkańców. To urealniloby dyskusję o sposobach reagowania na zmiany klimatyczne i uczyniłoby ją zwyczajnie uczciwszą – mówi Salik.

Zdaniem dr Czepkiewicza, ograniczenie konsumpcji luksusowej i wymagającej dużego zużycia energii i paliw kopalnych można osiągnąć m.in. poprzez silne opodatkowanie i regulowanie takich rodzajów zużycia energii, które zazwyczaj nie są niezbędne do życia.

Są to podróże lotnicze – nie są dziś objęte akcyzą na paliwa, ani VAT-em za bilety na loty międzynarodowe, oraz duże samochody jak SUV-y i pick-upy.

– Walka z nierównością może polegać na opodatkowaniu dochodów powyżej wysokiego progu, jak w propozycji partii Razem, by opodatkować dochody powyżej 500 tys. zł stawką 75 proc. Podatek taki dotknąłby zaledwie 1 proc. ludzi w Polsce – dodaje Czepkiewicz. ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34348037

przyszłości  
do życia

ORGANIZATORZY

 wyborcza.pl

 wyborcza.biz

wysokieobcasy.pl

REKLAMA

MECENAS I PARTNER  
MERYTORYCZNY

INVEST  
KOMFORT

twórca programu  
insightstudio



# ZETKI NA PROGU

Ona z miasteczka Wilanów, on z wioski pod Siedlcami.

Oktawia Kromer

**O**boje za kilka miesięcy obchodzą 18. urodziny. Jego impreza odbędzie się w remizie strażackiej we wsi pod Siedlcami, jej w wynajętym lokalu w Warszawie. U progu dorosłości opowiedzieli nam o swoim życiu, planach, marzeniach.

Zosia (z marca 2007): uczennica czwartej klasy liceum na warszawskim Mokotowie, mieszka z mamą i psem w bloku w Wilanowie, w maju zda je maturę.

Tomek (z lutego 2007): uczeń trzeciej klasy technikum elektrycznego w Siedlcach, w ciągu tygodnia mieszka z cicią i jej dwójką małych dzieci, na weekendy wraca do rodzinnej miejscowości, maturę i egzamin zawodowy zdaje w 2027 roku.

## Pobudka

Zosia: Wstaję o 5.50. Kiedy nie mam szkoły, budzę się o 7-8. Wczesne pobudki to moja rutyna. Wstaję równo z budzikiem, ubieram się i idę z psem. Do szkoły mam na ósmą i mogłabym niby wstawać później, ale mam taką tendencję, że długo się szykuję. No i nie lubię się spóźniać.

Tomek: Zazwyczaj wstaję o 7.10, ale w poniedziałek o 6. Myję zęby, myję twarz, ubieram się. Jeśli to poniedziałek, to idę na autobus do Siedlec, jeśli inny dzień, idę pieszo, od cioci do szkoły mam 10 minut. Śniadania nie jem, nie jestem z rana głodny.

Z.: To był mój warunek, kiedy zdecydowaliśmy się na psa, że ja będę z nim wychodzić rano. Mama nie potrafi tak wcześnie wstawać. Maks waży więcej ode mnie, 50 kg, na szczęście jest spokojnym piskiem. Chodzimy po osiedlu ze 20-30 minut. Kiedy wracam, piję herbatę. Jem np. jogurt z bananem.

Lubię czasem do szkoły elegancko się ubrać. Ubrania przygotowuję sobie poprzedniego dnia. Od pierwszej do trzeciej klasy w mojej rutynie miałam jeszcze makijaż. Bywało, że wstawałam o 5, żeby go na spokojnie zrobić. Ostatnio zaczęłam czuć się OK bez makijażu. Jeśli nawet się maluję, to szybko. Korektor, rzęsy, brwi, maks. 20 minut. Kiedyś używałam podkładu, ale już tego nie robię.

T.: W poniedziałek co prawda mam na 8, ale nie zdążam, jestem dopiero na 8.50. Omijam w ten sposób co tydzień jedną lekcję, ale nauczyciel nie ma z tym problemu, inne osoby z mniejszych wsi też tak robią. Oczywiście są nauczyciele, którzy tego nie rozumieją. W inne dni jestem w szkole punktualnie.

Z.: Zasadniczo nie mam daleko szkoły, bo tylko autobus i metro. W szkole jestem 10 minut przed czasem.

T.: Pierwszy posiłek jem w szkole, około 10-11 kupuję w sklepiku jakąś kanapkę. W szkole jest też stolówka, ale nigdy tam nie jadłem. Na kanapce wytrzymuję do 16, aż wrócę do domu i zjem obiad u cioci.

Z.: Jeśli udało mi się przed wyjściem zrobić sobie drugie śniadanie do szkoły, to jem je na długiej przerwie, ok. 11-12. Ostatnio w poniedziałek zrobiłam sobie tortil-

lę z ogórkiem, sałatą i serkiem halloumi. W trzeciej klasie miałam fazę na owsianki z nutellą i owocami, to mnie zapychało na cały dzień.

## Szkoła.

Z.: Chodzę do dobrej, publicznej szkoły. To nie był mój pierwszy wybór co prawda. Na pierwszym miejscu był Czacki, tam się oczywiście nie dostałam. Tu spodobał mi się profil, nietypowy, z rozszerzonym WOS-em i matematyką. Bardziej mnie ten WOS interesuje. Zawsze chciałam pójść na socjologię albo psychologię.

T.: Wybrałem tę szkołę, bo dostałem informację, że dobrze tu uczą na technika informatyka. Na ten profil się co prawda nie dostałem, ale dostałem się na inny: technik energetyk. Czytałem, że z takim wykształceniem można pracować na platformach wiertniczych, to byłoby dla mnie bardzo dobre rozwiązanie. Na dwa tygodnie jeździłbym na platformę, dwa tygodnie siedziałbym w domu. Słyszałem od wujka, że można te platformy zmieniać i przy okazji zwiedzić kawałek świata. Tak bym chciał zrobić. Popracować trochę na platformach, odłożyć pieniądze, dopiero potem osiąść w Polsce, założyć rodzinę i pracować np. w elektrowni.

Z.: Co do studiów, jeszcze ostateczna decyzja nie zapadła. Chciałam jechać za granicę, ale też nie wiem jeszcze, dokąd i na co. Poszłam rok wcześniej do szkoły, rodzice mówią, że mam jeszcze czas na decyzję. Na razie chcę pójść na rok na jakieś studia w Polsce, zobaczyć, czy mi się to spodoba, najwyżej wyjechać na Erasmusa.

Zosia przyznaje, trochę się tego wstydząc, że wyjechać na studia za granicę chciałaby w towarzystwie kogoś znajomego, boi się jechać sama.

Z.: Mam troje znajomych, którzy jadą do Holandii. Jedna koleżanka złożyła już papiery, dostała się. Wiem, że tam jest bardzo ciężko o pracę, mieszkania są w kolosalnych cenach, dlatego próbowałam ich przekonać, że to może nie jest dobry kierunek, ale oni się strasznie na to stawili. Jedna koleżanka jedzie, bo ma tam chłopaka, druga – bo chce iść na konkretny uniwersytet, trzeci kolega to w sumie nie wiem nawet po co. Ja raczej myślałam o Pradze, byłam tam z mamą turystycznie i bardzo mi się spodobało. Fajne miasto, takie na luzie, każdy miły, w kawiarniach zniżki dla studentów, kawa za 2 euro.

Ostateczną decyzję podejmę po naradzie z rodzicami. Usiądziemy we troje i coś wybierzemy.

Tomek do tej pory nie wyjeżdżał jeszcze nigdy za granicę, ale jest przekonany, że pracując na platformie wiertniczej z dala od Polski i bliskich, dałby sobie radę.

T.: Raczej nikt z mojej klasy by w tę stronę co ja zawodowo nie szedł. Pójdą w elektrykę typu oświetlenie w domu. Pozostali znajomi, ci z rodzinnej miejscowości, w większości będą przejmowali coś po rodzicach: firmę lub gospodarstwo. Co do mnie, to dopóki bym pracował na platformach, to w przerwach wracałbym do rodzinnego domu. A kiedy bym już stwierdził, że czas zakładać rodzinę, to ja-

kaś działkę bym kupił pod większym miastem, pod Siedlcami na przykład, i tam postawił dom.

Z miast większych od Siedlec Tomek był w Warszawie, Lublinie i Szczecinie. Do Warszawy jeździł z kolegami w wakacje na zakupy w Złotyach Tarasach. Na obrzeżach Warszawy jeszcze mógłby mieszkać, sam lub z dziewczyną, ale już jakby miał dzieci, to wołałby spokojniejszą okolicę.

Oprócz technikum, do którego chodzi, Tomek dostał się też do technikum w Sokolowie i do zawodówki w pobliżu rodzinnej wsi, ale mama przekonała go, że lepiej wybrać elektryka, zwłaszcza że miał na miejscu ciocię. W Sokolowie mieszkałby w „obskurnym internacie”, a do lokalnej zawodowce idzie się tylko po to, by „odbębnić szkołę”.

T.: Jestem bardzo zadowolony. Przedmioty mam takie jak w liceum i dodatkowo kierunkowe, o sieciach elektroenergetycznych i o przesyle energii i ciepła. Najlepsze są chyba zajęcia praktyczne w Pracowni Instalacji i Urządzeń do Przesyłania Energii Ciepłej.

### Korepetycje

Z.: Mój profil jest dosyć trudny, miałam problem ze zdawaniem do kolejnej klasy, mimo że do tej pory zawsze świetnie się uczyłam. Z egzaminu ósmoklasisty miałam 98 proc. z angielskiego, 87 proc. z matematyki, 76 proc. z polskiego. W podstawówce miałam same świadectwa z paskiem, dostawałam stypendia, a tutaj w drugiej klasie miałam problem ze zdaniem WOS-u i matematyki. Po prostu jest tutaj bardzo wysoki poziom.

Zosia przyznaje, że choć lubi ten przedmiot, to zaczęła na poważnie uczyć się WOS-u, dopiero gdy się zorientowała, że nie zaliczy semestru.

To jest niesamowite, jak się różni poziom w różnych szkołach. U mnie ocenę dopuszczającą, czyli dwójkę, dostaje się dopiero od 53 proc. Ja się po tych zagrożeniach, które miałam na semestr, podniosłam w nauce i teraz już na luzie miałam tróję z matmy i prawie czwórkę z WOS-u. Ale wiele osób nie dało rady. W mojej klasie zaczynaliśmy w grupie 32-34 osób, zostało 18. Reszta nie zniosła tej presji.

T.: W mojej szkole, żeby zaliczyć sprawdzian, trzeba dostać z niego powyżej 35 proc. Nie każdy daje radę. W pierwszej klasie było nas 31, teraz jest 23. Pięć osób odpadło, bo poziom był dla nich za wysoki, dwóm nie spodobał się kierunek, jedna przeszła do Szkoły w Chmurze. Sam się zastanawiałem nad zdalną nauką, ale nie mam zbyt dobrego internetu w domu i myślę, że to byłby głupi pomysł. Chociaż gdybym siedział w domu, to codziennie spotykałbym znajomych z rodzinnych stron, a z nimi najlepiej się czuję. Poza mną i jedną koleżanką, która też uczy się w Siedlcach, wszyscy zostali na miejscu.

Z.: Kiedy miałam te zagrożenia, zastanawiałam się z rodzicami nad zmianą szkoły na społeczną, czyli taką półprywatną. W końcu tego nie zrobiłam, bo okazało się, że musiałabym tam mocno nadgonić polski. No i do tej szkoły chodziła moja koleżanka i bardzo narzekała na atmosferę, podjęście do ucznia. Irytuje mnie, że w szkołach prywatnych tak łatwo mieć dobre oceny. Od innej koleżanki, która chodzi do takiej szkoły, wiem, że u niej dosłownie cała klasa ma pasek. Ze wszystkiego zdają na luzie, ściąganie to normalka.

Jeśli jest poniedziałek, Zosia po szkole melduje się online na korepetycjach z matematyki (dwie godziny – 160 zł). Jeśli wtorek – po zajęciach jedzie na kurs z polskiego, a jeśli czwartek – na kurs z WOS-u (oba na żywo, po trzy godziny każdy, w grupach ok. 25 osób – ok. 1600 zł za rok).

Z.: Z polskim problem jest taki, że w moim liceum nie jest dobrze nauczany. Mam nauczyciela, który jest bardzo miły, pocieszny, ale nie przerabia z nami tego, co jest w programie. To taki starszy pan, flegmatyczny. Ja go lubię, ale uważam, że on mnie nie przygotowuje do matury. Sprawdziłby się może, prowadząc retorykę. Zgło-

siłiśmy to nawet dyrekcji, ale bez efektów. Dziś na przykład 45 minut wałkowaliśmy, na której stronie podręcznika mamy sobie coś doczytać. Koleżanka, która siedzi z tyłu i robi notatki na iPadzie, całą lekcję sobie na nim grała. Nie dziwię się jej.

Korepetycje z matmy miałam już w drugiej klasie, a mimo to nie zdawałam sprawdzianów. Z korepetytorką na luzie robiłam zadania, ale na lekcji stres mnie zjadał. Rodzice rozmawiali nawet wtedy z panią o tym, ustalili, że jeśli problem będzie się powtarzać, przeniosą mnie do innej szkoły. W końcu jednak się nie przeniosłam, myślałam, że na dobre mi to wyszło.

Gdy pytam o nauczycieli z pasją, takich, którzy potrafią porwać uczniów jakimś tematem, Zosia chwilę się zastanawia, po czym kręci głową. W podstawówce, owszem, był jeden taki nauczyciel, od historii.

Z.: Nie mówię, że ci moi nauczyciele przychodzą do szkoły negatywnie nastawieni i źle uczą, ale to nie jest tak, żebym czuła z nimi jakieś połączenie, kiedy coś mi próbują wytłumaczyć, żebym mogła powiedzieć: „Ach, to tak! Teraz rozumiem!”. Nie mam takich nauczycieli.

Lekcją, która najbardziej mi się podobala w tym roku, był WOS, na którym dyskutowaliśmy o karze śmierci. Tego dnia przyszło mało osób i pani zorganizowała debatę, w której każdy miał się wypowiedzieć „za” i „przeciw”. Chodziło o to, żeby nie obierać jednej strony, ćwiczyć się w argumentacji. To była tylko jedna taka lekcja, ale była super.

Tomek ocenia, że nauczycieli z pasją ma w szkole kilku. Wśród nich prym wiodą: pan od fizyki, twórca kanału youtube’owego Wielki Fizyk, i „panowie od przedmiotów zawodowych”. Wielki Fizyk na YouTube pokazuje m.in. ciekły azot i opowiada o polskich naukowcach, którzy skropili go jako pierwsi.

I Zosia, i Tomek skarżą się na nauczycieli, którzy się na nich „uwzięli”. Zosia ma nauczycielkę, która tylko jej zwraca uwagę za gadanie na lekcji (choć inni gadają głośniej). Tomek wspomina panią z podstawówki, która w ósmej klasie codziennie sprawdzała jego prace domowe (choć innym sprawdzała tylko wyrzykowo).

### Relacje romantyczne

Oboje, gdy mają jakiś problem czy dylemat, w pierwszej kolejności radzą się swoich przyjaciół, dopiero później rodzin.

Z.: Wydaje mi się, że nie ma tematów, o których nie mogłabym porozmawiać z rodzicami. Ostatnio rozstałam się z chłopakiem, oboje mnie w tym wspierali. To dla mnie bardzo bolesny temat, bo mnie rzucił i całkiem nie wiem dlaczego. Chodziłiśmy ze sobą dziesięć miesięcy. Po tym zerwaniu pierwszy raz poszłam do psychologa, tak mnie to rozwalilo. Jestem z zasady optymistką, pełną energii i nawet teraz, choć strasznie dużo płaczę po tym zerwaniu, to kiedy idę do szkoły i przebywam z ludźmi, tego smutku po mnie nie widać. Robię dobrą minę do złej gry.

Tomek, gdy pytam go o jego relacje romantyczne, mówi, że jeszcze żadnych nie było. Gdyby miał chodzić na randki w Siedlcach, pewnie zabierałby dziewczynę do kina. W mieście są dwa: jedno w galerii handlowej, drugie wolnostojące.

Zosia chodziła ze swoim chłopakiem do kina, na kawę, odwiedzali się nawzajem w domach, czasem zostawali u siebie na noc. Rodzice wiedzieli o tym. Ona u niego tylko raz została na noc, on u niej wielokrotnie, jej mama była z tym ok. Poza szkołą widywali się zwykle 2-3 razy w tygodniu i w weekendy. Najwięcej czasu spędzili ze sobą w wakacje.

### Rap po szkole

T.: Przeważnie kończę o 15-15.45. Wracam do domu i zajmuję się dziećmi cioci. Jedno ma kilka miesięcy, drugie ponad rok. W dzieciństwie zajmowałem się młodszym bratem. Mała głównie śpi, ze starszą bawię się i pilnuję, żeby sobie nie przyszczytnęła palca czy nie walnęła głową w ścianę. Już chodzi, więc

trzeba bardziej uważać. Kiedy muszę wyjść gdzieś po szkole, to piszę cioci, że wrócę później. Zazwyczaj wracam do domu i ich pilnuję, żeby mogła iść na zakupy czy do lekarza.

Z.: Po szkole najchętniej wychodzę ze znajomymi. Przyjaźnimy się w siódemkę z dziewczynami z mojej klasy i równoległej. Od około dwóch lat wszystko robimy razem. Urządzałyśmy wspólną wigilię, u jednej koleżanki byłyśmy na ferie. Lubimy chodzić np. do Moyej Matchy przy pl. Zbawiciela, na ramen do Uki Uki. W Hallo-ween byłyśmy w Madonnie, mają tam naprawdę dobre jedzenie. Po rozstaniu złapałam się na tym, że wychodzę ze znajomymi prawie cały czas. Może to nie jest dobre w kwestii matury, ale bardzo poprawia mi nastrój. Dzisiaj umówiłam się z koleżanką, że będziemy w piątki po szkole jeździć do niej albo do kawiarni i wspólnie się uczyć. Mam wtedy większą motywację, niż jak siedzę sama, łatwiej mi się skupić.

T.: Jak jest tak zimno jak teraz, to jeśli gdzieś wychodzę po szkole ze znajomymi, to do galerii. Idziemy do Maka, na kebab, albo po prostu posiedzieć, po sklepach pochodzić. Niestety z osób ze szkoły, z którymi się przyjaźnię, tylko dwie mieszkają w Siedlcach. Z tymi, co dojeżdżają, mogę wyjść tylko wtedy, jak nam wypadnie jakaś lekcja. Najbliżej przyjaźnię się z koleżanką, którą znam już od podstawów-

## Chciałbym popracować trochę na platformach wiertniczych, odłożyć pieniądze, dopiero potem osiaść w Polsce, założyć rodzinę

ki. Ostatnio w galerii chodziliśmy szukać dla niej płaszcza na zimę. Kiedy jest ciepło, chodzimy nad zalew posiedzieć, posłuchać muzyki.

Z.: Strasznie dużo słucham muzyki. Aż czasem się zastanawiam, czy nie za dużo. Przeróżnej. Ogólnie jestem bardzo anty polski rap, ale jest jeden artysta, który mi się strasznie podoba, Kaz Bałagane. Chociaż ogólnie jestem bardziej fanką starszej muzyki, typu alternatywny rock.

Kaz Bałagane (fragment utworu „Po Szkole”, album „A nie mówiłem”, 10.2024):  
*Miałem dwie szkoły z obu stron mojego*

*bloku*  
*Do jednej parę kroków i do drugiej parę*  
*kroków*  
*Pordzewiały trzepak i garaże na rogu*  
*Słyszałem dzwonek w domu, niósł mi się*  
*na cały pokój*  
*Ta druga szkoła to liceum było, dalej jest*  
*Tam się nie dostałem, bo mi średnio poszedł*  
*test*

*Miałbym minutę do niej, co za pech*  
*Chociaż znałem tam woźnego, zagaądać nie*  
*grzech (ej)*  
*Kupiłem dobrą flachę, on lubił swoją pracę*  
*Powiedział, że lubi się z dyrą i przegada*  
*sprawę*

*Morda na klódkę, tylko dostałem radę*  
*Za tydzień dzwoni, mówi: „Udało się, Jacek”*  
*A ja pięć dni w tygodniu po tej szkole*  
*palę sort*  
*W domu nikt nie widzi, jestem skuty jak bąk*  
*Wszyscy chodzą palić pod mój blok.*

Zosia śmieje się, gdy pytam, czy pije alkohol, pali. Nie pije, niczego nie pali, nie bierze narkotyków. Tomkowi zdarzało się napić piwa, a raz nawet wódki, ale „z umiarem”. Nad zalewem często leci polski rap.

T.: Ostatnio mam fazę na rapera Vkie, ale nie wiem, czy jego twórczość jest odpowiednia, żeby ją zacytować. Dzieli się ze mną linkiem do kawalka duetu rape-

rów Vkie i Okekel, którego ostatnio słucha na zapętleniu.

Okekel i Vkie (fragmenty utworu „Rejon nie zamula”, 2024):  
*(...) Rejon już nie zamula, parę lat temu*  
*wleciałem za stery*

*Wyjechałem do stratosfery, jakie rapery?*  
*Ja jestem władcą litery*  
*Okekel to kuma, że trzeba pracować,*  
*nie liczyć na fart na loterii*  
*Nie czekaj na to, co los Ci zgotował, małolat,*  
*bo możesz go zmienić*  
*Nie mogą usnąć spokojnie, dopóki do końca*  
*nie załatwię spraw*

*Jak cocolino cherry, robi mnie ten bass*  
*Ty nie umiesz wykminić, jak zachować*  
*twarz (...).*

Jeśli nie je akurat na mieście ze znajomymi, Zosia przygotowuje sobie obiad w domu.

Z.: Mama zawsze późno wracała, czasem zostawiała mi coś do odgrzania, ale nie zawsze. Gotuję sobie obiady od pierwszej klasy liceum. Uwielbiam carbonarę z jajkiem i parmezanem. Czasem zrobię sałatkę, makaron z pesto, ostatnio usmażyłam lososia.

Zwracam uwagę na długie, hybrydowe paznokcie Zosi. Zapewnia, że nie przeszkadzają w gotowaniu. Robi je od roku-dwóch u Wietnamczyków („tanio, za 100 zł, ale ste-

rylnie, nie trzeba się bać”). Chodzi do nich co miesiąc, na paznokcie dostaje od mamy.

Czasami jak nie ma w domu składników, to z czegokolwiek robię ten obiad. Może to być np. pomidor z mozarellą czy jakimś jajkiem. To nie jest megadobry obiad, ale da się nim najeść.

Tomek zwykle przychodzi do cioci na gotowe. Jedzą wspólnie przy stole, barszcz czerwony z ziemniaczkami, kotlet, spaghetti. Kiedy ciocia jeszcze pracowała, zanim pojawiły się dzieci, Tomek robił czasem zapiekankę makaronową z serem albo frytki z mrożonki z kurczakiem.

Z.: Po szkole zdecydowanie wolę wyjść z domu. Nawet uczyć się wolę z kawiarni, w słuchawkach. To też wynika z takiej mojej obsesji, która zaczęła się w ósmej klasie, jeszcze w czasie COVID-a, że nie zaczęć się uczyć, póki nie będzie perfekcyjnie czysto. W ogóle strasznie dużo w moim pokoju sprzątam, codziennie odkurzam, i to mimo że Maks nie ma wstępu do mojego pokoju, więc nie chodzi o psią sierść.

Oprócz wychodzenia z psem i wynoszenia śmieci właściwie nie mam obowiązków w domu. Czasem włożę naczyńia do zmywarki, w sobotę jadę z mamą na targ, pomagam w zakupach.

T.: Oprócz tego, że zajmuje się córkami cioci, to oczywiście muszę utrzymywać czystość w moim pokoju, wkładam po sobie naczynia do zmywarki, raz w tygodniu odkurzam całe mieszkanie, ewentualnie zmywam podłogi, na zmianę z ciocią. Jak są porozwalane po mieszkaniu zabawki, zwykle też ja je sprzątam.

I Zosi, i Tomkowi w wolnym czasie zdarza się oglądać seriale w streamingach. Zosia wybiera komedie (np. „The Office”) i seriale dokumentalne, które pozwalają jej przygotować się do sprawdzianów z historii (np. o drugiej wojnie), Tomek wybiera raczej rozrywkę (np. „The Walking Dead”, „Top Boy”).

Choć do lektur oboje mają stosunek raczej niechętny i zwykle poprzestają na streszczeniach, Zosia w przeciwieństwie do Tomka czasem czyta dla przyjemności (ostatnio: „Buszującego w zbożu” Salingera, „Szkłany klosz” Plath, „Zrób mi jakąś krzywdę” Żulczyka).

I Zosia, i Tomek uprawiali kiedyś sporty, które zarzucili. Zosia jeździła konno („już nie mam czasu, poza tym to jest strasznie drogie”), Tomek grał w piłkę z kolegami z rodzinnych stron, mieli nawet drużynę, ale po roku większość się wykruszyła. Teraz chce zapisać się na sztuki walki i robić w domu brzuszki i pompki, żeby набrać lepszej sylwetki. Zosia ostatnio rządzić ćwiczy na siłowni. Kiedyś chodziła tam nawet 3-4 razy w tygodniu, teraz musi jej wystarczyć raz, na więcej nie ma siły.

#### Pieniądze

Z.: Kieszonkowe dostaję głównie od taty, 350 zł miesięcznie. Niby dużo, ale też mało, bo na mieście jest drogo. Dlatego, wychodząc z koleżankami, staram się nie zamawiać wiele. Rzadko się zdarza, żebym wzięła i coś do picia, i do jedzenia. Zawsze mam ze sobą bidon, nalewam sobie wody z kranu. Oszczędzam, żeby móc wychodzić jak najczęściej.

Czasem, jak poproszę, to dostaję też pieniądze od mamy, ale ostatnio daje mi je mniej chętnie, bo nie ma teraz pracy, szuka nowej od paru miesięcy. Mam problem z odłożeniem jakiegokolwiek kwoty, bo naprawdę drogo jest w Warszawie.

T.: Od rodziców dostaję średnio 500 zł miesięcznie kieszonkowego, drugie tyle dają cioci na mieszkanie i jedzenie dla mnie. Ja dostaję też jeszcze od cioci 150-200 zł za opiekę nad jej córkami. Jak się zmobilizuję, to potrafię w ciągu miesiąca odłożyć nawet 600 zł. Potem oddaję te pieniądze mamie, ona je chowa w domu do koperty. Nie wiem, ile tam jest dokładnie, ale na pewno starczy na kurs prawa jazdy, który zaczynam na trzy miesiące przed osiemnastką (3100 zł), i jeszcze zostanie nadwyżka.

Zbieram teraz na samochód, żeby rodzice nie musieli mi za dużo dokładać. Ostatnio kupiłem sobie perfumy, a tak to trzymam, nie wydaję. Kanapka w szkolnym sklepiku to 8 zł, jakieś picie w markecie. Jak kupię raz takie picie, to już do tej butelki dolewam wody z kranu. W Maku zwykle biorę Big Maca w zestawie, zimą Burger Drwała, każdy zestaw to ok. 30 zł. Ubrania kupuję przez internet, sam. Moje ulubione marki: Nike, Mowgler, Ralph Lauren, Trapstar. Takie no, gangsterskie w stylu.

Z.: Ja jestem średnio markowa. Jeśli już, to kupuję w Urban Outfitters [amerykańska marka, w Polsce ma tylko jeden sklep, w Elektrowni Powiśle], a tak to raczej w lumpeksach i na targu w Konstancinie, gdzie znajdujemy z mamą różne ciuchy vintage. Czasem też noszę rzeczy, które brałam mamie, nosimy je na zmianę.

#### Scrollowanie

Z.: Długo byłam przeciwna TikTokowi, zainstalowałam go dopiero w drugiej klasie. Teraz strasznie się wkręciłam, jak zaczęć scrollować, to trudno się oderwać. Niby wiem, że mam się uczyć, ale zaczynam coś oglądać i nagle zlatuje mi na tym godzina. Ustawiłam sobie w aplikacjach limity. Na TikToku i Instagramie łącznie mogę spędzić dziennie tylko cztery godziny, potem wyświetla się komunikat, że przekroczyłam czas. Mogę go zignorować, znam kod do tego, ale staram się tego nie robić. No, czasem to robię, jak np. wyjdę na siłownię i przeglądam w czasie ćwiczeń, bo wtedy czas szybciej mija. Tyle że potem jak wracam do domu, to dalej to oglądam, wpadam w takie błędne koło.

T.: Mam Facebooka, Instagrama, TikToka, używam ich, ale nie mam wrażeń, że jestem od nich uzależniony. Jak mam coś do zrobienia, to przestaję scrollować. Na Instagramie zwykle przeglądam zdjęcia celebrytów, klubów piłkarskich lub piłkarzy albo znajomych, jak coś wstawia. Z celebrytów to na pewno Bedoes, White2115, Malik Montana, Żabson. Na TikToku to zależy od algorytmu, co mi się wyświetli. Najczęściej

jakieś memy, śmieszne filmiki, samochody, ubrania w moim stylu.

Z.: To jest tak, że jak jadę do szkoły, to patrzę w telefon i tak mi mija 20 minut, potem w szkole na przerwie oglądamy z koleżankami na jednym telefonie różne rzeczy, potem wracam do domu i wieczorem znów scrolluję dla relaksu. No i najłatwiej mi tam znaleźć różne informacje, np. jak chcę wyjść do jakiejś restauracji, to znajduję ją na TikToku. O wyborach w Stanach dowiadywałam się z TikToka, śledziłam tam kampanię Kamali Harris, bardzo liczyłam, że wygra, choć po cichu spodziewałam się, że jednak nie da rady.

T.: Jeśli chodzi o wybory w Stanach, to nie wiem nawet, kto startował oprócz Trumpa jako ten drugi. Nie interesuję się jeszcze polityką. Wiem, że o wyborach i w ogóle o różnych rzeczach ze świata mówi na swoim kanale na YouTube Konopskyy, czasem go słucham, ale mnie bardziej ciekawiło np., jak opowiadał o Buddzie, tym, co go niedawno zawinęła policja. Podobno robił jakieś przekręty finansowe, ale robił też dużo dobrych rzeczy i moim zdaniem szkoda, że go zamknęli. Organizował loterie, w których rozdał ludziom milion złotych, na filmikach sprawdza, jak ktoś się opiekuje autem, które od niego dostał.

Gdy pytam, o największe życiowe marzenie, Tomek się zamyśla, po czym mówi, że chciałby być milionerem albo miliarde-

## Na razie chcę pójść na rok na jakieś studia w Polsce, zobaczyć, czy mi się to spodoba, najwyżej wyjechać na Erasmusa

rem. Zosia w swoim życiu marzeń nie musi mieć milionów, ale chciałaby móc pozwolić sobie na mieszkanie w kamienicy w Paryżu z przyjaciółką lub chłopakiem i wszystkie przyjemności, na które miałyby ochotę. Chciałaby też mieć „fajną pracę” i „super życie towarzyskie”.

Oboje mają już za sobą pierwsze, wakacyjne doświadczenia pracy zarobkowej. Zosia jako 15-latką pracowała w restauracji w Wilanowie jako kelnerka, Tomek pracował w olejarni i na fermie kur.

T.: W olejarni trzeba było zrywać francuskie etykiety z butelek i naklejać polskie. Ktoś zrobił błąd w zamówieniu, musieliśmy to naprawić. Na fermie byłem w grupie łapaczy. Miałem zakwasy po pierwszych dniach tej pracy takie, że nie mogłem chodzić, ale ogólnie to mi się podobało, mógłbym to robić dalej. Te kury nawet nie uciekały, po prostu sobie siedziały i się je łapało i wrzucało do kontenera. Kolega mnie do tej roboty wciągnął. W czwórkę zapelnialiśmy całego tira kurami w cztery godziny. Odłożyłem sobie wtedy sporo pieniędzy.

Z.: Nie pamiętam dokładnie, ile odłożyłam, ale nawet sporo.

#### Presja

I Zosia, i Tomek nie czują ze strony rodziców presji na wyniki w nauce. Zosia jest zdania, że największą presję wywiera na sobie sama przez porównywanie się do znajomych. Tomek czasem czuje za dużo presji ze strony cioci, której trzeba pomagać w domu i przy dzieciach, ale rozumie jej sytuację.

Z.: Słuchając znajomych, którzy mają już wybrane studia, czasem myślę, że może coś jest ze mną nie tak. Mama mnie uspokaja, że mam czas i bez sensu, żebym zdawała teraz te wszystkie dwujęzyczne egzaminy, skoro nie wiem, co dalej. Ale tak, stresuję się znajomymi i tym, że nie zasuwam aż

tak jak oni, np. sama nie przerabiam jeszcze arkuszy maturalnych z polskiego. Po szkole, odrobieniu prac domowych, nauce do sprawdzianów i jeszcze tych moich kursach nie mam już na to siły. Myślę, że po całym dniu tego harowania zasługuję, żeby po prostu usiąść do TikToka i się odprężyć.

T.: Najgorsze są poniedziałki. Muszę dojechać na lekcje do Siedlec i wracam serio zmęczony ze szkoły, a ciocia woła mnie najpierw, żebym jedną rzecz zrobił, a potem ledwo się położy na łóżku, woła znowu. Ale są też takie dni, że wychodzę i wracam dopiero np. o 20 albo jadę do babci, która mieszka trochę dalej. Albo kiedy serio jestem zmęczony, to mówię cioci, że idę spać, i ona to rozumie.

Z.: Najczęściej chodzę spać 22-22.30, czasami nawet po 23.

T.: Zwykle chodzę spać koło 23, czasem o północy, zależy, na którą mam na następny dzień do szkoły. Dziewczynki do 23.30 potrafią jeszcze nie spać. Staram się wtedy pobawić trochę z tą starszą, żeby ciocię odciążyć, np. kopujemy sobie piłkę. Jak już serio jest taka godzina, że muszę się czegoś pouczyć, bo następnego dnia mam sprawdzian, to kładę się na łóżku i ja sobie coś tam robię, a ona się wścieka na tym łóżku i mnie zaczepia.

Ogólnie to nie czuję się przytłoczony nauką. Myślę, że dam radę sam przygotować się do matury. Zawsze dobrze mi szła na-

uka, w podstawówce miałem same piątki i szóstki, egzamin ósmoklasisty też dobrze napisałem. Mieliśmy niedawno próbny egzamin zawodowy z mojego profilu, praktyczny napisałem na 100 proc., teoretyczny na 87 proc. Inni z praktycznego zwykle mieli ok. 50 proc., na granicy zdania.

Z.: Może ja z tym polskim przesadzam, pewnie dałabym radę sama się przygotować do podstawowej matury. Może to po prostu stres wywołany całą tą maturą i tym wszystkim, że chcę chodzić na kursy. Zresztą one są bardzo ciekawe.

#### Weekend

T.: Piątek to jest najlepszy dzień w tygodniu, bo wtedy wracam do swoich: do znajomych i rodziców. W Siedlcach też mam przyjaciół, ale ludzie, których mogę nazwać moimi braćmi, mieszkają w K. [miasteczko, w którym Tomek chodził do podstawówki, kilka kilometrów od jego rodzinnej wsi, ok. 2 tys. mieszkańców]. Przy nich czuję się najlepiej. W Siedlcach odliczam dni, żeby do nich wrócić.

Grupa przyjaciół, o której mówi Tomek, liczy 15 osób, z większością zna się od przedszkola.

Jeden kolega, który jest mi najbliższy, jak brat, wie, o której wracam, i czeka na mnie na przystanku w K. Odbiera mnie i gdzieś razem idziemy. Później dochodzą kolejni znajomi i siedzimy sobie już taką dużą ekipą. W K. można kupić latem lody, gofry, granity, ale zazwyczaj po lody idziemy do sklepu, wychodzi taniej i więcej. Jak jest zimno, a rodzice nie mają z tym problemu, to siedzimy w domu u kogoś z nas, jeśli mają, to idziemy na kebab albo do ogrzewanej altanki w ogrodzie jednego kolegi.

Piątką z nas chodzi Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej OSP, to też nas łączy. Zbiórka straży jest zazwyczaj w sobotę. Uczymy się, jakie są typy pożarów, powodzi, jak się ewakuować, co robić w kryzyso-

wej sytuacji. Latem przygotowujemy się do zawodów pożarniczych, symulujemy akcje ratownicze.

Z.: W weekendy czasem wychodzę ze znajomymi ze szkoły, czasem z przyjaciółkami jeszcze z podstawówki, czasem po prostu siedzę w domu. Co drugi weekend widzę się z tatą. Czasem nawet rządzię, ale mi to wystarczy, i tak mamy świetną relację. Ostatnio byliśmy w Elektrowni Powiśle, kupiliśmy tam sobie jakieś winyle, wypiliśmy kawkę i pojechaliśmy do taty posłuchać tych winyli i pogadać. Z tatą często też oglądam filmy, zwłaszcza science fiction i fantastykę. Zawsze dużo chodziliśmy razem do kina.

Zresztą z mamą też często oglądam filmy, a tydzień temu w weekend byliśmy na śniadaniu na mieście, jeszcze z jej chłopakiem, też w Elektrowni. W ogóle lepszych rodziców nie mogłabym sobie wymarzyć, naprawdę. Z mamą co prawda częściej się kłócę, ale mamy też lepszą więź, tak jakby była moją przyjaciółką i mamą w jednym.

T.: Z rodzicami w weekend zazwyczaj jem obiad, kolację, oglądam telewizję, poza tym większość czasu spędzam przy komputerze. Niedziela jest w sumie smutna, bo wtedy wujek, który jako jedyny w rodzinie ma prawo jazdy, nie może zawieźć mnie do K., a to jednak kawałek, 7 kilometrów. Jeżdżę tam rowerem, jak jest ciepło, a jak nie, to po prostu siedzę w domu. Wujek uprawia zboże na 15 ha. To ciężka praca, zwłaszcza że są też krowy, trzeba je doić. Pomaga mu babcią, czasem też ja, umiem jeździć ciągnikiem.

Jak tak siedzę w niedzielę w domu, to zwykle gram z kolegami na komputerze. Bywa, że i po osiem godzin jednego dnia. Aktualnie mamy fazę na „Farming Simulator”, czyli symulator farmy, rolnika. Grając, gadamy przez komunikator głosowy o grze i tak po prostu o życiu.

W grze jak w życiu: jak jest okres zbiorów zboża, to je kosimy, sprzedajemy, później rekultywujemy pole, zasiewamy od nowa i tak w kółko. To gra, w której się nie wygrywa, można grać non stop. Za zarobione pieniądze kupuje się lepsze maszyny i gra dalej. Gramy też w „Fortnite’a”, to taka strzelanka z budowaniem. Żeby nie dostawać strzałów od przeciwnika, trzeba się zabudować: postawić ściany, dach, można też zrobić schody, podłogę.

Z.: W przyszłym tygodniu w weekend moja koleżanka z klasy robi osiemnastkę. To będzie taka weselna impreza na 100 osób. Kazała nam się wystroić. Urządza to pod Warszawą w wynajętym lokalu.

I Zosia, i Tomek planują już osiemnastki. Tomek zaprosi znajomych i rodzinę, 78 osób. Będą świętować w remizie strażackiej w jego wsi. Zosia urządzi imprezę wspólnie z trzema przyjaciółkami z podstawówki w wynajętym lokalu w Warszawie, zaproszą razem 100 osób.

Gdy już będzie pełnoletni, Tomek zamierza zorganizować sobie z dwoma trzema kolegami zagraniczne wakacje. Najchętniej latem wybraliby się do Hiszpanii lub do Włoch, zimą do Norwegii lub Japonii.

Zosia, gdy tylko zda maturę, zacznie kurs na prawo jazdy, zamierza też wyjechać ze znajomymi do Grecji czy Chorwacji „odreagować”.

#### Dorosłość

Zapytani, czym jest dla nich dorosłość, Zosia i Tomek mówią przede wszystkim o niezależności od rodziców. „Naprawdę dorosłym” jest się wtedy, gdy „samemu opłaca się swoje rachunki i przyjemności” (Tomek), gdy „żyje się życiem oddzielnym od rodziców” (Zosia). Zosia mówi jeszcze o życiu „z poczuciem odpowiedzialności”, takim w którym „podejmuje się wybory i ponosi ich konsekwencje”.

Oboje spodziewają się, że ten stan osiągną w wieku 24-25 lat. Czego się boisz najbardziej? Pytam i ją i jego.

Tomek: Że nic w życiu nie osiągnę i będę biedny. To chyba mój jedyny taki lęk.

Zosia: Wydaje mi się, że brak przyszłości jest moim strachem, że nic nie osiągnę w życiu. ●

# Mikaela

## potrzebuje nart jak tlenu

**Nie efekciarski Alberto Tomba, nie żelazny Hermann Maier, nie szalony Bode Miller. Najlepszym alpejczykiem jest dziewczyna.**

Anna Kwiatkowska

**O**n wygrywał tak często, że światowa federacja narciarska zaczęła szukać sposobu, by mu to utrudnić. Bo zdaniem działaczy zrobiło się „nudno”. Jej kolejne rekordy FIS celebry, jak się tylko da – żeby podsycać zainteresowanie mediów i kibiców.

– Jestem pewien, że Mikaela Shiffrin będzie pierwszym, jeśli nie jedynym, alpejczykiem, który może w karierze zbierać ponad 100 pucharowych zwycięstw – prorokował w 2019 r. szwedzki mistrz Ingemar Stenmark. Gdy to mówił, rekord wygranych zawodów wynosił 86 i ciągle należał do niego. Ten rekord Mikaela Shiffrin pobiła w 2023 r. i właśnie zbliża się do przepowiadanej przez Szweda setki.

Ranking według liczby wygranych zawodów – to na pierwszy rzut oka idealny sposób, żeby wskazać alpejczyka wszech czasów. To prosta statystyka. Wygrał więcej razy – jest lepszy. Mniej – gorszy. Kropka.

Tylko czy to rzeczywiście takie oczywiste? W czasach Stenmarka rozgrywano w sezonie mniej zawodów niż dziś. Czyli co, Shiffrin ma łatwiej, bo dostaje więcej okazji? A może nie. Mniej zawodów, mniejsze zmęczenie, łatwiejsze wygrane. Też racja.

Można dalej szukać dziury w całym. Kiedyś konkurencji alpejskich było mniej, dziś jest więcej. Zmieniały się też zasady: w czasach Stenmarka w drugim przejeździe slalomu i giganta na początku jechała pierwsza piątka w odwrotnej kolejności. A potem dopiero reszta. Stenmark, jeśli w pierwszym przejeździe był pierwszy, w drugim jechał jako piąty. W tamtych czasach rzadko kiedy całe zawody wygrywał ktoś, kto na półmetku był dalej niż na miejscu piątym (choć jemu się to udało!). Dziś w drugim przejeździe najlepsi jadą na końcu. Czyli po najgorszej trasie. Więc ci słabsi mają większe szanse, żeby się poprawić. Przypadek, że ostatni zakwalifikowany do drugiego przejazdu zawodnik wygrywa – już był. To co, może Shiffrin ma trudniej, bo każdy może jej podskoczyć?

A żeby jeszcze skomplikować temat: w czasach Stenmarka rozgrywano, choć z rzadka, slalomy równoległe. Szwed wygrał trzy z nich, ale akurat w tych sezonach, gdy te wygrane nie liczyły się w klasyfikacji indywidualnej – brane były pod uwagę tylko w rankingu reprezentacji krajów. Gdyby Szwed ścigał się dziś, wygranych zawodów PŚ miałby 89.

I Stenmark, i Shiffrin sprawiają wrażenie, że rekordy nigdy nie robiły na nich wrażenia. – Nieważne, ile razy jeszcze wygra. Mikaela jest po prostu lepszą alpejką niż ja. Podziwiam, że jest dobra i w slalomie, i w zjeździe. Ja tak nie umiałem – lubi powtarzać Stenmark.

Ale Shiffrin też uważa, że nie numery są ważne. – Ważniejsze jest nazwisko. Ingemar Stenmark to legenda naszego sportu i cokolwiek jeszcze zrobię, nic tego nie zmieni – podkreśla. – To synonim ścigania się na nartach alpejskich. To nazwisko znają nawet ci, którzy o narciarstwie nie wiedzą nic. I żadne moje kolejne wygrane zawody tego nie zmieniają.

Ingemar Stenmark ścigał się w latach 70. i 80. Zanim się pojawił, Szwedzi pasjonowali się narciarstwem klasycznym. Bieganie na nartach to narodowy sport wszystkich Skandynawów, wielu z nich robi to od dziecka do późnej starości.

Ale mały Ingemar był skazany na narciarstwo alpejskie. Koło jego domu w Tärnaby były i górkę, i wyścig. Taki, który uruchamiała się samemu po wrzuceniu żetonu. Razem z kolegą spędzał tam całe dnie. – Raz jeździliśmy w puchu, raz po lodzie, raz po muldach. Nikt tego stoku nie przygotowywał – wspominał w wywiadzie dla magazynu „Åka Skidor”.

Przed Stenmarkiem Szwed stał na podium alpejskiego Pucharu Świata tylko raz, w pierwszym roku rozgrywania tych zawodów: 22 stycznia 1967 r. w slalomie w Kitzbühel drugi był Erik Bengt Grahn.

Stenmark startował tylko w gigantach i slalomach. Gdy rozgrywano te konkurencje, w Szwecji tłumy siedziały przy telewizorach lub radioodbiornikach, nawet jeśli wymagało to przerwania lekcji w szkole, zatrzymania taśmy w fabryce czy przerwy w obradach parlamentu. Stenmark z dnia na dzień stał się bohaterem narodowym, rozpoznawanym w sklepie, knajpie, taksówce. – Nie znośm tego. Nie mogłem się normalnie poruszać. Miałem wrażenie, że cały czas jestem pod obserwacją – wspominał w „Åka Skidor”.

Sukcesy nie przewróciły mu w głowie. Dziennikarze lubią cytować jego powiedzenie: „Im więcej trenuję, tym mam więcej szczęścia”. Szczęścia, bo jego zdaniem po prostu miał go zawsze więcej od rywali.

Dla alpejczyka Święty Graal, trofeum, dla którego harują latami od świtu do zmierzchu, to Kryształowa Kula. Choćby mała, ale najlepiej ta wielka.

Kryształowe Kule wręczane są od 1967 r. zwycięzcom cyklu zawodów Pucharu Świata. Wielką dostaje alpejczyk najbardziej wszechstronny, który wygry-

wa klasyfikację generalną. Nagrody pocieszenia to małe Kryształowe Kule – za wygranie poszczególnych konkurencji. Ale liczba konkurencji, rozegranych imprez, sposób punktacji zmieniały się na tyle często, że wskazanie największego alpejczyka wszech czasów na podstawie liczby Kul zależy od tego, kto i jak liczy.

Jedno jest pewne: jest tylko jeden alpejczyk, z powodu którego FIS zmienił zasady gry. To Ingemar Stenmark. Jego dominacja w slalomie i gigancie w drugiej połowie lat 70. była tak porażająca, że działacze uznali, że rywalizacja jest nudna, a konkurenci Szweda tracą motywację. I w sezonie 1977/78 uchwalili, że do końcowej kwalifikacji liczyć się mają tylko po trzy najlepsze wyniki z każdej konkurencji.

Gdyby Stenmark miał walczyć tylko o wielką Kulę, po trzech wygranych slalomach i gigantach powinien przestać się ścigać, bo reszta jego wyników i tak w klasyfikacji generalnej się nie liczyła. Wtedy jednak Szweda nie udało się zatrzymać i wywalczył trzecią – i jak się okazało ostatnią – wielką Kulę. Ale już w następnym sezonie mimo 13 wygranych zawodów w generalce był dopiero piąty. Nowe zasady – według których liczą się wszystkie wywalczone punkty – wprowadzono w roku 1992. Gdyby obowiązywały w czasach, gdy ścigał się Stenmark, wielkich kul miałby w dorobku sześć, a nie trzy.

Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że rekord wykrecony przez Szweda jest nie do pobicia. Kolejni wielcy, którzy jeździli po nim, nawet się do jego rekordu nie zbliżali. Słynny Alberto Tomba dobił do 50 wygranych, żelazny Hermann Maier – do 56. Szalony Bode Miller, może najbardziej znany alpejczyk, wygrał zawody PŚ zaledwie 33 razy. A alpejski geniusz Marcel Hirscher zakończył karierę z 67 wygranymi na koncie; wprawdzie w tym roku po pięciu latach emerytury zdjął narty ze ściany, ale na razie nie znosi się na to, że zdoła swój dorobek powiększyć.



## Ingemar Stenmark

- Szwecja, rocznik 1956: dwa olimpijskie złota, pięć tytułów mistrza świata, trzy wielkie Kryształowe Kule, 16 małych, 86 zwycięstw w Pucharze Świata.
- 17 grudnia 1974 r., slalom w Madonna di Campiglio. Ingemar Stenmark (wełniana czapka na głowie, proste narty, gdy stoi na podium, sterczą mu nad głową) startuje w zawodach rangi Pucharu Świata po raz dziewiąty. Trasa, technika, sprzęt – wszystko wygląda inaczej niż dziś. Slalo-

mowe tyczki to patyki z chorągiewkami. Omija się je całym ciałem jak dziś w gigancie. Na mecie, jak nie wyhamujesz, wpadasz w zasieki ze słomy.

Po pierwszym przejeździe 18-letni Stenmark jest 22. Na trasę drugiego rusza jako czwarty. A potem czeka i czeka na pogromcę. Taki się jednak nie znajduje i młody Szwed pierwszy raz w karierze (i jako pierwszy zawodnik ze Szwecji) wygrywa zawody Pucharu Świata.



- 19 lutego 1989 r., gigant w Aspen. 33-letni Stenmark wygrywa zawody PŚ po raz 86. I ostatni. Nadal ściga się bez kasku (ciągle jest wymagany tylko w zjazdach), jego narty mają ponad 2 metry. Jeszcze występuje w dwóch gigantach w Japonii i zakończy trwającą 16 lat karierę. Liczba 86 wydaje się tak wyśrubowana, że nikt nie wierzy, że ktoś może kiedyś być lepszy. Mikaeli Shiffrin nie ma wtedy jeszcze nawet na świecie. Urodzi się dopiero za sześć lat.

## Mikaela Shiffrin

- USA, rocznik 1995: dwa olimpijskie złote medale, siedem tytułów mistrzyni świata, pięć wielkich Kryształowych Kul, 11 małych, 99 zwycięstw w Pucharze Świata.
- 20 grudnia 2012 r., slalom w Åre. Choć ma dopiero 17 lat, to już jej 24. start w Pucharze Świata. Wygląda jak gladiatorka: kask z metalową osłoną chroniącą twarz, nagołenniki, gardy na kijkach. Amerykanka to pierwsze pokolenie alpejczyków, którym do głowy by nie przyszło ruszyć na trasę w wełnianej czapce czy opasce. Od czasów Stenmarka slalomowa technika też mocno się zmieniła. Uchyłne tyczki trzeba zbijać rękami, wracają jak sprężyny i mogą ci oddać.

Po pierwszym przejeździe jest druga. W drugim na metę (obstawioną specjalnymi materacami, nie słomą) wpada z najlepszym czasem. Po niej jedzie już tylko starsza o prawie dziesięć lat Szwedka Frida Hansdotter. Nie daje rady. – Coś mi mówi, że będzie tego więcej – ekscytuje się amerykański komentator. Ma na myśli wygrane Shiffrin.

• 11 marca 2023 r., slalom w Åre. Na ten dzień kibice, dziennikarze, FIS czekają od końca stycznia. We wszystkich zapowiedziach i relacjach na pierwszym miejscu pojawia się słowo „rekord”. Dzień wcześniej Shiffrin wygrała



gigant i wyrównała rekord Stenmarka. Teraz ma tylko postawić kropkę nad „i”.  
• Prowadzi już na półmetku, więc będzie kończyć zawody. Dokładnie wie, na co czeka tłum na dole.

Jedzie prawie bezbłędnie, raczej wie, że wygra. A i tak na mecie patrzy na wynik jakby z niedowierzaniem. Kuca i chowa twarz w dłoniach. Koniec odliczania. Odniosła właśnie 87. zwycięstwo. Za dwa dni będzie obchodzić 28. urodziny. To jeszcze nie koniec jej historii.

• **Uzbieranie 86 wygranych zajęło Stenmarkowi 170 miesięcy i dwa dni. Mikaela z pokonaniem go uwinęła się w 122 miesiące i 22 dni.**

Pierwszą alpejką, która jeszcze przed Shiffrin mogła pokonać rekord Szweda, była inna Amerykanka. Lindsey Vonn zaczęła Stenmarkowi deptać po piętach w sezonie 2015/16. Zakończyła go z 76 wygranymi na rachunku. Choć z powodu kolejnej kontuzji zakończyła sezon wcześniej, wygrała w nim aż dziewięć razy.

Gdyby zdrowie jej bardziej dopisywało, pewnie pobiliaby rekord Stenmarka. Ale cała kariera Vonn była naznaczona kontuzjami. Seryjnie zrywała więzadła, łamała kości, wyrywała barki.

Ostatnie, 82. zwycięstwo odniosła 14 marca 2018 r. w zjeździe w Åre. Miała 33 lata i zapowiadała, że wróci jesienią na ostatni sezon i spróbuje pokonać Szweda. Wystartowała w PŚ jeszcze trzy razy. Ani razu nie zbliżyła się nawet do podium. 1 lutego 2019 r. ogłosiła, że po mistrzostwach świata w Åre przechodzi na emeryturę. – Moje ciało mówi: stop. I muszę się go posłuchać – tłumaczyła. W tym roku mimo 40 lat postanowiła wrócić do ścigania. Co z tego wyjdzie – czas pokaże. Gdy kończyła karierę, młodsza o 11 lat koleżanka z reprezentacji miała w kolekcji już 60 zwycięstw. A Mikaela Shiffrin dopiero się rozkręcała.

Mikaelę i jej starszego brata Taylora rodzice postawili na nartach, gdy dzieci miały po dwa lata. A potem posłali do słynnej narciarskiej szkoły z internatem – Burke Mountain Academy w Vermont.

– Jej potrzeba ścigania się na nartach była jak potrzeba tlenu – wspomina na łamach „New Yorkera” Bug Pech, szkolna koleżanka Mikaeli. – Kiedy spadał świeży śnieg, wszyscy biegli pojeździć w puchu. A Mikaela? Ona szła ćwiczyć na stoku girlandy. Uwierzyć mi, nikt nie robi girland dla przyjemności.

Na pierwsze zawody Pucharu Świata do Europy pojechała w marcu 2011 r. 16 lat skończyła dopiero dwa dni po debiucie. Większość koleżanek z reprezentacji była od niej co najmniej o 10 lat starsza. Już w pierwszym pełnym sezonie wskoczyła na podium – w slalomie w Linz w grudniu 2011 r., w którym startowała z odległym 40. numerem (a im dalszy numer startowy, tym gorsza trasa). Wygrała po raz pierwszy rok później. A potem trudno ją było zatrzymać. W slalomie jej dominacja była z początku tak duża, że gdy stawiała w bramkach startowych, nie zastanawiano się nad tym, czy wygra, ale z jak dużą przewagą.

Z czasem zaczęła startować we wszystkich konkurencjach. I w każdej przynajmniej raz wygrać. W sezonie

• **Slalom w Gurgl, 23.11.2024 r. Mikaela Shiffrin wygrywa zawody Pucharu Świata po raz 99**

FOTANGELIKA WARMUTH/REUTERS, PAP/EPA/HANS T. DAHLSSKOG, REUTERS/ANGELIKA WARMUTH

2022/23 – tym, w którym pokonała Stenmarka – wygrała zawody PŚ 14 razy. Zakończyła go z 88 wygranymi na koncie, z piątą wielką Kryształową Kulą i siódmym złotem mistrzostw świata do kolekcji. Została – jako druga alpejka w historii – amerykańską sportsmenką roku, znalazła się w setce najbardziej wpływowych ludzi świata magazynu „Time”. I zaliczyła rajd po wszystkich liczących się w kraju programach telewizyjnych.

Ale pewnie dalej przeciętny Amerykanin nie wie, kim jest. Rzesze fanów ma za to w Europie. Jej fanklub jest na każdych zawodach najgłośniejszy i najbardziej widoczny.

Na początku ubiegłej zimy kibice byli pewni, że to już jest ten sezon, w którym Shiffrin dobije do magicznej liczby 100 wygranych. Ale Amerykanka rozkręcała się powoli: przegrywała tam, gdzie wydawała się faworytką, ale wygrywała, gdy niewielu na nią stawiało. Od stycznia – gdy miała krakę na trasie zjazdu w Cortinie d’Ampezzo – do zawodów w Åre w marcu pauzowała z powodu kontuzji kolana. Ostatni raz wygrała slalom na finałach w Saalbach. Licznik jej wygranych zatrzymał się na liczbie 97.

Ten sezon zaczęła zdrowa i co może ważniejsze – znowu szczęśliwa. Wiosną tego roku ogłosiła, że sączyła się z Aleksandrem Aamodtem Kildem, norweskim alpejczykiem.

Bo Shiffrin, choć mięśnie ma jak ze stali, nie jest twardzielką, po której wszystko splywa. Jedyne zalamanie jej kariery – w roku 2020 – spowodowane było rodzinną tragedią. 1 lutego tragicznie zginął jej ojciec. – Czulałam, jakby niewidzialny koc nakrywał mnie i cały mój świat. Wszystko było przyciemnione – wspominała w serialu dokumentalnym „Mikaela Shiffrin: Passion and Purpose”. Shiffrin jest bardzo żyłką z rodziną. Mama od zawsze towarzyszyła jej na zawodach. Do dziś jest jedną z jej trenerek. Tata dołączał do nich w najważniejszych momentach. Jego rolę Mikaela określała jako „guru logistyki”. Gdy tylko mógł, czekał na mecie z aparatem fotograficznym. „Tata zna mnie najlepiej. Dlatego najlepiej umiał uchwycić na zdjęciach moje emocje” – pisała na Instagramie.

Na najważniejsze zawody do Europy przylatuje zawsze jej brat Taylor, ostatnio już z żoną. Razem spędzają często wakacje.

W wywiadzie dla Olympics.com przeprowadzonym w czasie igrzysk w Paryżu Shiffrin napomknęła, że choć ma zamiar jeszcze pojeździć przez kilka sezonów, to myśli już o tym, co dalej. – Mam taki obrazek przed oczami: ja, Aleks, miłość i rodzina – mówiła. – Chciałabym stworzyć taki dom, jaki miałam, gdy dorastałam. To dla mnie bardzo ważne.

Trudno podejrzewać, że w październiku w gigancie otwierającym ten sezon w Sölden Shiffrin przegrała celowo (prowadziła po pierwszym przejeździe, ale zawody zakończyła na miejscu piątym), ale dzięki temu tak się wszystko poukładało, że historyczna setka może jej wybić w czasie zawodów w jej ojczyźnie. Bo po Sölden wszystko już poszło zgodnie z planem. W Levi, gdzie wygrywała już slalom siedem razy, sięgnęła dwa tygodnie temu po wygraną numer 98. Tydzień temu w Gurgl znowu sprawiała wrażenie, jakby w slalomie nic nie było jej w stanie wybić z rytmu.

Przed tym sezonem pytana ciągle o zbliżającą się setkę Shiffrin odpowiadała cierpliwie, że „nie widzi swojej kariery przez pryzmat cyfr”. Ale przyciśnięta przez dziennikarza Olympics.com przyznała, że jednak perspektywa „tych trzech cyferek” miesza jej w głowie: – OK, jak tak popatrzę na to z boku, co oznacza dla sportu, dla zawodnika taka perspektywa 100 wygranych... to myślę, że to, że sportowiec wygrywa 100 razy, jest... całkiem fajne.

W ten weekend alpejki startują w Killington. To ośrodek w Vermont, 1,5 godziny drogi od Burke Mountain Academy, w której spędziła dzieciństwo. W sobotę – gigant, w niedzielę – slalom. Choć Shiffrin jest też doskonałą gigancistką, w tym ośrodku w tej konkurencji jeszcze nie wygrała. Za to z siedmiu slalomów, w których tu startowała, nie wygrała tylko jednego. – Staram się ignorować tę presję w sprawie setki. Jak się uda, będzie wspaniale, jak nie – płakać nie będę. Postaram się po prostu dobrze zaprezentować przed moją publicznością – mówiła przed odlotem z Europy.

Jeśli w ten weekend rzeczywiście dojedzie do setki, to zajmie jej to 143 miesiące i 11 lub 12 dni. Amerykanka jest ciągle młodsza niż Stenmark, gdy kończył karierę. 30 lat skończy dopiero w marcu. A w ostatnich latach w żeńskim Pucharze Świata karty rozdają alpejki doświadczone. ●

# • BEZ *kimchi* NIE MA ŻYCIA

**Koreańczycy nie pytają znajomych, kiedy się zobaczą.  
Pytają, kiedy razem zjedzą.**

Z **WIOLETĄ BŁAZUCKĄ**, AUTORKĄ VLOGA „PIEROGI Z KIMCHI” I KSIĄŻEK  
O KUCHNI KOREAŃSKIEJ ROZMAWIA **MAŁGORZATA MURASZKO**



**MAŁGORZATA MURASZKO: Pierogi z kimchi czy pierogi ruskie. Co wybierasz? WIOLETA BŁAZUCKA\*:** Pierogi z kimchi! Nazwa mojego kanału i tytuły książek zobowiązują, choć naprawdę bardzo lubię pierogi z kimchi i wszystkie inne koreańskie pierogi też. Mają wszystko, co powinny mieć idealne pierogi – bardzo cienkie ciasto i bogate w pyszne składniki wnętrze.

#### Rosół czy zupa urodzinowa?

– Chyba ani jedno, ani drugie. Nigdy nie byłam miłośniczką rosółu, jadłam go przez większość życia co niedzielę, a i tak się do niego nie przekonałam. Zupy urodzinowej, czyli koreańskiej zupy z wodorostów, też nigdy nie byłam wielką fanką. Na początku smakowała mi jak podgrzana woda z morza, po urodzeniu syna trochę bardziej się do niej przekonałam. W Korei taką zupę z wodorostów je się przez cały okres pobytu w szpitalu po porodzie, a czasem też przez cały połóg, ale nie na tyle, żeby ją lubić. Tu wybór jest trudniejszy, choć obie zupy jem dość często, bo mam w domu dwóch miłośników i rosółu i zupy urodzinowej.

#### Schabowy czy katsu?

– Tu wygrywa polski schabowy z ziemniakami i surówką. W Korei schabowe podaje się z ryżem i sporą ilością poszatowanej i polanej często słodkim sosem kapusty, więc wygrana polskich schabowych jest tu oczywista.

Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Korei, na delegację, koledzy z pracy często zabierali mnie na katsu, bo wydawało im się to takim „zachodnim” jedzeniem, które na pewno będzie smakować komuś z zagranicy. Zawsze byłam mocno zawiedziona, bo chciałam spróbować prawdziwej koreańskiej kuchni, a nie, jak wtedy mi się wydawało, „podrabianych schabowych”.

#### Czyli w sumie mamy remis. Tęsknisz za polską kuchnią i domowymi smakami? Próbujesz kuchnię koreańską „polonizować”?

– Tęsknie za niektórymi potrawami mojej mamy, ale to bardziej dlatego, że robiła je dla mnie, a nie z tęsknoty za polskimi smakami. Czasami odtwarzam sobie w domu taki polski obiad, np. ziemniaczki, marchewka z groszkiem i mielone, ale nie łączę raczej polskiej i koreańskiej kuchni. Nie zagryzam koreańskich zup chlebem. Jak tak pomyślę, to nawet przy polskim obiedzie na naszym stole jest kimchi.

**Korea i kultura koreańska jest coraz popularniejsza, również w Polsce. Gdy**

**stał wyjeżdżałaś w 2017 r., kimchi dopiero robiło się u nas popularne. Teraz jest już powszechnie znane i dostępne. Skąd u ciebie fascynacja tym krajem?**

– Już wtedy wiele osób było zafascynowanych koreańską muzyką i kulturą. Większość osób zaczyna przygodę z Koreą od muzyki, ale ja zaczęłam od języka. A dokładnie – od koreańskiego serialu „Cesarzowa Ki”, który leciał w telewizji polskiej. Spodobał mi się w nim właśnie język, który pięknie dla mnie brzmiał i postanowiłam, że będę się go uczyć.

#### Czy przyszło to łatwo?

– Łatwiej niż mogłoby się wydawać, bo azjatyckie języki kojarzą się zwykle z niesamowitą ilością znaków do opanowania, tonami i skomplikowaną gramatyką. Na szczęście język koreański taki nie jest. Alfabet koreański jest prostszy niż alfabet łaciński. W języku koreańskim nie ma tonów i choć gramatyka jest dość skomplikowana dla kogoś, kto mówi po polsku, myślę, że ten język jest całkiem przyjazny. Oczywiście to nie znaczy, że opanowałam go perfekcyjnie, cały czas się uczę, ale po kilku latach w Korei byłam w stanie swobodnie korzystać z tego języka w codziennym życiu.

#### Jak wygląda życie Polki w Korei?

– Nie mogę odpowiadać za wszystkie Polki, nie ma ich zbyt wiele w Korei, choć społeczność polska dość szybko rośnie. Moje życie wygląda dobrze. Jestem tutaj szczęśliwa.

#### Jak na początku odbierałaś Koreę i panujące w nim zwyczaje?

– Od początku byłam bardzo pozytywnie nastawiona, wszystko mi się podobało i od razu poczułam, że mogłabym tu zamieszkać. Podobało mi się jak nowoczesna jest Korea i ile jest w niej rozwiązań ułatwiających życie: w mieście, komunikacji miejskiej czy w restauracjach. Wszystko zrobione jest tak, żeby było łatwo. Tak samo jest z obsługą, wszędzie, nawet w urzędach, ludzie są bardzo mili, nie spotkamy się z uszczypliwym komentarzem czy skwaszoną miną.

#### Vlogi na kanale Pierogi z Kimchi nagrywałaś dla swojej rodziny w Polsce, żeby wiedzieli, co u ciebie słychać. Dziś jesteś vlogerką, autorką książek kulinarnych, popularyzatorką kultury i kuchni koreańskiej. Czy wyjeżdżając z Polski zakładałaś, że zostaniesz w Korei i zapuścisz tu korzenie?

– Kiedy pierwszy raz wyjeżdżałam do Korei, w ogóle nie zakładałam, że będę tu mieszkać. Co prawda zawsze chciałam zamiesz-



kać choćby na chwilę w innym kraju, ale nie przypuszczałam, że będzie to możliwe.

W Korei jednak poznałam mojego męża i to sprawiło, że zdecydowałam, że tu zamieszkać. Nie była to trudna decyzja, bo od pierwszej chwili tutaj byłam zafascynowana tym krajem. I ta fascynacja nie ustaje.

Jeżeli chodzi o kanał i książki, to wyszło to przy okazji, nigdy nie planowałam, że będę się zajmować Youtubem. Zaczęłam to robić dla rodziców, chciałam im pokazać, jak się tu żyje i że jestem tu szczęśliwa. Pokochałam tę formę komunikacji.

**Według twojego męża Polacy są bardzo życzliwi, dbają o innych i mają dużo energii, zapalę. A jacy są Koreańczycy? Obcujesz z nimi na co dzień i uczysz ich języka polskiego.**

– Koreańczycy są bardzo pracowici, uprzejmi, mili, można też powiedzieć, że kulturalni, ale trzeba pamiętać, że dużo jest różnic kulturowych między Polską a Koreą i nie wszystko, co jest uważane za kulturalne zachowanie w Polsce, będzie też takie w Korei.

#### Jakie są to różnice?

– W Korei bardzo ważny jest wiek i związana z nim hierarchia, to czy ktoś jest od nas starszy czy młodszy, determinuje to, w jaki sposób będziemy się do niego zwracać i jak bardzo będziemy mu okazywać szacunek. Bywa, że ta hierarchia stwarza niepotrzebny z perspektywy Polaka dystans. Czasem ciężko się zaprzyjaźnić z osobami starszymi od nas tylko o rok, bo musimy zwracać się do nich bardziej formalnie, a tym samym jesteśmy przez nich traktowani jak młodsze rodzeństwo, któremu trzeba dawać przykład, pomagać. To powoduje, że już na początku znajomości ma się wobec siebie zobowiązania, które nie pomagają w budowaniu bliższych relacji.

#### Co w Korei i kulturze koreańskiej jest dla ciebie najbardziej niezwykle i zaskakujące?

– To, o czym już mówiłam, czyli jak wielkie znaczenie ma czyjś wiek. Koreańczycy też zwracają wielką uwagę na jedzenie. To, co jedzą i o której, jest dla nich bardzo ważne, trzymają się dość mocno pór posiłków. Najcięższa jest dla mnie pora obiadu, czy raczej lunchu, która często rozpoczyna się około 11:30, ja jeszcze myślę wtedy o śniadaniu, a Koreańczycy już wybierają obiad.

Samo jedzenie jest nieodzownym elementem każdego spotkania towarzyskiego, nie spotkałam się z sytuacją, żeby ktoś w Korei umówił się z kimś na spotkanie i nie zjadł wtedy posiłku. Nawet sposób umawiania się ze znajomymi kręci się wokół jedzenia. Koreańczycy zwykle pytają się siebie, „kiedy zjemy razem?”, a nie kiedy się zobaczymy.

#### Jako wielka fanka śniadań muszę o to zapytać: jak przyzwyczaiłaś się do tego, że w Korei śniadanie, obiad i kolacja wyglądają identycznie?

– Nie uważam, że wyglądają identycznie. Wspólnym mianownikiem może, choć nie musi, być ryż, ale w Korei mamy taką różnorodność przystawek, zup itd., że każdy posiłek może być zupełnie inny. Dla niektórych koreańskie śniadania mogą być zaskoczeniem. Zwykle je się wtedy ciepłe potrawy, ale mi to bardzo odpowiada. W Polsce też, często o 6 rano, odgrzewałam sobie ziemniaki i kotleta z poprzedniego dnia.



## \*Polka w Korei

• Wioleta Błazucka pochodzi ze Śląska i mieszka w Korei Południowej od 2017 r. Prowadzi na You Tube kanał „Pierogi z kimchi”, na którym opowiada o koreańskiej kuchni i codziennym życiu. Jest też autorką dwóch książek kucharskich: „Pierogi z kimchi. Koreańskie smaki dla każdego” oraz „Pierogi z kimchi. Kulinarna podróż po Korei”

• Wioleta przyjechała do Korei bo znalazła tu pracę, a potem wyszła za mąż i założyła rodzinę

FOT. MATERIAŁY WYDAWNICTWA ZNAK (3)

**Sama mówisz, że twój mąż jest wielkim kulinarnym patriotą. Gdyby nie jego miłość do koreańskiej kuchni to gotowałabyś w domu po koreańsku?**

– Na pewno! Najpierw polubiłam koreańską kuchnię, dopiero potem poznałam mojego męża. Bardzo dobrze czuję się, jedząc koreańskie potrawy. Zniknęły dolegliwości trawienne, z którymi miałam problemy w Polsce, nie boli mnie brzuch. Nawet jak przylatuję do Polski, to oprócz moich ulubionych dań przygotowanych przez moją mamę staram się gotować po koreańsku.

Zresztą w Korei ciężko jest gotować inaczej niż po koreańsku. Składniki do dań innych kuchni, w tym polskiej, jeśli już są dostępne, to są dość drogie i gotowanie w stylu zachodnim na co dzień jest bardzo trudne.

**Czy Koreańczycy są tak samo zafascynowani kuchnią europejską, jak my w Europie jesteście zafascynowani kuchnią azjatycką, w tym również koreańską?**

– Tak, widać to zainteresowanie. Niestety nie konkretnie kuchnią polską, ale kuchnią europejską czy zachodnią. Dotyczy to młodszej części Koreańczyków, starsze osoby trzymają się z dala od zachodnich kuchni, uważają je często za niezdrowe, a wręcz szkodliwe. Natomiast młodsze osoby potrafią stać w kilometrowej kolejce po bajgla ze słynnej piekarni w bajglami, która ma Londyn w nazwie.

**Pamiętasz dania kuchni koreańskiej, które jako pierwsze ugotowałaś i spróbowałaś? Poza katsu oczywiście.**

– Pierwsze koreańskie potrawy zaczęłam gotować w domu w Polsce, był to chyba kimbap. Ten zwykły, okrągły [ryż z dodatkami warzywnymi i rybnymi, zawinięte w główny nori] i trójkątny [kimbap w formie trójkątnej kanapki]. Oba bardzo mi smakowały. Potem podczas delegacji w Korei trzy razy dziennie jadłam koreańskie potrawy i tylko utwierdziłam się w przekonaniu, że Kocham tę kuchnię.

**Jak wyglądały twoje początki w koreańskiej kuchni? Czy mąż dawał Ci jakieś rady?**

– Mąż nie jest wirtuozem w kuchni, więc nie był najlepszym nauczycielem. Teściowa z kolei mieszka dość daleko i choć gotuje bardzo dobrze, to bardziej niż w kuchni spełnia się artystycznie. Ja sama wolę uczyć się sama, metodą prób i błędów dochodzić do tego, co mi się w kuchni podoba, więc też nie prosiłam znajomych o pomoc. Dochodziłam do wszystkiego sama. Oczywiście wspomagałam się przepisami z inter-

netu, starałam się odtwarzać potrawy jedzone na mieście i na szczęście całkiem dobrze mi to wychodziło.

Nie było trudno, bo koreańska kuchnia w ogóle jest dość prosta, nie ma tutaj skomplikowanych technik gotowania, wydaje mi się, że dużo łatwiej i szybciej gotuje się koreańskie potrawy niż polskie.

**O tej łatwości przekonujesz w swoich dwóch książkach. Od czego najlepiej zacząć kulinarną przygodę z Koreą?**

– Kuchnia koreańska zdecydowanie nie jest ani skomplikowana, ani trudna, a większość potraw można przygotować w dość krótkim czasie. Myślę, że przygodę z koreańską kuchnią warto zacząć tak jak ja od kimbapu. To pyszne i zdrowe danie, jego przygotowanie nie jest skomplikowane i jest też przy tym fajna zabawa. Na samym początku warto też spróbować kimchi, ale już przygotowanie go jest sporym przedsięwzięciem. Zanim się tego ktoś podejmie, warto sprawdzić, czy ten smak nam odpowiada.

**Robienie kimchi jest rytuałem, w którym udział biorą całe rodziny. Jak ważne jest to danie dla Korei?**

– Kimchi jest bardzo ważne, jego przygotowanie to rzeczywiście rytuał. Zwykle rodziny zbierają się jesienią i przygotowują kimchi, które będą jeść przez cały rok. A że kimchi jest jedzone jako dodatek do każdego posiłku, to robi się go bardzo dużo. Koreańczycy nie wyobrażają sobie życia bez kimchi i wcale im się nie dziwię, bo też już sobie go nie wyobrażam.

W Polsce kiszona kapusta to składnik kilku dań, ale możemy bez niej żyć, nie musimy jeść jej codziennie. Natomiast w Korei kimchi pojawia się na stole za każdym razem, kiedy się je. Jest Koreańczykom potrzebne do jedzenia prawie tak samo jak paleczki. Nie znam też nikogo w Korei, kto nie lubiłby kimchi, je się je tutaj od dziecka.

Kimchi to też bardzo różnorodna potrawa, ma bardzo wiele odmian i różni się smakiem i składnikami w zależności od regionu Korei.

**Kiszenie, umiłowanie zup i sympatia do pierogów. Jakie są podobieństwa i różnice między kuchnią polską a koreańską?**

– Myślę, że więcej jest różnic niż podobieństw. Koreańczycy uwielbiają ostre potrawy, ta kuchnia jest dużo bardziej pikantna niż polska. Nie używa się w niej wielu ziół, chyba jedyną sypką przyprawą jest koreańska ostra papryka gochugaru. W koreańskiej kuchni mało też używa się soli, choć nie oznacza to, że potrawy są jałowe. Bardziej niż solą doprawia się tu potrawy sosem sojowym. Poza tym w kuchni używa się dużo past, np. pasty na bazie fermentowanej soi, która dla osób przyzwyczajonych głównie do polskiej kuchni, może być na początku wyzwaniem smakowym. W wielu daniach można też zauważyć połączenie słodkich i słonych smaków, co nie jest tak częste w polskiej kuchni, gdzie dania są albo słodkie, albo słone.

**Wspominałaś, że zafascynowałaś się Koreą dzięki serialowi telewizyjnemu. Produkcyjne koreańskie są teraz na świecie bardzo popularne. Jak to przekłada się na popularność kuchni i kultury koreańskiej? „Squid Games” wypromowały ciasteczka dalgona.**

– Myślę, że bardziej niż telewizyjne produkcje to popularności koreańskiej kuchni przyczynia się internet i social media. Instagram jest pełen koreańskich twórców, którzy promują koreańską kuchnię. Rzeczywiście cukierki dalgona stały się sławne na całym świecie po „Squid Game”, ale to chyba jeden z najmniej smacznych koreańskich słodczy. Mam nadzieję, że do szerszej publiczności dotrą też smaczne koreańskie potrawy i desery, staram się do tego przyczyniać moimi dwiema książkami z koreańskimi przepisami. ●

Zdjęcia książki z "Pierogi z kimchi. Kulinarna podróż po Korei" (wyd. Znak Horyzont, 2024)

# Skwaszenie

**– Witaliśmy Polskę odrodzoną nie dźwięcznym śmiechem odrodzenia, lecz jakimś kwasem śledzienników i zgryźliwością ludzi o chorych żołądkach – mówił 100 lat temu Józef Piłsudski. Czy nauczyliśmy się uśmiechać?**



Michał Rusinek

My, Polacy, nie lubimy się uśmiechać. Zapewne nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale obserwujący nas obco-krajowcy, zwłaszcza Amerykanie, zwracają uwagę, że mijani na ulicy Polacy mają miny potencjalnych seryjnych morderców, Polki zaś – modelkę chodzących po wybiegu (które się raczej wtedy nie uśmiechają). Mark Wolters, znany amerykański edukator i promotor podróży, poświęcił cały program fenomenowi nieuśmiechających się Polaków (dodajmy dla porządku, że było to przed wyborami prezydenckimi, w których Amerykanie wybrali kogoś, kto robi nadęte miny, a odrzucili kandydatkę uśmiechniętą).

Jak rozumieć fenomen nieuśmiechających się Polaków? Warto cofnąć się do września 1924 roku. Wtedy to poproszono marszałka Józefa Piłsudskiego o nagranie głosu na płycie gramofonowej, wówczas technicznej nowince. Nagrał przemówienie o śmiechu. Mówił tak: „Śmiać się na zamówienie nie umiem, lecz powiem panom jedną uwagę z powodu śmiechu. Witaliśmy Polskę odrodzoną nie dźwięcznym śmiechem odrodzenia, lecz jakimś kwasem śledzienników i zgryźliwością ludzi o chorych żołądkach. Więc głosem z trąby błagam: matki i ojcowie, gdy sami śmiać się nie możecie, w kącie rzućcie instrumenty pedagogiczne, gdy wesół srebrny dzwonek śmiechu roześmianych buziaków dziecinnych w waszych domach się rozlega. Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia, gdy wy tego nie umiecie!”. Mamy więc tu opozycję „roześmianych buziaków” i „kwasu śledzienników”, przy czym ten kwas był wówczas w Polsce substancją dominującą. Trzeba przyznać, że jest nadal.

W 2019 roku Marcin Napiórkowski opublikował znakomitą książkę „Turbopatriotyzm”. Oprócz tytułowego, wprowadza też pojęcie przeciwstawne: softpatriotyzmu.

Softpatriota wykazuje zadowolenie, optymizm, ma aspiracje, wymyśla coś nowego, cechuje go kosmopolityzm i otwartość oraz „jawne pragnienie uznania przez »europejskiego innego«”. Turbopatriota (czyli patriota tradycyjny i dominujący) wykazuje niezadowolenie, pesymizm, czuje dumę i uważa przeszłość za źródło wartości, celebrytuje to, co stare, ma poczucie obłędzenia i czuje lęk przed wrogiem, cechuje go „jawne pragnienie wielkości i odrzucenie europejskich norm”.

Opozycję tę można przedstawić, odwołując się do Piłsudskiego, za pomocą substancji, których spożycie powoduje odmienną mimikę: słodczy i kwasu. Kwas i gorycz – jak pisze Napiórkowski – są integralną częścią turbopatriotyzmu: „niepodległość postrzegana przez pryzmat obseksji jest wartością nieustannie zagrożoną. Nigdy nie stanowi przedmiotu czystej afirmacji. Stąd kluczowa dla turbopatrioty

okazuje się figura wroga: odwiecznego, jak Niemiec, Rosjanin czy Żyd, ale też współczesnego, którym może stać się feministka, neomarksista, Ukrainiec, unijny biurokrata czy imigrant-terrorysta”. Taki patriota nie może się przecież uśmiechać. Co innego – softpatriota. Softpatriotyzm jest słodki. Celebrytuje radość, przez co „wyklucza tych, którzy mają »kwaśne miny«. Nie udało mu się stworzyć mitologii, bo „brakowało mu figury wroga. Dlatego w tej roli epizodycznie obsadzani byli przeciwnicy softpatriotycznego uśmiechu – ponuracy, ci, którzy zostali z tyłu”.

Piotr Stankiewicz rozpropagował pokrewne pojęcie „fajnopolaka”, powstałe w środowiskach prawicowych jako pogardliwe i protekcyjne. Fajnopolak nie jest prawdziwym Polakiem, bo ma problem z tradycyjną polskością: mieszkaniac dużego miasta, liberalny obyczajowo, przyswaja nowe, zachodnie trendy, czyli ktoś w rodzaju leminga, ale uśmiechniętego.

W kampanii Koalicji Obywatelskiej dużą rolę odgrywał uśmiech: głosowanie na KO było głosowaniem na „uśmiechniętą Polskę”. Określenie wydawało się wyłącznie pozytywne, a w każdym razie neutralne, ale – nie w Polsce, kraju śledzienników, gdzie szczególnie łatwo nadać mu znaczenie negatywne. Nie ma się zatem co dziwić, że przymiotnik „uśmiechnięty” stał się wśród krytyków obecnej władzy morderczą inwektywą. Fact-checkingowy serwis demagog.org.pl opublikował niedawno raport dotyczący dwóch prawicowych stacji telewizyjnych: TV Republika i wPolsce24. Pomijając częste porównania władzy Tuska do władzy stalinowskiej i czasów Bieruta, „więźniów politycznych” w postaci ks. Olszewskiego, niewielki procent zapraszanych polityczek i wielki udział ugrupowań prawicowych oraz kreowanie tematów o niewielkim związku z rzeczywistością, na uwagę zasługuje częstotliwość posługiwania się przymiotnikiem „uśmiechnięty”.

Jak czytamy w raporcie: „Przymiotnik »uśmiechnięta« jest w TV Republika niemal codziennie odmieniany przez wszystkie przypadki. Słyszymy o »uśmiechniętej władzy«, »uśmiechniętej Polsce Tuska i Bodnara« czy o »obozie uśmiechniętej Polski«. Tusk jest nazywany »szefem uśmiechniętej Polski«”. Określenie to ma znaczenie ironiczne, np. „w komentarzu do niepowodzeń rządu: »Polska miała stać się fajnym miejscem, gdzie wszyscy się uśmiechają«. Pojęcie jest używane okazjonalnie też w drugiej stacji: »Owszem [Barbara Nowacka] szeroko się uśmiecha i być może w uśmiechniętej Polsce to jedyna kompetencja«. Dla utrwalenia przekazu słyszymy w TV Republika, że koalicja rządząca posuwa się do »lamania prawa z uśmiechem«”.

Aby zrozumieć mechanizm zmiany znaczeniowej niewinnego z pozoru przymiotnika, nie trzeba jednak przywoływać Piłsudskiego, Napiórkowskiego i Stankiewicza. Intuicje zachodnich turystów dotyczące uśmiechania się Polaków nie tylko potwierdziło, ale i uprawdopodobniło niedawno Ministerstwo Cyfryzacji. Na stronie internetowej przedstawiono przykłady zdjęć akceptowanych w polskich dokumentach, np. dowodach osobistych. Pod przekreślonym zdjęciem uśmiechniętej kobiety widnieje podpis: „nienaturalny wyraz twarzy”. Także w wytycznych czytamy, że „zdjęcie przede wszystkim musi być aktualne i pokazywać całą twarz (...). Niedopuszczony jest nienaturalny wyraz twarzy (czyli np. uśmiech)”. Stan naturalny Polaka to skwaszenie. I jest to poświadczane urzędowo. ●

Grzegorz Przebinda\*

Proces utalentowanej poetki i obrończyni praw człowieka rozpoczął się w Moskwie 7 lipca 1970 r. przed południem i trwał bez przerwy do północy. Ostatecznie sąd postanowił, że Natalia Gorbaniewska w „stanie bezobjawowej niepoczytalności” popełniła czyny podпадаjące pod artykuły 190 i 191 kk Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i zostanie umieszczona w specjalnym szpitalu psychiatrycznym. Okresu trwania „leczenia” nie orzeczono.

Mijało już wtedy prawie dwa lata od słynnej na cały ówczesny świat demonstracji z 25 sierpnia 1968 r. na pl. Czerwonym w Moskwie. Ten publiczny protest w samym sercu ZSRR był zorganizowany w konspiracji przez ósemkę kobiet i mężczyzn - Rosjan i Żydów radzieckich - przeciw inwazji wojsk Układu Warszawskiego, w tym i naszych, peerelowskich, na Czechosłowację.

Ta z Alexandrem Dubčekiem na czele dążyła do częściowego choć wyzwolenia z „bratnich kleszczy” Breżniewa. Gorbaniewska przyszła na plac z trzymiesięcznym synem Oską w wózku. W 1970 r. zdążyła go ochrzcić na tydzień przed procesem, śledzona jeszcze pod cerkwią przez „dużych i brzuchatych”, jak potem pisała, kagiebiistów w wóldze.

W sierpniu 1968 r. Gorbaniewska dotarła pod Kreml z ukrytą pod materacykiem syna czechosłowacką chorągiewką i dwoma plakatami, z inskrypcją po czesku na jednym: „At’ žije svobodné a nezávislé Československo!”.

Demonstracja ośmiu wspaniałych, rozwijana w takt wybijających 12. w południe kremłowskich kurantów na Wieży Spasskiej, trwała góra dwie minuty. W jednej bowiem chwili szajka po cywilnemu - mężczyźni plus jedna kobieta - potargala plakaty demonstrantów i połamała z wściekłością chorągiewkę w rękę kruchej Gorbaniewskiej.

Wybili cztery zęby Wiktorowi Fajnbergowi, demonstrującemu w grupce filologowi angiście, historykowi sztuki i ślusarzowi w jednej osobie. Zarazem zachęcali do ataku zebranych widzów: „To wszystko gładź! Bij antysowietczyków!”.

Po następnych minutach podjechało auto, potem kolejne - najpierw zapakowali i wywieźli z placu siódmą demonstrantów, a potem osobną wołgą Gorbaniewską z dzieckiem, tyle że bez wózka. Zdążyła jeszcze odkręcić od wewnątrz szyby w aucie i krzyknąć: „Niech żyje wolna Czechosłowacja!”. Natychmiast oberwała po twarzy od towarzyszki na tylnym siedzeniu.

Już wieczorem tamtej słonecznej sierpniowej niedzieli rozeszła się po Moskwie wieść, że na placu demonstrowała „Czeszka z dzieckiem”. Tym bardziej że na dwóch kolejnych plakatach widniało: „Hariba okupantom” i „Łapy precz od CSRS” [Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej].

Jednak ci, co mówili „Czeszka”, nie wiedzieli pewnie, że Natasza przygotowała także drugi plakat, ten z napisem po rosyjsku, ale w kontekście wręcz arcy-polskim: „Za wolność waszą i naszą” (w takiej nie-tradycyjnej dla nas kolejności). Potem w „Dwunastej w południe” - przygotowanej przez nią pracownice samizdatowej, a wkrótce i wydanej za granicą (1970) dokumentalnej kronice o demonstracji i sądzie nad jej uczestnikami - objaśniała to tak:

„Dla mnie, od wielu lat zakochanej w Polsce, przez te dni szczególnie nie do zniesienia było to, że razem z naszymi wojskami na terytorium Czechosłowacji weszli także żołnierze Wojska Polskiego, żołnierze kraju, który przez tyle lat walczył o wolność i niezawisłość przeciwko wielkomocarstwowym ciemiężcom - przede wszystkim przeciwko Rosji. (...). »Za wolność waszą i naszą« - to hasło polskich powstańców, którzy walczyli o wyzwolenie swojej ojczyzny, i polskich emigrantów, ginących na całym świecie w imię wolności innych narodów. To hasło zeszlowiecznych rosyjskich demokratów, którzy zrozumieli, iż nie może być wolny naród, który gnębi inne narody” (przekład Anity Tyszkowskiej i Tadeusza Goska).

Sierpniowego najazdu na Czechosłowację dokonało w 1968 r. całe 500 tys. wielonarodowego komunistycznego wojska z: ZSRR, Polski (25 tys.), Bułgarii, NRD i Węgier. Gustaw Herling-Grudziński napisał wtedy tekst „Pół miliona żołnierzy przeciwko 2000 słów” nawiązujący do głośnego manifestu Ludvíka Vaculíka, który stał się manifestem Praskiej Wiosny.

## 11. rocznica śmierci Natalii Gorbaniewskiej

# Jak żołnierz, co się bił w Andersa armii

Z placu Czerwonego wywozili ich autami. Ją, z dzieckiem, osobno. Zdążyła jeszcze krzyknąć przez okno: „Niech żyje wolna Czechosłowacja!”. Dostała po twarzy

Piątką spośród ośmiu wspaniałych w Moskwie, którzy wyszli na plac w proteście przeciwko owym 500 tysiącom najeźdźców, zapłaciła za zuchwałość wieloletnim pobytem w łagrach. Byli to: lingwista (znawca niemieckiego) Konstantin Babicki (1929-93) i językoznawczyni (polonistka) Łarisa Bogoraz-Bruchman (1929-2004), poeta Wadim Delaunay (1947-83), elektryk i relegowany wcześniej student Władimir Driemługa (1940-2015), fizyk Paweł Litwinow (ur. w 1940 r.).

Do więzień psychiatrycznych zaś trafili znani nam już Fajnberg (1931-2023) i Gorbaniewska (1936-2013). Do dziś prócz Litwinowa żyje jeszcze w Ameryce i ta ósma uczestniczka demonstracji - Tatiana Bajewa. Miała w sierpniu 1968 r. dopiero 21 lat i była jeszcze studentką. Uniknęła szczęśliwie łagru po tym, jak w porozumieniu z innymi oznajmiła w śledztwie, że na pl. Czerwonym znalazła się przez zbieg okoliczności. Ale dodajmy, że w momencie kulminacyjnym kucnęła i wycierała chusteczką pokiereszowaną, ociekającą krwią twarz Fajnberga.

Gorbaniewska na swym odrębnym, najpóźniejszym ze wszystkich procesie fizycznie obecna nie była. Specjalny bowiem zespół „ekspertów” z moskiewskiego Instytutu Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego zawczasu ją „przebadał”, formułując „diagnozę”, że „cierpi na chroniczną chorobę umysłową – schizofrenię, i jako niepoczytalna wymaga skierowania na przymusowe leczenie w specjalnym szpitalu psychiatrycznym”.

W moskiewskim pseudosądzie znajdował się za to właśnie jako jeden z owych „ekspertów” mrocznej sławy prof. Łunc, o którym Władimir Bukowski (tak

samo jak Gorbaniewska dysydent i „wariat”) pisał w głośnej książce „I powraca wiatr...”: „Wszechmocny Łunc, który zapędził do domów wariatów z rozkazu KGB niejedną tysięcy zdrowych ludzi”.

Gorbaniewskiej broniła dzielnie i profesjonalnie adwokatka Sofia Kallistratowa, podnosząc, że postępowanie obwinionej - skądinąd poetki i tłumaczki - wymagałoby jednak dodatkowej kompleksowej ekspertyzy. Wszak jej oryginalne wiersze i przekłady z polskiego (głównie dwa tomy „Historii estetyki” Tatarkiewicza, już złożone w wydawnictwie!) o patologicznych zmianach osobowości bynajmniej nie świadczą.

Kallistratowa domagała się zarazem, aby do akt dołączyć spis wszystkich dotąd opublikowanych utworów Gorbaniewskiej wraz z opinią o jej twórczości sformułowaną na piśmie, na prośbę adwokatki, przez innego utalentowanego poetę - Borisa Słuckiego.

Sąd jednak konsekwentnie podobne postulaty obrony odrzucał, sędzia nie zgodził się nawet, by na salę rozpraw Gorbaniewską doprowadzić osobiście. Motywował to znowu „ekspertyzą” złotoustego Łunca: „Na prośbę przewodniczącego sądu ekspert ogłasza, że jego orzeczenie nie dopuszcza doprowadzenia psychicznie chorego człowieka do sali sądowej, ponieważ człowiek ów jest nie tylko obiektem procesu, ale i chorym, o którego winni zatroszczyć się lekarze”.

Gdy obrona domagała się uparcie odpowiedzi, jakie konkretne zmiany w osobowości przeszkadzały osobistemu uczestnictwu Gorbaniewskiej w procesie, niestropiony Łunc wydekłamał, że „jest to schizofrenia bezobjawowa” (!), która „przebiega z zachowaniem szczątkowych zdolności do pracy oraz wcześniejszego intelektualnego poziomu i nawyków”.

„Nawyki” owe zrodziły się u Natalii Gorbaniewskiej w Moskwie w bardzo wczesnym dzieciństwie, jeszcze przed napaścią nazistowskich Niemiec na ZSRR. Miała cztery lata, ale już potrafiła czytać, co jednak większej radości rodzinie nie sprawiało:

„Wszyscy straszili mamę (...). No bo gdy dziecko tak wczesnie czyta, to może zwariować - tak wtedy powszechnie sądzono. Odbierali mi te książki, a ja wyciągałam je z powrotem, chowałam się do szafy... Gdy jednak zaczęła się wojna, wszyscy machnęli ręką, a mama powiedziała: »Jak czyta, jeść nie woła...«”.

Mama Natalii Jewgienija pracowała w różnych bibliotekach, znała angielski, francuski i trochę niemieckiego. Sama Natasza opanowała w dzieciństwie



podstawy francuskiego, tak że po przybyciu do Paryża z Moskwy przez Wiedeń na początku 1976 r. nie miała większych kłopotów z językiem w przeciwieństwie do innych wygnańców, z Andriejem Siniawskim i Władimirem Maksimowem na czele.

Gdy miałem szczęście poznać ją osobiście w styczniu 1987 r. właśnie w Paryżu podczas nagrywania wywiadu dla krakowskiej podziemnej „Arki”, usłyszałem wspomnienie: „W 1978 albo 1977 r. przyjechał do Paryża Marek Edelman. Popatrzył na mnie i powiedział: »Gorbaniewska, to ty tak wyglądasz, a ja myślałem, żeś duża jak szafa!«. Jak miło - jestem właśnie taka, do szafy niepodobna...”.

Chciałbym to jednak zderzyć z wyznaniem, jakie Natasza poczyniła w nagrany rok-dwa przed śmiercią wywiadzie dla pisarki Linor Goralik. Wspominała tam, że do 1950 r. mieszkała z matką i bratem w moskiewskiej suterenie, właściwie w piwnicznej izbie: „Tylko część okien znajdowała się nad ziemią, daszek (...) ciągle przeciekał. (...) Brat i ja wtedy dorastaliśmy, a ponieważ siedzieliśmy cały czas po ciemku i w wilgoci, to dlatego jesteśmy teraz tacy nieduży”.

Dopiero w 1950 r. poznała mieszkanie z gazem i światłem, a jako 18-latką (1954) zaczęła czytać ze zrozumieniem Pasternaka, uwielbiała Majakowskiego i Błoka, lubiła Chlebnikowa, ceniła Zabołockiego, sięgała do wierszy odkrywanych dopiero w ZSRR przez dojrzewających dysydentów Gumilowa rozstrzelanego w 1921 r. przez bolszewików.

Mówiła jeszcze do Goralik: „Jako 18-latką czytałam Wilde’a, Prousta. Taka byłam »hop do przodu«. Proust w rosyjskich tłumaczeniach to było coś wspaniałego. Tutaj, na emigracji, poczułam, że nie potrafię czytać Prousta po francusku: nie czuję tego zachwytu, w jaki wprawiało mnie tłumaczenie” (przekład Ewangeliny Skalińskiej).

Zamiłowanie do prozy i poezji w języku ojczystym, francuskim, polskim i we wszystkich chyba językach słowiańskich przetrwało w Gorbaniewskiej do końca życia. W 1987 r. mówiła:

„W 1969 obchodzono jakiś miesiąc przyjaźni między PRL a ZSRR. Udało mi się wówczas kupić płytę Ewy Demarczyk. Od razu ją polubiłam, ale ponieważ w tym właśnie ’69 mnie posadzono, zaczęłam jej częściej słuchać dopiero później. (...) Wróciłam po odsiedzeniu dwóch lat z hakiem i od nowa zaczęłam słuchać tej płyty Demarczyk.

Książeczkę Baczyńskiego miałam od dawna. Cały czas kupowałam książeczki, była taka polska seria, nazywała się »Poeci polscy«, ty jej nie pamiętasz, byłeś jeszcze wtedy małym chłopczykiem. Ale na

Baczyńskiego jakoś uwagi od razu nie zwróciłam, lecz dopiero kiedy zaczęłam słuchać Demarczyk - »Deszczy« i tego, co się u niej nazywa »Wiersze Baczyńskiego«. Te doceniłam potem, ale »Deszcze«! Odnalazłam wiersz u Baczyńskiego. Szalenie chciałam przełożyć go tak, aby dał się zaśpiewać”.

Zrobiła to w 1973 r., ale już w 1962, uwiedziona historią i kulturą Polski, pisze przejmujący wiersz o żołnierzu z armii Andersa, choć o armii owej i generale niewiele jeszcze wtedy wiedziała. Jednak stworzyła utwór, który do dziś - szczególnie w przekładzie Józefa Łobodowskiego opublikowanym w „Kulturze” paryskiej w maju 1969 r. - czyta się jak swój:

„Jak żołnierz, co się bił w Andersa armii,/ jak ów żołnierz z bajki Andersena –/ cóż ja? Niewielka na me wiersze cena/ i kłamstwem moje słowo się nie karmi.

Nie dla odznaczeń na ten bój wychodzę,/ jam nie dowódca i nie szarża żadna –/ zwiadowca, który czołga się przez bagna,/ jakże samotny na niepewnej drodze! (...)

Ojczyzno moja!/ Lecz pilnuj sępy,/ bym się na polu boju znów nie zjawil,/ abym pozostał żdźbłem bezsilnej trawy,/ zawsze miazdżonej przez zbrojne zastępy”.

Już po uwolnieniu, ale jeszcze przed emigracją, w 1973 r., w kontekście powstania warszawskiego i owego najazdu wojsk proletariuszy na czeską Pragę pisała:

„To ja nie ocaliłam wtedy Pragi, a wcześniej Warszawy,/ nie odkupię swej winy – niegodnych synowie niegodni –/ dom mój pustym się stanie, progi zgnily i mury zmurszały,/ niech będzie przeklęty dom zła, dom grzechu, dom kłamstwa, dom zbrodni” (przeł. Adam Pomorski).

Już na początku lat 80. w Paryżu przetłumaczyła kongenialnie na rosyjski „Traktat poetycki” Miłosza z takim fragmentem: „Z przyprawą żartu, blażeństwa, satyry,/ Jeszcze się umie podobać poezja./ Jej znakomitość wtedy się docenia./ Ale te walki, gdzie stawką jest życie/ Toczy się w prozie. Nie zawsze tak było”.

Sama Gorbaniewska klasycznej prozy nie pisała, choć stale twierdziła, że jej artykuły - zarówno te literackie i polityczne w paryskiej „Russkiej Myśli” w latach 80., jak i wcześniejsze w obronie praw człowieka w moskiewskiej samizdatowej „Kronice Wydarzeń Bieżących”, a przede wszystkim dokumentalna książka „Dwunasta w południe” - pisane były jej własnym stylem.

• **Natalia Gorbaniewska, Warszawa, rok 2005**

FOT. ANNA Bedyńska  
/ AGENCJA WYBORCZA.PL



**\*Grzegorz Przebinda**

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. W 2023 r. ukazał się w Znaku jego dziennik pierwszego roku wojny Rosji przeciwko Ukrainie - „Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologiczna z Rosją”.

Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

A jako tłumaczka pokazała ów styl w prozie przede wszystkim wybornym przekładem „Innego świata” Herlinga opublikowanym w 1989 r. w Londynie, a po raz wtóry w Moskwie w 1991, w dogorywającym już ZSRR.

Z prozy tłumaczyła także m.in.: „Cmentarze” Marka Hłaski, „Cudowną melinę” Kazimierza Orłowsia, „Cyryl, gdzie jesteś?” i „Dziennik węgierski” Wiktor Woroszyńskiego, utwory Tadeusza Konwickiego, Jana Pawła II, ale i teksty polskich antyreżimowych publicystów i eseistów - Jerzego Giedroycia, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Józefa Mackiewicza, Jacka Kuronia, Adama Michnika, Ireny Lasoty, Kornela Morawieckiego, Zbigniewa Bujaka, Michała Komara, Stefana Bratkowskiego i Leszka Szarugi.

Ale i tak nade wszystko była poetką, jakby chciała dochować dozgonnej wierności innej jeszcze strofie z „Traktatu poetyckiego”: „Służą, nie trwają, romanse, traktaty./ Bo więcej waży jedna dobra strofa/ Niż ciężar wielu pracowitych stronici”.

Ja sam za najważniejszy w jej twórczości zawsze uważać będę wiersz z 23 grudnia 1981 r. powstały jako reakcja na stan wojenny u nas. Oto on w pełnej krasie w przekładzie Stanisława Barańczaka (poetka uważała go nawet za lepszy od oryginału):

„O Panie, Panie, noc i mgła/ na nich opadła./ O Panie, cóżes Ty nam dał/ prócz chrypnącego gardła,/ które skanduje »Wolna Polska!« –/ i ten krzyk słaby/ przez kordon chce jak kamień posłać/ w drzwi ambasady.

»Siostry i bracia!« – schryple słowa cichną i gasną./ Chyba Pan nazbyt umiłował/ ową nizinę płaską,/ chyba Pan nie ma dla nich innej/ formy kochania,/ prócz tego, co miał i dla Syna:/ ukrzyżowania”.

W połowie lat 60. w Ukrainie odezwało się głośno pokolenie młodych ludzi walczące - już w ostatnim okresie sprawowania władzy przez Chruszczowa i zaraz po jego upadku - o prawa człowieka i o autonomię dla Ukrainy, wtedy jeszcze rzecz jasna językową i kulturową.

W latach 1965-66 przeszła fala politycznych aresztowań, do łagrów trafiło kilkudziesięciu młodych Ukraińców. 4 września 1965 r. w kijowskim kinie Ukraina odbyła się premiera filmu „Cienie zapomnianych przodków” według powieści Mychajły Kociubynskiego, „huculskiej wersji historii o Romeo i Julii”, jak pisze dziś celnie historyk Jarosław Hrycak.

Tuż przed pokazem wystąpił młody krytyk literacki Iwan Dziuba i wspomniął o grupie aresztowanych właśnie w Ukrainie jego rówieśników. Gdy jednak rozpoczął wyczytywanie ich nazwisk, zawyła syrena strażacka. Pisz Hrycak:

„Wtedy Władysław Czornowil, młody dziennikarz, przekrzykując syrenę, zawołał: »Kto przeciwko tyranii, niech wstanie!«. Podniosła się jedna trzecia obecnych. Wyświetlono film. W przerwie projekcji Wasyl Stus, doktorant kijowskiego Instytutu Literatury, ponownie zwrócił się do oglądających: »Protestować powinni wszyscy: dziś łapią Ukraińców, jutro zaczną łapać Żydów, potem Rosjan«. Do protestujących przyłączył się reżyser Siergiej Paradżanow - Ormianin, który mieszkał w Kijowie” (przekład Katarzyny Kotyńskiej i Joanny Majewskiej-Grabowskiej).

Słowa Stusa okazały się prorocze: 8 i 12 września 1965 r. zostali kolejno aresztowani w Moskwie dwaj pisarze, rosyjscy Żydzi - Andriej Siniawski i Julij Daniel. W lutym następnego roku skazano ich w głośnym na cały świat procesie na siedem i pięć lat łagru.

Ich winą miało być to, że w latach 1959-65 publikowali swoje utwory na Zachodzie (na samym początku u Giedroycia w paryskim Instytucie Literackim, następnie, że po rosyjsku). W dodatku ukryci pod pseudonimami - Siniawski jako Abram Terc, Daniel jako Nikołaj Arżak. A warto dodać, że władza radziecka już wcześniej, jeszcze za późnego Chruszczowa, aresztowała w Moskwie i Leningradzie pisarzy i opozycjonistów, zupełnie nie bacząc na ich narodowość.

Byli to zatem Rosjanie, w tym i późniejszy nacjonaliści - jak Władimir Osipow (aresztowany w 1961 r.), rosyjscy Żydzi Aleksander Ginzburg i Eduard Kunzniecowa (w 1960 i 1961), Ukraińcy, wcześniej nawet w służbie w Armii Radzieckiej, jak generał Petro Hryhorenko, zdegradowany w 1964 r. do stopnia szeregowca i umieszczony w szpitalu psychiatrycznym w Leningradzie.

A nie zapominajmy i o bardzo młodym wówczas poecie Josifie Brodskim (ur. w 1940 r.), skazanym w lutym-marcu 1964 r. w Leningradzie za „pasożytnictwo” i trzymany na zesłaniu w obwodzie archangielskim przez 18 miesięcy. ●

**Dokończenie za tydzień**

## Dokument

## Cień Czapskiego i Katynia

**PEN Club musi sprzeciwić się aktywnie totalitaryzmowi. Inaczej stanie się klubem dziadersów**

**George Orwell\***  
**Arthur Koestler\*\***

## TO BARDZO WIARYGODNY CZŁOWIEK

**List George'a Orwella do Arthura Koestlera**

5 marca 1946 roku  
27B Canonbury Square  
Islington  
London N1  
Drogi Arthurze,  
to zabawne, że przysyłasz mi esej Czapskiego, dla którego od pewnego czasu szukam tłumacza i wydawcy. [Chodzi o „Wspomnienia starobielskie” Józefa Czapskiego - malarza, publicysty, współzałożyciela paryskiej „Kultury”, w latach 1939-41 więźnia łagrów sowieckich]. Warburg tego nie robi, bo jak mówi, tekst jest nieprzyzwoicie długi, posłałem go więc niedawno Anarchistom (Freedom Press). Nie wiem, co postanowili.

Widziałem się z Czapskim w Paryżu, zjedliśmy razem lunch. To bez wątpienia człowiek wiarygodny, a do tego niezwykły, choć nie wiem, czy jest w pisaniu tak dobry jak w malarstwie.

Czapski wspomniał mi o czymś, o czym nie wiem, czy ci mówiłem - nie pamiętam. Opowiedział mi o mizerii i cierpieniach, jakich zaznał w obozie koncentracyjnym, po czym wyraził się mniej więcej tak:

„W latach 1941 i 1942 Rosję na jakiś czas opanował głęboki defetyzm, bo de facto nie było jasne, czy Niemcy nie wygrają tej wojny. Wie pan, co ocaliło wtedy Rosję? Moim zdaniem zadziałała osobowość Stalina - kładę to na karb jego wielkości. Został w Moskwie, kiedy Niemcy niemal zdobyli miasto, swoją odwagą opanował sytuację”.

To dla mnie wystarczający dowód wiarygodności Czapskiego, zważywszy na to, co przeszedł.

Obiecałem mu, że w sprawie tego eseju zrobię, co tylko będę mógł. Jeśli ludzie z Freedom Press zawiodą, przychodzi mi do głowy Arthur Ballard, który przymierza się do wydawania eseistyki. Może to weźmie.

Czy mam ci zwrócić twoją kopię? Moją mają Anarchiści, a to dość cenna pozycja w moich zbiorach.

W „The Observer” pytają, czy nie napisałbyś dla nich paru komentarzy. Rozglądam się za kimś, kto przygotowywałby przegląd tygodnia, musi go pisać co tydzień ta sama osoba. Ja robiłem to co dwa tygodnie, ale z końcem kwietnia przestaję. Poza przeglądem tygodnia zamierzam szybko wystartować z komentarzami na 800 słów, zaraz po wstępniaku. Myślę, że za jedno i drugie dostałbyś niezłą stawkę.

Odwiedziłbym cię z wielką radością, ale wątpię, czy uda mi się wyrwać. Mam mnóstwo roboty z zamykaniem spraw, spakowaniem i wyekspediowaniem rzeczy, z wszelkimi innymi czynnościami - to niemal jak wyekwipowanie statku na arktyczną wyprawę. Uściśnij Mamaine.

Twój George

## PEN CLUB TO KARYKATURA

**List Arthura Koestlera do George'a Orwella**  
ok. 6 marca 1946 roku

Drogi George,  
zachowaj esej Czapskiego w swoich zbiorach, a jeśli zwrócą ci kopię, odeślij mi ją, proszę. Jeśli zawiodą twoje próby opublikowania tego eseju, daj mi znać, a zwrócę się do Petersa, który potrafi najlepiej wypromować i sprzedać trudne rzeczy. [Do wydania angielskiego przekładu „Wspomnień starobielskich” Czapskiego w końcu nie doszło].

Co do „Observera”, biję się z myślami. Nie chcę iść w dziennikarstwo, ale z drugiej strony jestem pochłonięty pracą nad książką o psychologii i mam poczucie, że popadam w profesorstwo, tracę kontakt z twarzą rzeczywistością.

Najlepiej byłoby, gdybyś poprosił ich, żeby przesłali mi płatną z góry ofertę na dwa komentarze miesięczne, jeśli im to odpowiada, a wtedy zobaczymy. Mówię o dwóch komentarzach miesięcznie, bo jeśli w ogóle, dla mnie miałyby to jakiś sens na zasadach pewnej regularności.

Jeszcze jedno. Długo rozmawiałem z Desmondem MacCarthym i Mar-

garet Storm Jameson [krytyk i eseista; pisarka]. Oboje mają poczucie, że PEN Club musi sprzeciwić się aktywnie totalitaryzmowi - tak jak sprzeciwił się nazizmowi - inaczej zamrze lub stanie się klubem dziadersów.

Bardzo chcieliby włączyć cię do zarządu i, jeśli okażesz pewne zainteresowanie, zrobić cię przewodniczącym (to pomysł Storm Jameson, nie mój).

Znam twoją niechęć do całej tej sprawy. Obecny PEN jest własną karykaturą, ale to marka z tradycją i gdyby udało się nam ożywić ją, uczynić organizacją walczącą, byłoby to warte zachodu. Daj mi znać, co o tym myślisz - jeśli na „tak”, powiem Margaret i oni zwrócą się do ciebie. ●  
przeł. Sergiusz Kowalski



FOT. BBC/WIKIPEDIA

## \*George Orwell

• 1903-50, angielski powieściopisarz i publicysta. Znany przede wszystkim jako autor „Folwarku zwierzęcego” i „Roku 1984”.



FOT. ERIC KOCH/ANEFO/NATIONAAL ARCHIEF

## \*\*Arthur Koestler

• 1905-83, angielski pisarz i dziennikarz. W młodości sympatyk komunizmu. Autor m.in. głośnej powieści „Ciemność w południe”, opisu losu ofiar procesów stalinowskich lat 30.

Listy za oryginalnym wydaniem „Dzieł wszystkich” Orwella. Tytuł i śródtytuły - „Wyborcza”.

## WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki\*

## Pułapka

*Błokowisko. Ośmio- i czteropiętrowe betonowce z epoki generała Jaruzelskiego. Za demokracji ocieplone i pomalowane, ale teraz już liszaje i raki wilgoci. Żłobek, sklepik, szkoła, wszędzie samochody, lasek z siecią tajemnych ścieżek usłanych butelkami, emeryci z psami, prostują wspomnieniom nogi, dziewczyny w kapturach i szerokich spodniach, chłopaki w kapturach i dresowych spodniach. Czasami zapłonie pojemnik na śmieci albo auto, młodziutki listonosz zawstydzi się swojej postury na widok sportsmenki w podkoszulku w khaki, mignie kolarz z workiem puszek na wątlých plecach, umrze staruszka zasmucając kotkę i torbę na kółkach, sąsiad wyciągnie z piwnicy wózek dla teścia inwalidy. Czasami przebiegnie na przystanek z komórką w ręce azjatycki człowiek w džinsach, swetrze i taniej kurtce, coś tam zaszepecze w obcym narzeczu, czarne ma włosy, nikomu się nie narzuca, haruje i ma już swój kebab.*

*Polska złota jesień. Słońce nie rezygnuje z manifestacji. W europejskiej telewizji pokazują film z akcji drona w Gazie. Ruiny blokowisk w Rafah, przed bombardowaniem były bardziej atrakcyjne niż osiedle, w którym mieszkam. Getto palestyńskie. Jak żydowskie w Warszawie za hitlerowskiej okupacji. Szczelnie otoczone murem przez zbrojnych Niemców. I przez obojętnych Polaków. Getto atakowane przez Izrael i świat całkowicie obojętny. Nienawiść plemienna i rasowa. Wzajemna zemsta. Szaleństwo narodowe i religijne, ten sam Bóg każe zabijać w imię tej samej ziemi obiecanej, która jest krwawą pułapką.*

*Dron węszy ruinę domu. Trzy fotele, biurko, okno w świetle gruzu. Pochylona sylwetka z kikutek ręki na poręczu. Białosina od pyłu. Dron się zbliża. Nieruchoma głowa zamaskowana chustą. Ranny człowiek widzi ruchy drona i rzuca z trudem kijem. Czółg dobija ruinę i palestyńskie widmo, potem święto: zabito lidera Hamasu, mózg ataku na Izrael jesienią 2023 roku. To Jahja Sinouar. Dwadzieścia lat w izraelskim więzieniu, nauka hebrajskiego, żeby przeniknąć syjonistyczną duszę i ją zdławić. Teraz mumia diabła albo święty narodowego oporu, islamski terrorysta albo palestyński męczennik. Jahija to po arabsku Jan Chrzciciel, Jahija to Johanan – Jahwe jest miłosierny. Prorok Izy czyli Jezusa. Tora i Koran – Jahwe i Allah, bogowie semicki z jednego namiotu na pustyni, ale nie świętyni. Kat staje się ofiarą, ofiara staje się katem – kto uświęcił pułapkę? Nie patrzę na wojownika Jahiję oczami wniebowziętego drona, ani Palestyńczyka czy Żyda. Patrzę na niego jak na polskiego powstańca, którego Niemcy rannego w piwnicy miasta dobili. Tak to czuję teraz atakowany bezwstydnym okrucieństwem świata. Kto mówi o zwycięstwie, kiedy ludzkości odebrano rozum?*

*Idę do kuchni podgrzać jarzynową zupę, stoję przy oknie, świadomy lokalnego pokoju i urody przyrody za szybą. Nic mnie nie boli poza ciałem świata, które się nie obroni. Kiedy widzę, jak osiedlowym chodnikiem podąża skocznie pięcioletnia istotka z warkoczykami i plastikową hulajnogą, a obok zamaszycie idzie i coś do niej miło mówi matka: kobieta w zielonej burce, z której wolna jest tylko brązowa twarz. Zielonkawa zakonnica innej religii, dziwna bogini z obcej planety. Pieszo dotarły z islamskiego Bangladeszu na katolicką Warmię? W jakiej intencji? Świat jest groźny ale i zaskakujący. Babie lato. Błokowisko. Odważna kobieta, boska niewolnica męskoosobowej religii. Czy jest świadoma zła i dobra mego kraju? Wybrała mniejsze zło, nikt nie będzie jej tropił dronem, ale... Dokąd kobieto, o której nic nie wiem, idziesz. Która nic nie wiesz o mnie. Ludzkość jest w nas bezbronna.*

OLSZTYN, 18-21 X 2024

**\*Kazimierz Brakoniecki** – ur. w 1952 r., poeta, pisarz, tłumacz, regionalista. Mieszka w Olsztynie. Członek PEN Clubu.



Hiszpański filozof do Adama Michnika

# Kiedy nam psują naszą wspólnotę

Sytuacja polityczna w Hiszpanii nie jest krzepiąca. Ale my, zwykli obywatele, się nie damy.

Fernando Savater\*

W 1968 r. narodziły się wolnościowe bunt młodzieży w różnych krajach Europy - we Francji, Hiszpanii, Niemczech, Włoszech, w Polsce, Czechosłowacji - i na innych kontynentach - w USA, Meksyku czy Japonii.

Ich tło społeczne i polityczne w różnych krajach było inne, ale o ile mnie pamięć nie myli, tylko Hiszpania, Polska i Czechosłowacja miały wspólny mianownik. Tu bowiem szło o walkę przeciw dyktaturze, podczas gdy gdzie indziej raczej o naprawę demokracji już trwałych, choćby bardzo wadliwych. To istotna różnica, mniej więcej taka jak między polowaniem na dzikie bestie w dżungli i w ogrodzie zoologicznym.

Dlatego śledziłem wydarzenia na wschodzie Europy ze szczególną sympatią i poruszeniem, choć przecież geograficznie i kulturalnie było mi bliższe to, co się działo owego Maja we Francji.

Wówczas i potem poznałem polskich buntowników: Leszka Kołakowskiego, Jacka Kuronia, Lecha Wałęsę. I Adama Michnika.

Przeglądałem się zwłaszcza temu ostatniemu i lata później miałem okazję go poznać już jako wybitnego dziennikarza i politycznego myśliciela w trakcie międzynarodowych konferencji dziennikarzy, które w San Sebastian organizował Miguel Ángel Aguilar.

Wiele się tymczasem działo: wybuchł związek zawodowy „Solidarność”, nastąpił koniec dyktatury komunistycznej i niełatwe przejście do demokracji, narodziny „Gazety Wyborczej”. We wszystkich tych wydarzeniach walny, a niekiedy decydujący udział miał Adam Michnik, niestrudzony dysydent, który za uparty sprzeciw zapłacił latami więzienia, ale zyskał szacunek wielu ludzi z mojego pokolenia jako mistrz i wzór. W 2022 r. doczekał się jak najbardziej zasłużonej Nagrody Książeczki Asturii w dziedzinie komunikacji i nauk humanistycznych.

Miałem wielkie szczęście poznać go osobiście, zyskać jego przyjaźń, uczyć się od niego. I, rzecz jasna, czytać, co pisze.

Właśnie ukazała się w Hiszpanii „Pochwała nieposłuszeństwa” (wyd. Ladera Norte), antologia jego esejów wybranych i przetłumaczonych przez Macieja Stasińskiego, jednego z jego najbliższych i wieloletnich współpracowników, a przy tym osobę po temu jak najwłaściwszą, bo łączącą biegłość w twórczości Michnika ze znajomością hiszpańskiej kultury politycznej, a więc świetnie zorientowaną, jakie kwestie mogą nas żywo interesować.

Jak na przykład rozważania Michnika, „antysowieckiego rusofila”, o politycznych dziejach Rosji od czasów Stalina do Putina, czy zwłaszcza jego uwagi o wojnie w Ukrainie albo poruszające pożegnanie Aleksieja Nawalnego, które antologię zamyka.

Ta książka to krótki kurs polityki stosowanej od połowy zeszłego stulecia po dzień dzisiejszy. Szczególnie wnikliwie oświeśla spory i konflikty oraz dążenia do demokracji w Europie Wschodniej. A jednocześnie jest to portret ducha szlachetnie wolnego oraz, jak trafnie mówi tytuł książki, nieposłusznego, jak Pan Bóg przykazał.

Po zakończeniu prezentacji książki w Madrycie Adam poprosił mnie, bym na-



• Mieszkańcy Walencji protestują przeciwko nieudolności władz w walce z powodzią, 9 listopada 2024 r. FOT. REUTERS/ EVA MANEZ

piisał szkic o obecnej sytuacji politycznej z myślą o czytelniku polskim i publikacji w „Wyborczej”. Oto moja próba spełnienia tej prośby.

Drogi Adamie, prosisz mnie, by polskim czytelnikom objaśnił dzisiejszą sytuację w Hiszpanii. Dla mnie i dla wielu innych to sytuacja bardzo poważna, zapewne najgorsza, od kiedy skończyła się dyktatura i rozpoczęła nasza nowa epoka demokratyczna.

Skąd taka surowa ocena, skoro obecny nasz rząd premiera Pedro Sáncheza lubi się podawać za socjaldemokrację uchodzącą dzisiaj za najmniej kontrowersyjną z idei na scenie publicznej. Żeby lepiej to zrozumieć, musimy się cofnąć o kilka dekad, do schyłku dyktatury frankistowskiej.

Trzeba pamiętać, że Franco umarł w łóżku, schorowany, wskutek dolegliwości wieku starczego; nie obalił go zbuntowany, demokratyczny lud. Państwo przekazał księciu (wkrótce królowi) Juanowi Carlosowi, o którego wychowanie osobiście zadbał.

Gmach dyktatury z jego hierarchiczną strukturą i aparatem bezpieczeństwa, choć sfatygowany i nadgryziony zębem czasu, był zasadniczo nienaruszony. Można się było więc spodziewać, że dojdzie do zderzenia tworzących reżim frankistów, zwłaszcza armii, z rozproszonymi grupami demokratów, którzy przez lata bezskutecznie walczyli w podziemiu przeciwko dyktaturze.

Dla wszystkich nas było jasne, że jeśli by Franco przeżył jeszcze dziesięć lat we względnie dobrym zdrowiu, niechybnie byłoby to kolejne dziesięć lat dyktatury, choć-

by nie wiem jak wstrząsająco brzmiało to dzisiaj.

Jak to się zatem stało, że transformacja demokratyczna nastąpiła tak płynnie i z niewielkimi tylko incydentami przemocy?

Otóż zarówno prawica, jak i lewica, komuniści i liberalowie, monarchiści i republikanie, katolicy i wolnomyśliciele roztropnie wyrzekli się swojej bezkompromisowości, prawa tak drogiego sercu moich rodaków. Krótko mówiąc, przejście do demokracji było możliwe, bo frankiści wyrzekli się samoobrony przy pomocy władzy, którą wciąż mieli, a antyfrankiści wyrzekli się żądzy odwetu mimo doznanych krzywd i cierpień.

Jedni i drudzy uznali za najważniejsze na nowo zwodować kraj na podobieństwo innych demokracji europejskich, miast ryzykować ustrój „a la cubana” (wielu postrzegało Fidela Castro jako „dobrą wersję” Franco), albo zaaplikować mu jeszcze jedną dawkę dyktatorskiego prawowego znieczulenia na podobieństwo greckich pułkowników.

Był to zaiste zdumiewający pokaz zbiorowego umiaru.

Ale każdy ziemski raj kryje swoje węże. W Hiszpanii pęłzał od XIX wieku gad poczęty jako powstanie karlistów przeciw centralistycznej modernizacji państwa pod postacią mieszaniny integralizmu katolickiego i regionalnego separatyzmu. Wykluczające nacjonalizmy baskijski i kataloński, dążące do zniszczenia hiszpańskiej wspólnoty nawet bardziej niż pielęgnujące własną odrębność, stały się najpoważniejszą przeszkodą dla demokratycznej transformacji.

Najgorszy był terror ETA, która zamordowała ponad 800 osób wszelkich zawodów i wszystkich warstw społecznych (z wyjątkiem księży), ścigała haracze od przedsiębiorców i prowokowała armię aż po pamiętny, choć szczęśliwie nieudany zamach stanu w lutym 1981 r.

Mimo to przemienność rządów partii socjalistycznej pod emblematycznym kierownictwem Felipe Gonzáleza i Partii Ludowej José Marii Aznara utrzymywała się w ramach reguł demokratycznej gry, mimo afer korupcyjnych i społecznych wzlotów i upadków właściwych każdej demokracji.

Wszystko to dobiegło kresu w 2004 r. wskutek potężnego islamistycznego zama-

chu terrorystycznego na pociągi na madryckiej stacji Atocha. Wstrząs nim wywołany, który rząd Aznara fatalnie rozegrał, wyniósł do władzy socjalistycznego premiera José Luisa Zapatero.

Ta złowieszcza postać uparła się odgrzebać ideologię rodem z wojny domowej w imię rzekomej „pamięci historycznej” i na nowo rozjrzeć stare rany, które pomagała zasklepić demokratyczna transformacja.

Naczelnym argumentem mającym uprawomocnić rządy lewicy stała się bezpardonowa walka przeciw prawicy, którą bałamutnie utożsamiała z frankizmem.

Ten nurt umocnił się wraz z dojściem do władzy, w drodze wotum nieufności wobec prawicowego rządu, socjalistycznego premiera Pedro Sáncheza, podejrzanego oportunisty, któremu z początku nie ufali sami socjaliści. Pod przewodnictwem Sáncheza socjaliści zanotowali najgorszy wynik wyborczy w historii, ale potrafił on go sobie powetować, sięgając po sojusz z niewielkimi partiami skrajnej lewicy oraz separatystami katalońskimi i baskijskimi, w tym ze spadkobiercami ETA z partii Bildu, którzy nigdy nie potępił zbrodni terrorystów.

Żeby sobie zaskarbić tak wątpliwą wartość poparcie, Sánchez poczynił na ich rzecz znaczne ustępstwa w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości i gospodarki, włącznie z dopuszczeniem do prześladowania języka hiszpańskiego w szkolnictwie.

Dzisiaj można rzec, że rządy w naszym kraju sprawują siły, które dążą do zniszczenia jego jedności, narzucenia mu komunizującego populizmu i ideologii woke. To samobójcze rozbijanie jedności i wspólnoty doprowadziło do katastrofalnej nieudolności władz w zarządzaniu klęską powodzi.

Pedro Sánchez skolonizował instytucje, obsadzając je ludźmi posłusznymi, choć o co najmniej wątpliwych kompetencjach (podobnie jak to teraz czyni Donald Trump w USA). Zawładnął audiowizualnymi mediami publicznymi, a popierają go także prasa i stacje żyjące z finansowego wsparcia rządu.

Wszelka opozycja wobec rządu jest określania jako faszyzm. Jawnym zamiarem rządzących dzisiaj w Hiszpanii jest nie dopuścić do przejęcia władzy przez prawicę.

Drogi Adamie, jak widzisz, obraz Hiszpanii nie jest krzepiący. Pedro Sánchez kłamie z rzeźkością górskiego wiatru. Jedyną figurą zasługującą na szacunek i uznanie jest król Filip VI, który jednak nie ma konstytucyjnej władzy pozwalającej na zarządzenie sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

Mimo to nie spoczniemy jako obywatele. Zachęta i światłem w ciemności będzie nam Twój przykład. Bo przyszłość zawsze stoi otworem. • przeł. mas  
Tytuł tekstu - „Wyborcza”.



FOT. PAP/ EPA/ULISES RUIZ BASURTO

\*Fernando Savater

• ur. w 1947 r., filozof, historyk idei, pisarz, demokrat i liberał.

FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



# Stałem się *ikoną* polaryzacji

Wiele osób uznało moje powołanie za decyzję polityczną. Jestem tym zaskoczony...

Z **MARCINEM NAPIÓRKOWSKIM**, DYREKTOREM MUZEUM HISTORII POLSKI,  
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

**WOJCIECH SZOT:** „Po co mu to było” – taki komentarz usłyszałem na temat pana decyzji o przyjęciu nominacji na dyrektora Muzeum Historii Polski. Zatem – po co?

**MARCIN NAPIÓRKOWSKI:** Odwróciłbym to pytanie – po co historyk kultury, semiotyk jest potrzeby temu muzeum? Na co mogę się przydać? Choć tu niekoniecznie jestem najlepszą osobą do udzielenia odpowiedzi.

Zarówno odwołanie Roberta Kostry, który od kilkunastu lat tworzył MHP, jak i pana nominacja, źle przyjęło wiele osób. Publikowaliśmy głosy krytyczne, m.in. byłego dyrektora Muzeum II Wojny Światowej prof. Pawła Machcewicza, prof. Tomasza Nałęcz. Prof. Maciej Janowski z PAN pisał, że „wymiana dyrektorów muzeów wraz ze zmianą rządu to standard dyktatur”. List do

premiera wysłała Rada MHP, w której zasiadają wybitni historycy.

– Wiele z tych wątpliwości podzielałem. Miałem mnóstwo rozterek, zanim zdecydowałem się przyjąć tę pracę. Ale rozdzieliłem dwie rzeczy: odwołanie Roberta Kostry i moją nominację. Te głosy były przeciw decyzji o odwołaniu, nie o powołaniu.

Nikt mnie nie pytał, czy odwoływać mojego poprzednika, nie uczestniczyłem w tym. Zadano mi inne pytanie – czy jestem skłonny wziąć odpowiedzialność za ten fragment rzeczywistości. Mogłem nadal siedzieć na uniwersyteckiej katedrze i z dystansu komentować, co można by zrobić lepiej. Robiłem to od dawna – jako akademik i publicysta. Dopiero teraz w pełni zdaję sobie sprawę z tego, jak wygodna to była pozycja.

Był pan trochę takim złotym chłopcem demokracji – współautor musicalu o „Solidarności”, autor

popularnych książek, a nawet – napisał złośliwiec – prorokiem „uśmiechniętej Polski”. Można na tym długo jechać.

– I nigdzie nie dojechać. A tak wylądowałem w miejscu, gdzie ktoś mówi: sprawdzam. W miejscu, w którym wszystkie idee dotyczące tego, jak budować przyszłość na mądrej refleksji nad przeszłością, jak wykorzystać naszą potrzebę pozytywnych opowieści, jak tworzyć coś, co łączy, a nie dzieli, mogą być przekute w praktykę.

Przyznaję, że początek nie jest łatwy. Całe życie zawodowe pisałem o tym, jak szkodliwa jest polaryzacja, a teraz dla wielu osób stałem się ikoną polaryzacji.

**Jak się pan z tym wszystkim czuje?**

– Wiele osób uznało decyzję o powołaniu mnie za polityczną. Jestem tym trochę zaskoczony, bo nie uważałem się nigdy za osobę o wyrazistych poglądach

politycznych. Chyba że uznać za takie poszukiwanie konsensusu i dialogu. Ale to akurat łączy mnie, a nie dzieli z poprzednikiem. Moim zdaniem interpreto-  
wanie tej zmiany w kategoriach politycznych nie jest też fair wobec niego. Robert Kostro nie był żadnym „PiS-owskim funkcjonariuszem”. Był człowiekiem od dawna w polityce nieaktywnym, który to muzeum prowadził od 18 lat, podczas rządów różnych opcji. Nie szukałbym więc tu polityki. Wierzę natomiast, że po tylu latach każda organizacja potrzebuje zmiany.

Muzeum urosło błyskawicznie z małej instytucji do olbrzymiego, złożonego mechanizmu. I pewne sposoby zarządzania, które były wypracowywane na początku, dzisiaj przestają się sprawdzać. Żeby iść do przodu, potrzebna jest zmiana.

Mój poprzednik – o czym się mało mówi – kiedy przed wyborami otwierał muzeum, był pod ogromną presją polityczną. Minister Piotr Gliński był dobrym duchem muzeum, bardzo mu sprzyjał, ale – jak to z dobrymi duchami bywa – takie pakti mają swoją cenę i dzisiaj musimy ją płacić. Wprowadzam więc w ścisłej współpracy z zespołem zmiany w zarzą-  
dzaniu i próbuję wybrnąć z pułapek, ale robię to, nie negując tego, co zbudował mój poprzednik, lecz kontynuując i rozwijając. Po mnie przyjdzie następca i doda coś od siebie. Bo nikt nie ma monopolu na dobre rozwiązywania.

W instytucjach kultury potrzebna jest mądra szta-  
feta, a nie wywracanie wszystkiego do góry nogami. Przez ostatnie dwa miesiące robiłem wszystko, żeby pokazać, jak to może wyglądać.

**Jakie sposoby działania czy myślenia po 18 latach się nie sprawdzają? I co to znaczy – płacić cenę za pakt z Glińskim?**

– O kwestiach dotyczących budowy nie mogę mówić. Trwają poufne mediacje z firmą Budimex. Jak rozu-  
miem, przed tym samym wyzwaniem stoją ministra kultury i dziedzictwa narodowego Hanna Wróblew-  
ska i jej współpracownicy. Stąd pewne elementy uzasadnienia powtarzanego przez ministerstwo mogą się na razie wydać mgliste.

Natomiast chciałbym wyraźnie podkreślić, że nic z tych rzeczy nie każe wątpić w uczciwość mojego poprzednika. Czytaliśmy ostatnio sporo o instytucjach kultury, w których działały się rzeczy absurdałne lub wręcz kryminalne. MHP to nie ten przypadek.

A co się nie sprawdza? Może na konkretnych przy-  
kładach. Kiedy przyszedłem do muzeum, zamknęła się właśnie wystawa „Potęga opowieści”. Wspaniała, którą powinni zobaczyć uczniowie z całej Polski. Eks-  
pozycja mówiąca o tym, że nie ma historii bez źródeł, a o przeszłości wiemy tylko to, co uda nam się z nich wyczytać. Ale szkoły na nią nie przyszły. Dlaczego? Bo była otwarta od połowy czerwca do połowy września.

**Ktoś jest za to odpowiedzialny?**

– Nie chodzi o szukanie winnych. Można powiedzieć, że to wynik wielu pechowych zbiegów okoliczności. A moim zadaniem jest teraz tak pracować z zespołem, żeby to się nie powtórzyło. Jak muzeum zamknęło „Potęgę opowieści”, w budynku przez dwa miesiące nie było żadnej, nawet najmniejszej, czasowej wysta-  
wy. Dlaczego? Ponieważ plansze do niedużej wystawy, która była zaplanowana na ten czas w holu, nie zo-  
stały wydrukowane. Okazało się, że nawet gdybyśmy podjęli błyskawiczną decyzję o ich druku i montażu, co chciałem zrobić, w tym czasie było zaplanowanych kilka wydarzeń komercyjnych w tej przestrzeni i mu-  
sielibyśmy tę miniwystawę montować i demontować. Koszty byłyby olbrzymie.

Muzeum wybudowane za olbrzymie pieniądze przez prawie dwa miesiące stało puste. Turyści przy-  
chodzili i załamywali ręce. Na szczęście cały czas organizowaliśmy dyskusje, koncerty, dział edukacji pracował pełną parą. Teraz staramy się stworzyć procedury organizacyjne i komunikacyjne, które spra-  
wią, że różne działy zsynchronizują swoje wysiłki, że będziemy pracować w komfortowych warunkach, bez szaleńczego pośpiechu, a wyniki naszej pracy trafią do jak najszerszej publiczności. I nic się nie zmarnuje – „przegapioną” miniwystawę otworzymy w przyszłym roku, między dwiema dużymi wystawami czasowymi.

**Co się udało zrobić?**

– Na początek drobne zmiany. Ale one się sumują. Wprowadziliśmy nowe systemy planowania wy-  
staw, powołaliśmy Radę Wystawienniczą i Zespól Programowy. Otwieramy się na bliższą współpracę z miastem, dzielnicą i sąsiadami z Cytadeli. O tydzień przelożyliśmy wernisaż kolejnej wystawy, „1025. Na-  
rodziny Królestwa”, dzięki czemu pracowaliśmy nad nią spokojniej, bez wywierania niepotrzebnej presji dla ludzi i – w dużej mierze wypożyczonych – zbiorów. W efekcie mogliśmy zaprosić na przedpremierowe

zwiedzanie wystawy 11 listopada, połączyć to z Festi-  
walem „Niepodległa” na Krakowskim Przedmieściu, akcją „Przystanek Niepodległość” i koncertem zorga-  
nizowanym wspólnie z władzami Warszawy.

Dzięki koordynacji działań i współpracy 11 listopada do muzeum przyszło ponad pięć tysięcy osób, a kolejne kilka tysięcy było na koncercie przed budynkiem. To nasz frekwencyjny rekord, i to jest – wydaje mi się – wła-  
ściwe wykorzystanie ciężkiej pracy kuratorów, edukato-  
rów, wszystkich pracowników i pracowniczek.

Często efektem zmian nie będą rzeczy spektaku-  
larne, ale poprawa komunikacji i działania samego muzeum. Pierwszy miesiąc spędziłem na rozmowach z pracownicami i pracownikami, dowiedziałem się, jak wygląda ich praca, i słuchałem, jakie mają pomy-  
sły. Muzeum w ostatnim czasie działało pod dużą presją czasu, która sprawiała, że wiele idei nie mogło się przebić. Czas trochę zwolnić, przemyśleć strategię i zadbać, żeby para nie szła w gwizdek. Ale – znowu – to jest możliwe tylko dzięki wcześniejszej pracy Rober-  
ta Kostry. Potencjał, który uruchamiamy, przecież on zgromadził. Na razie nie zatrudniłem nowych pracow-  
ników poza tymi, którzy dołączyli do nas w ramach trwających już rekrutacji.

## Budynek Muzeum Historii Polski możemy porównać do karoserii Ferrari. Coś pięknego, co przyjeżdżają zobaczyć ludzie z całej Europy. Czy teraz - w ramach oszczędności – mamy wstawić do tej karoserii silnik od Trabanta?

**Zarzucono panu, że nigdy nie zarządzał pan tak dużym zespołem.**

– I że nie jestem historykiem... To zarzut nie do końca sprawiedliwy, bo mój poprzednik, choć skończył historię, to nigdy nie prowadził zaawansowanych badań historycznych – od połowy lat 90. XX wieku był urzędnikiem państwowym. A ja od lat zajmuję się naukowo historią. Napisałem m.in. „Powstanie umarłych” – efekt dekady spędzonej w archiwach, w tym w IPN. A kilka lat temu MHP zamówiło u mnie ekspertyzę w sprawie polityki pamięci w dwudziesto-  
leciu międzywojennym...

Efekt jest przynajmniej taki, że wiem, jak dużo nie wiem. Mam na tyle duże pojęcie o warsztacie history-  
ka, żeby mieć olbrzymią pokorę wobec tego, że niewie-  
le wiem o średniowieczu i muszę polegać na pomocy mediewistów. Nie jestem specjalistą od nowożytności, więc muszę słuchać nowożytników, a w wielu spra-  
wach korzystać z pomocy Rady Muzeum i współpra-  
cowników.

Zarządzanie tak dużym zespołem to inna sprawa. Rzeczywiście, wyobrażony, idealny dyrektor czy dyrektorka takiego muzeum powinni mocno stać na obu nogach – mieć doskonale przygotowanie merytoryczne i doświadczenie w zarządzaniu. Ja takiego doświadczenia nie mam. Liczę natomiast, że przyda się moje doświadczenie w zakresie tworzenia procedur komunikacji wewnętrznej i zewnętrznej dla organizacji, które przechodzą duże zmiany. W tej dziedzinie przez lata pracowałem jako konsultant z fir-  
mami i instytucjami. Oczywiście to co innego niż bycie liderem. Ale myślę, że dam sobie radę.

Pamiętajmy, że wielu twórców dużych muzeów, dziś szanowanych dyrektorów, uczyło się razem z nimi. MHP jest organizacją tak specyficzną, że nawet duże doświadczenie – w prywatnej firmie czy instytucji państwowej – mogłoby się tu okazać nie aż tak istotne jak właśnie kompetencje w tworzeniu procedur komunikacyjnych i otwartość na budowanie zespołu. Myślę po tych dwóch miesiącach, że moje kompetencje w zarządzaniu zespołem, ale też w gasze-  
niu pożarów, na razie w miarę się sprawdzają. Ale o to trzeba by już zapytać pracowników.

**Przeciwko odwołaniu Kostry protestowało też Stowarzyszenie Przyjaciół MHP i jego Rada. Doga-  
dał się pan z nimi?**

– Tak. Mamy teraz bardzo dobre relacje. Ale powta-  
rzam – nie protestowano przeciwko powołaniu mnie, tylko przeciw okolicznościom odwołania Roberta Kostry. Robili to ludzie, którym naprawdę na MHP

zależy. Obawiali się braku kontynuacji, rozproszenia zespołu. To są słuszne obawy. Mam nadzieję, że powo-  
li udaje mi się udowodnić, że nie przyszedłem do MHP, żeby burzyć, tylko rozbudowywać. Przed nami – przed Radą, Stowarzyszeniem, pracownikami – wspólne wyzwanie, by mądrze odpowiadać tym, którzy doma-  
gają się zmian na wystawie głównej. Teraz nie czas na zmiany. Musimy ten okręt utrzymać na kursie.

**Jaki to kurs?**

– Przemiana dobrych pomysłów w rzeczywistość. Wy-  
stawa i muzeum to realizacja przedsięwzięcia, które w swojej skali jest bezprecedensowe. Z tej skali wiele osób wciąż nie zdaje sobie sprawy.

Gdyby dziesięć lat temu ktoś mnie zapytał, czy potrzebujemy muzeum za ponad miliard złotych, z wystawą za ponad pół miliarda, powiedziałbym, że to temat do dyskusji. Bo być może to samo można by-  
łoby zrobić mniejszymi środkami. Natomiast podjęto decyzje, jakie podjęto. W efekcie mamy budynek, który możemy porównać do karoserii ferrari. Coś pięknego, co przyjeżdżają zobaczyć ludzie z całej Europy. Czy teraz – w ramach oszczędności – mamy wstawić do tej

karoserii silnik od trabanta? To dopiero byłoby fatalne zarządzanie finansami publicznymi!

Na szczęście Ministerstwo Kultury to rozumie i wspiera rozwój MHP. Zatem będzie nie tylko piękne opakowanie, ale także robiąca wrażenie wystawa, jak również mądre zarządzanie, które pozwoli w pełni wykorzystać ten potencjał i zmienić MHP w główny ośrodek dyskusji o pamięci w Polsce.

Ale ta budowa to wielkie wyzwanie – techniczne i kuratorskie. Nie ma w Polsce firmy, która ma do-  
świadczenie w budowaniu takiej wystawy, bo nikt tak ogromnej dotąd nie budował. Mamy do dyspozycji 7300 m kw. Olbrzymia powierzchnia, która zmusza do przemyślenia ścieżek zwiedzania, bo tego się nie da zobaczyć w jeden dzień. Trzy dni – to optymistyczne założenie. Ale to wszystko jest do wdrożenia. Nato-  
miast najgorsze, co możemy teraz zrobić, to zacząć się wahać, zastanawiać, wykreślać, zmieniać. Na wystawie mamy już wychodzące z podłogi kable, które są przygotowane do ekspozytorów z dokładnością do czterech milimetrów. To nie jest książka, w której –  
jeszcze na etapie redakcji – możemy dodać lub usunąć jedno zdanie.

**Dziesięć lat temu jakie muzeum by pan widział?**

– Od razu zaznaczyć, że nie wiem, czy w praktyce byłoby to na pewno lepsze rozwiązanie. Może wtedy rozwiązaniem do dyskusji byłaby zdecentralizowana struktura, sieć instytucji, która miałaby szerszy wpływ na proces edukacyjny w Polsce. Mamy do czynienia z olbrzymią nierównowagą w dostępie do kultury i edukacji pomiędzy wielkim ośrodkiem metropolital-  
nym, jakim jest Warszawa, a nawet innymi metropo-  
liami, nie wspominając już o mniejszych miastach.

Ale nic straconego! Dzisiaj, mając MHP, musimy myśleć o tym, jak utworzyć z niego hub, a mówiąc po polsku – piastę, od której będą odchodzić szprychy. Muzeum powinno być centrum koordynującym i wspierającym lokalne inicjatywy. To już się dzieje, poprzez programy dotacyjne, których jesteśmy opera-  
torem. Chcemy połączyć siły z Biurem „Niepodległa”, które ma doświadczenie w docieraniu właśnie do miasteczek czy na wieś. To jest – wydaje mi się – sto-  
sunkowo nowe w myśleniu o muzeach. I krok naprzód względem tego, co zbudował mój poprzednik. To nie może być muzeum jednej wystawy, nawet tak olbrzy-  
miej. Ona to dopiero początek dużych, skoordynowa-  
nych, przemyślanych działań, dzięki którym będziemy





pomagać nauczycielom i nauczycielkom historii, którzy szukają sposobów dotarcia do młodzieży z atrakcyjnym, mądrym przekazem o historii.

Musimy pomagać władzom lokalnym, samorządowym, mieszkańcom, którzy poszukują swoich form upamiętnienia czy celebrowania przeszłości.

**Nie możemy narzekać na brak instytucji zajmujących się historią i pamięcią. Mamy Instytut Narutowicza, Pileckiego, IPN, wielkie muzea historyczne, biograficzne, narodowe centra i instytuty. Idzie na to kolosalna kasa. Jak ocenia pan efekty tych działań?**

– Są dużo większe, niż pozornie może się wydawać. Polacy są entuzjastami historii. Potwierdza to choćby milionowa słuchalność naszych podcastów. A wciąż ten rynek jest nienasycony.

Polacy i Polki szukają opowieści o przeszłości. Ale z jaką opowieścią o przeszłości się spotkają? Czy dzięki tej opowieści będą lepiej radzili sobie z wyzwaniem teraźniejszości i lepiej budować przyszłość?

Kulturę można rozumieć na dwa sposoby. W pierwszym jest ona na samym szczycie piramidy potrzeb. I tak czasem myślą politycy – jak już zaspokoimy wszystkie potrzeby ludzi, to dajmy im kulturę, jako wisienkę na torcie. Badania pokazują jednak, że działa to inaczej – kultura jest u podstaw piramidy. Budując kulturę, w tym kulturę pamięci, tworzymy wzorce odpowiedzialności i wspólnotowości, uczymy myślenia perspektywicznego, poszerzamy horyzonty wyobraźni. Budujemy to, z czego potem korzysta biznes, co zmienia kształt polityki. Kultura ma wpływ na większość procesów społecznych, od poszanowania praworządności po efektywność generowania PKB. Tworzenie takiej kultury, w której jest miejsce na pamięć i patriotyzm – słowo, którego zawsze będę bronić – to bardzo dobra inwestycja nie tylko ideowa, ale też księgowa.

**Dużo wielkich słów i idei – wspólnota, odpowiedzialność, budowanie przyszłości. Czytając komentarze po pańskim powołaniu, ale też odnoszące się do pana działalności, widziałem, że ta radosna, optymistyczna wizja świata wydaje się podejrzana.**

– Widać za mało czytam komentarzy.

**Służę cytatami.**

– Wie pan, każdy ma jakieś wady. Jak wyglądam – każdy może zobaczyć. Mam naturę pogodną i wesołą, co z pewnością przekłada się na moją wizję historii. Ale ja optymizm widzę jako postawę bardzo trzeźwą i praktyczną.

Możemy przyjąć trzy postawy. Naiwną – będzie dobrze niezależnie od tego, co zrobimy. Czarnowidzącą – będzie źle niezależnie od tego, co zrobimy. I optymistyczną właśnie – jak weźmiemy się do roboty, to damy radę. Zatem optymizm – logicznie rzecz biorąc – wydaje mi się postawą uzasadnioną. Musimy brać odpowiedzialność za otaczającą nas rzeczywistość i ciężko pracować, żeby ją zmieniać.

Nasza wyobraźnia historyczna jest – w procesie edukacji – budowana wokół wydarzeń z XIX i XX wieku. Wtedy – niezależnie od mojego wesołego usposobienia – w Polsce działo się przeważnie źle. Nasze główne problemy to odzyskanie niepodległości, a czasem obrona przed próbami programowej eksterminacji. To nie są wesołe tematy. Ale kolejnym atutem MHP może być właśnie to, że sięga dużo dalej w przeszłość. Kiedy na przykład opowiadamy o państwie Bolesława Chrobrego, to widzimy, że królestwo Piastów było takie same jak inne europejskie królestwa. Nie było naznaczone żadnym wielkim piętnem cierpienia, mesjanizmu, martyrologii, musiało jakoś wygospodarować sobie przestrzeń w tej trudnej, wczesnośredniowiecznej, i tyle.

**Przeszłość to dla wielu historia przemocy. Jak pogodzić pańską pozytywną wizję historii z tym, że odkrywamy, jak wiele tej przemocy było? Społeczeństwo czyta „Chłopki” nie dlatego, że opowiadają o radości bycia chłopką, ale dlatego, że upominają się o wypartą ze społecznej świadomości przemoc. Z jednej strony zajmujemy się przepracowywaniem transgeneracyjnych traum, a z drugiej mamy ten cały radosny nurt. Jak to połączyć?**

– Ależ moja wizja historii wcale nie jest pozytywna! W przeszłości najbardziej cenię sobie właśnie to, że nie muszę w niej żyć. W mieszkaniu, w gabinecie mam już haczyk na ścianie na plakat z wykresem ilustrującym spadającą śmiertelność niemowląt. Chcę go sobie powiesić nad biurkiem, bo to największe osiągnięcie ludzkości. Pod wieloma względami żyjemy w najlepszych czasach.

Historia przypomina nam o tym, jak wszechobecna była przemoc w każdym obszarze życia w przeszłości. Możemy się spierać o szczegóły, natomiast wydaje mi się, że nikt nie ma wątpliwości co do tego, że zasięg swobód, wolności, emancypacji jest dziś w Polsce szerszy niż w dowolnej epoce historycznej. Prehistorię pomińmy, bo trwają o nią spory. Ale to, gdzie dotarliśmy jako społeczeństwo, jest też wielkim zobowiązaniem. To nie jest dane raz na zawsze. Historia to też wielka lekcja wrażliwości, która każe nam nie osiadać na laurach, ale stale pytać o to, co możemy zrobić, żeby ten wykres dalej poprawiać. W tym sensie jestem optymistą. Wizja optymistyczna nie ma jednak nic wspólnego z opowiadaniem o historii w różowych barwach. Ale czarne barwy to też przekłamanie.

Dlatego sprzeciwiam się takiej twitterowej dyskusji, w której mamy rozstrzygać sądy w rodzaju: „Rzeczpospolita szlachecka – ostoja politycznej wolności czy piekło chłopów”?

**Polska – tak czy nie?**

– To jest sprowadzanie historii do karykatury. Jeżeli jest jakiś plus z tej gargantuicznej powierzchni 7300 m kw. wystawy stałej, to taki, że nie musimy w muzeum pracować w trybie albo-albo. Możemy pokazać piękne pole elekcyjne i niezwykle nowoczesne, jak na tamte czasy, rozwiązania, które dziś



• **Muzeum Historii Polski na terenie Cytaдели Warszawskiej zostało oficjalnie otwarte we wrześniu 2023 roku. Wystawa stała ma być gotowa w 2026 roku**

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

## Dr hab. Marcin Napiórkowski

• (ur. 1985), semiotyk, kulturoznawca, profesor w Instytucie Kultury Polskiej UW. Publicysta, eseista, publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Krytyce Politycznej”, „Gazecie Wyborczej”. Współautor musicalu „1989”.

byśmy mogli nazwać partycypacyjnymi. A obok instalację, która nazywa się „Milcząca większość” i opowiada o wykluczonych ze wspólnoty politycznej chłopach i chłopkach, stanowiących większość mieszkańców Rzeczypospolitej. Która z tych wizji jest prawdziwa? Obydwie. To dopiero interesujący paradoks.

Być może widzimy historię jako dzieje przemocy, także dlatego, że dzisiaj uczymy jej głównie przez historię bitew, traktatów i wielkich przywódców. Jeśli czytelnicy i czytelniczki zechcą zajrzeć na wystawę „1025. Narodziny Królestwa”, zobaczą, że zaczyna się od długiego, niezwykle malowniczego wstępu o tym, jakie zwierzęta występowały w puszczach porastających teren państwa Chrobrego. Jakie ryby żyły w rzekach, jakie zboża uprawiano. To jest sedno historii. Bitwy i traktaty są wtórne wobec dostępności materiału opalowego.

Wprowadzenie trójpółowki czy pojawienie się ziemniaka to były przełomowe momenty w naszej historii. Opowieść o tym poszerza pole historii. Dzisiaj uczymy jej jako coś oddzielnego od biologii, geografii czy fizyki. A przecież nie zwrócimy uwagi młodym na to, jak ważny jest klimat, jeśli nie pokażemy im, że losy człowieka i przyrody są nierozdzielnie splecione. W tym sensie historia rzeczywiście jest nauczycielką życia. Im więcej wiemy o przeszłości, tym mądrzej i dalej wybiegamy w przyszłość. W efekcie lepiej planujemy. Takie myślenie chcę proponować w MHP.

**Dużo łatwiej jest mi wyobrazić sobie, że osoby nieheteronormatywne padały ofiarami przemocy, niż że przecież kochały, jakoś organizowały swoją przestrzeń tak, żeby być w związkach czy realizować swoje potrzeby. Może przemoc to rzeczywiście łatwy klucz do opowieści o przeszłości?**

– W takiej historii podstawą byłoby to, że ludzie zawsze się kochali. A dopiero potem przychodzili ci, którzy mówili: wy idźcie do piekła, a my do nieba. Jednych błogosławimy, drugih wyklinaamy i prześladowujemy. O każdej mniejszości można w ten sposób opowiadać. Nie zapominajmy o przemocy, ale szukajmy innych narracji.

**Jak muzeum zamierza dotrzeć choćby do uczestników Marszu Niepodległości? Może im się wydawać tworem, który – w tej pańskiej wizji – niekoniecznie będzie do nich mówił.**

– Ale oni sami już do nas docierają. 11 listopada, w czerwonej koszulce z napisem „obsługa publiczności”, chodziłem wśród ludzi czekających w kolejce do muzeum. W pewnym momencie pojawiła się grupa osób, które odwiedziły nas w drodze na marsz. Można było ich rozpoznać po insygniach, flagach, szalikach kibicowskich. Zastanawiałem się – po co przyszli? Okazało się, że tak jak pozostali – stanąć w kolejce, by wejść na wystawę. Ludzie idący na marsz są naturalnymi gośćmi MHP. Potrzebujemy różnych form świętowania niepodległości. Ktoś woli maszerować, ktoś inny śpiewać lub tańczyć, a ktoś inny siedzieć w Poznaniu i jeść gęsinę, co jako Marcin bardzo szanuję. Nie musimy wszyscy robić tego samego.

Czy zgadzam się z hasłami głównych organizatorów marszu? Nie, nie zgadzam się. Z wieloma z nich nie ma miejsca na media – nie ma przyzwolenia dla poglądów głoszących, że ktoś jest w Polsce zakazany albo powinno się go skrzywdzić. Ale czy wszyscy ludzie idący w tym gigantycznym marszu są faszystami, ksenofobami, homofobami? Nie. Większość to pewnie ludzie, z którymi więcej mnie łączy, niż dzieli.

Gdy w przestrzeni publicznej pojawiają się rozbieżne głosy, mamy bardzo złą tendencję do tego, że albo musimy się opowiedzieć po którejś ze stron, albo – w najlepszym wypadku – znaleźć jakąś trzecią drogę. Najlepiej coś pośrodku. Pracując przy musicalu „1989”, nauczyłem się, że trzeba pozwolić wybrzmieć różnym głosom i znaleźć między nimi harmonię. Ludzie idący w marszu – mówię o tej „cichszej większości

marszu”, nie o ekstremistach – będą pewnie mieli inne poglądy na miejsce Polski w Europie czy polską politykę niż ja. To jednak nie znaczy, że na siłę muszę zmienić ich poglądy na moje albo że musimy się koniecznie spotkać gdzieś pośrodku. Możemy się różnić w naszej ocenie historii. Polska jest jak wystawa stała w MHP – starczy jej dla wszystkich.

**Z pewnością na nasze oceny historii wpływ ma pochodzenie. Ślężacy czy Kaszubi widzą ją inaczej niż mieszkańcy Polski centralnej.**

– Zarówno na wystawie stałej, jak i czasowych będziemy mówić o tym, że polską specyfiką zawsze była różnorodność. Żyjemy w paradoksalnym czasie. Po roku 1945, po raz pierwszy w historii, znaleźliśmy się w sztucznej sytuacji, gdy Polska jest niemal jednorodna etnicznie, religijnie, kulturowo i językowo. Tego nigdy nie było. Nasze dziedzictwo jest zupełnie inne. Przeciwnicy wizji Polski różnorodnej bronią czegoś, co powstało w wyniku II wojny światowej. W wyniku działań Hitlera i Stalina. Bronią Polski takiej, jaką ona nigdy w historii nie była. Ja bronię Polski takiej, jaką zawsze była – otwartej, dumnej ze swojej różnorodności. Choć niepozbowionej problemów.

Jednorodność etniczna nigdy nie była naszą specjalnością. Już w państwie Chrobrego pojawiają się Żydzi i Rusini, plemiona bałtyjskie czy Pieczyngowie. Na wystawie stałej będzie kilka instalacji pokazujących, jak skomplikowane i nieoczywiste były „polskie” tożsamości. Gdybyśmy przenieśli się w czasie do XVII wieku i zrobili sondę wśród chłopów, to pewnie niewielu by zadeklarowało, że są Polakami. Mówiliby, że są tutejsi, że są chłopami. Wiemy, ile pracy musiał wykonać Tadeusz Kościuszko, żeby spróbować przekonać „lud”, że może być narodem politycznym. Problem ten przewijał się przez cały XIX wiek, zwłaszcza w okresie powstania styczniowego.

Jako historyk kultury analizowałem broszury, w których – w dwudziestolecie międzywojennym – próbowano wyjaśnić Polkom i Polakom pochodzenia chłopskiego, dlaczego powinni świętować 11 listopada. Tłumacząc, co to w ogóle jest ta niepodległość, chętnie posługiwano się metaforą rodziny – naród jest jak rodzina, czyli różnymi się, ale jednak gospodarujemy we wspólnym domu, który właśnie odzyskał. To trzeba było wyjaśniać nie aż tak dawno temu, bo w 1928 roku.

**Jakie cele sobie pan stawia?**

– Bardzo bym chciałbym, żebyśmy jak najszybciej zamknęli sporne kwestie związane z samą budową MHP, a także otworzyli wystawę stałą bez znacznych opóźnień. To priorytety.

Jak przyszedłem tu do pracy, sporo znajomych pytało: „dyrektorem CZEGO?” zostajesz. Mam nadzieję, że gdy będę kończył moją kadencję, ludzie nie będą zadawać pytań o to, czy i gdzie w Polsce jest takie muzeum. Mamy bardzo dużo do zrobienia w kwestii budowania jego pozycji, kształtowania marki. Chciałbym, żeby Cytaдела Warszawska, na której znajdują się cztery muzea, stała się kluczowym punktem na codziennej mapie spacerów warszawianek i warszawiaków. Cytaдела to wciąż teren odcięty od miasta, biała plama na miejskiej mapie. Ale przede wszystkim bardzo bym chciał, żebyśmy byli częścią zmiany tego, jak w ogóle myśli się o historii.

**Czyli?**

– Myślę o fałszywych dychotomiach – albo jesteś „po stronie historii”, albo „po stronie nowoczesności”. Po stronie nauk ścisłych albo humanistycznych. Lepsza znajomość historii jest nam potrzebna po to, żebyśmy nie tylko byli dumni z siebie, czuli się dobrze ze swoją tożsamością, ale też po to, żebyśmy byli innowacyjni, umieli mądrze mierzyć się z wyzwaniami przyszłości. I żebyśmy umieli mądrze zadawać pytania o to, jakie jest – dzisiaj i jutro – nasze miejsce w Europie i w świecie. ●

# ODCISK STOPY CHRYSTUSA

**Autorzy średniowiecznych przewodników turystycznych opisywali krainy, w których węże zjadają w całości jelenie, a ludzie mają oczy na ramionach, usta na plecach albo tylko jedną wargę.**

Joanna Banaś

Anthony Bale, angielski mediewista, profesor na Uniwersytecie Cambridge, proponuje nam wędrówkę w towarzystwie pątników i podróżników do światów, których sami wcześniej nie znali, a nawet takich, które nie istnieją. Z „Przewodnikiem średniowiecznego obieżyświata” w rękę zaczynamy ją 700 lat temu w Anglii, a potem wyruszamy do uznanych miejsc pielgrzymek w Europie – Akwizgranu, Kolonii, Rzymu i Konstantynopola. A w końcu do celu nad celami – Ziemi Świętej z królową miast Jerozolimą.

## KOMU W DROGĘ, TEMU PRZEWODNIK

Książka Bale’a jest kompletnym przewodnikiem: zawiera mapę ówczesnego świata, opisy tras, miejsc wartych zwiedzenia, niezbędny dla pielgrzymów spis relikwii oraz praktyczne porady – minislowniczek, zalecenia medyczne, zasady *savoir-vivre’u*, przelicznik walut, kosztorys obowiązkowych opłat i zestawienie, co można kupić na pamiątkę. Tylko zdjęć brakuje.

Bale w 2023 roku nawiązuje do wielowiekowej tradycji. Jednym z najwcześniejszych przewodników turystycznych był „Kodeks kalistyiński” z XII wieku napisany dla pielgrzymujących do Santiago de Compostela. W XIII wieku podobne publikacje licznie powstawały w zachodniej Europie. Najpopularniejszym przewodnikiem po Ziemi Świętej i Azji czasów średniowiecza była wydana w połowie XIV wieku „Księga dziwów i podróży” sir Johna Mandeville’a. Autor zapewniał, że jest angielskim rycerzem, ale w był raczej francuskim lub flamandzkim zakonnikiem. Nie ukrywał, że nigdy nie widział tego, co opisywał – połączył jedynie opowieści zasłyszane od pielgrzymów i zacytował rady udzielane przez doświadczonych podróżników.

## DZIWNY LUDZIE, DZIWNE KRAJE

Oprócz wspomnień i informacji praktycznych ówczesne przewodniki zawierały wzmianki o fantastycznych stworach i miejscach, a prawda co chwilę mieszała się w nich z fikcją. Opisywano ludzi mających oczy na ramionach, usta na plecach, a także takich, którzy mieli jedną wargę, za to na tyle rozłożystą, że mogła im służyć za parasol. Na kartach przewodników jako autentyczne notowano opowieści o węzach tak wielkich, że zjadały jelenie w całości.

Dlatego autor „Przewodnika średniowiecznego obieżyświata” deklaruje, że wiedzę o tym, jak podróżowano w wiekach średnich, czerpał wprawdzie z bibliotecznej kwerendy, ale sam także podróżował do opisywanych miejsc. Ludzie średniowiecza nie podróżowali dla przyjemności. Petrarka, który wdrapał się na Mont Ventoux z ciekawości, sam się za to ganił. Tylko nieliczni podróżowali, głównie z ważnych powodów, którymi były: pielgrzymowanie do miejsca świętego, udział w wyprawie wojennej, sprzedaż lub kupno towarów, ewentualnie zmiana klasztoru.



• Średniowieczna rycina przedstawiający karawanę Niccolo Polo i Maffeo Polo, ojca i wuja Marco Polo w drodze do Azji

FOT. BETTMANN ARCHIVE / GETTY IMAGES

Jednak większość, jak chłopci i służba, w ogóle nie mogli opuścić miejsca stałego pobytu. Żona, nawet wysoko urodzona, potrzebowała zgody męża (oprócz pielgrzymki do Ziemi Świętej), zakonnik – przeora, a rycerz – swego władcy. Bez odpowiedniego glejtu podróżnika czekały kłopoty. Przed wyjazdem trzeba było spisać testament, zebrać pieniądze i spakować bagaż, nie zapomnieć o lusterku, grzebieniu, świecach. Nie zaszkodziło też w podróży miecz.

## NIE ODPALAJCIE TYLNYCH DZIAŁ

Specjaliści od zdrowia radzili, by przed wyruszeniem w drogę podróżni pościli i dać sobie upuścić krew. Przestrzegali ich też przed szaleństwem i melancholią. W drodze najubożsi spali w domach noclegowych, gdzie za nieduże pieniądze można było przenocować jedynie w wieloosobowej sali bez wygod. Wyższy standard oferowały zajazdy, gdzie oprócz zbiorowych sypialni były też osobne pokoje, a pościel zmieniano nawet (!) co 14 dni. Po wielkiej epidemii dżumy w połowie XIV wieku ze względów sanitarnych zaczęto zakładać hotele dla pielgrzymów przy klasztorach położonych z dala od centrów miast.

Specjaliści bon tonu radzili: „W gospodzie nie czochraj się, nie kichaj, nie dłoń w nosie, nie kręć głową jak kawka, powstrzymuj odruchy wymiotne i nie pluj za daleko. Zawsze strzeż się przed odpalaniem tylnych dział”. U mężczyzny kaca miało leczyć obmycie genitaliów wodą z octem, a u kobiet umycie piersi i jedzenie liści kapusty lub picie soku kapuścianego.

Bezpieczniej i wygodniej było podróżować w grupie. Samotny pątnik był nie tylko narażony na niebezpieczeństwa, ale i odcięty od informacji, gdzie najlepiej się zatrzymać czy na jaki statek wsiąść.

Dopiero w połowie XIV wieku pojawiły się pierwociny turystyki zorganizowanej – opłacani agenci mieli zapewniać podróżnym wygody, bezpieczeństwo i towarzystwo. W wielu miejscach pielgrzymkowych działali licencjonowani przewodnicy i tłumacze. O ich rzetelności i jakości usług turystycznych podróżni mogli się jednak przekonać dopiero na miejscu. Rozczarowania były częste, zupełnie jak dzisiaj.

## JAK ZAROBIC NA PIELGRZYMACH

Po traktach przecinających Europę pielgrzymi poruszali się pieszo, na koniu czy

osiółku, rzekami na łodziach i barkach, co chwilę płacąc jakieś myto, cło czy obowiązkowy napiwek – za załadunek bagażu, za oprowadzanie po kościele, tłumaczenie, wskazanie miejsca noclegu. Do tego sporo kosztowało jedzenie.

Mieszkańcy Konstancji podczas soboru (1414-18) tak intensywnie próbowali oskubać przyjezdnych, że trzeba było wprowadzić ceny regulowane na podstawowe artykuły i określić zasady wynajmowania noclegów.

Wenecja, gdzie na statki wsiadali pielgrzymi podróżujący na wschód, rozwinęła system indywidualnych zezwoleń na pobyt w mieście – boletta była rodzajem paszportu z książeczką zdrowia w jednym (obawiano się przywleczenia zarazy). Profesjonalizacja usług objęła także weneckie domy publiczne, które od 1358 r. musiały mieć koncesję.

Właśnie portowa Wenecja, handlowe centrum Europy, była miejscem, w którym pielgrzymi zaopatrywali się w żywność na drogę. Kupowali suche pieczywo, wędzone i solone ryby oraz inne użyteczne artykuły, jak kubel z przykrywą i nocnik, koper włoski i aniz zapobiegające wzdęciom, czopki „długości palca, z białego mydła lub świecy łojowej” oraz ciepłą bieliznę w myśl zasady, że jeśli w żołądku jest ciepło, to rzadziej występują biegunki lub zatwardzenie. Po zakupach pielgrzymi kierujący się do Ziemi Świętej wsiadali zwykle na wenecką galeryę, długą łódź napędzaną siłą mięśni wiosłarzy. Obowiązywała na niej struktura pasażerów niczym na Titanicu: na dziobie bogacze, pod pokładem niezamożni, a na dnie statku, obok ładunku, najubożsi – skazani na mrok oraz smród wymiocin, odchodów i psującej się żywności.

Choroba morska zwałała z nóg najsilniejszych, nawet króla Cypru i Jerozolimy Piotra I. Jeden z italskich pielgrzymów wspominał, że w czasie sztormu osiwił z przerażenia. XIII-wieczny poradnik medyczny radził w podróży pościć lub jeść gorzkie owoce, siedzieć prosto i nie kręcić głową, ewentualnie ssać słodczyce. Angielska pątniczka, jedna z bohaterek książki Bale’a, podczas podróży przez Bałtyk usłyszała z ust Boga radę, która pozwoliła jej przetrwać kołysanie statku – miała spuścić głowę i nie patrzeć na falę. Zadziało.

## PAMIĄTKI Z PIELGRZYMKI

W miejscach świętych kwitł przemysł pamiątkarski – w Jerozolimie pielgrzymi chętnie kupowali wstążkę lub kawałek welinu (bardzo cienkiego pergaminu)

długości odcisku stopy Chrystusa, drewnianą łaskę Mojżesza, różaniec z drzewa oliwnego z Ziemi Świętej, włosie wielbłąda czy kolorowy krzyż z wosku.

Hitem były jednak metalowe plakietki – te z wizerunkiem św. Urszuli i 11 tysiącami dziewic znajdowano wiele kilometrów od Kolonii, w której znajdowała się bazylika poświęcona świętej i jej dziewiczemu orszakowi. Ale równie chętnie pątnicy przywozili z pielgrzymek plakietki sprośne, jak sromy w stroju pielgrzyma czy wędrujące penisy.

## CIELESNE POKUSY

Pobożność miała swoje granice. Pielgrzymi szli po odpusty gwarantujące odpuszczenie win, ale po drodze grzeszyli ile wlezie. Na nic zdali się przypowieści o zgubnych skutkach ulegania niskim żądom, które opowiadano sobie podczas podróży. Na wspomniany sobór do Konstancji zjechało 700 ładacznic, które podczas kościelnych obrad bynajmniej nie były bezrobotne.

Nawet raj dla ludzi średniowiecza był miejscem z pięknymi ogrodami, ołtarzami i domami publicznymi. W opisie jednego z „ogrodów przyjemności”, odpowiednika ziemskiego raju, pojawia się motyw nieograniczonej dostępności chętnych dziewczyc, które – a to już jest magia – dziewczycami być nie przestają.

W relacjach z miast na Wschodzie czytamy opowieści o kobietach defilujących publicznie z gołymi biustami i gospodyniami domowych, które po podaniu gościowi kolacji z radością obsługują go w łóżku. A nawet płacą mu za seks, bo rzekomo biali mężczyźni są dla nich wyjątkowo atrakcyjni.

## ŚWIECI W KAWAŁKACH

Każde z miast pielgrzymkowych oferowało pątnikom odpusty i kontakt z relikwiami. Na przykład w Wenecji można było zobaczyć żąb Goliata, kompletne ciało św. Zachariasza, Łucji, Sabiny, Pankracego i Maryny; lewą rękę św. Jerzego i kość udową św. Krzysztofa. Jeśli komuś to nie wystarczało, to w Zadarze na pielgrzymów czekały: czaszka św. Jerzego, palec św. Jana Chrzciciela, zakrwawiona koszula św. Chryzogona i czaszka św. Marii Magdaleny oraz kawałek gąbki, na której podano żółć ukrzyżowanemu Chrystusowi.

Natomiast w kaplicy Grobu Pańskiego w Jerozolimie pielgrzymi szukali śladów życia i śmierci Jezusa. I tak w jasnym glazie z czerwonymi żyłkami widzieli ślady strużek krwi; w kamiennych kolumnach, po których spływała woda – lzy oplakujące Chrystusa. Oddawali też część łańcuchom, którymi skępowano jego ręce. W kaplicy Wniebowstąpienia na kamieniu widzieli odcisk lewej stopy Chrystusa, który właśnie tam po raz ostatni dotknął ziemi. Niczego więcej nie potrzebowali. ●



## Przewodnik średniowiecznego obieżyświata. Świat w oczach ludzi średniowiecza

**Anthony Bale**  
**Przełożył Andrzej Jankowski**  
Dom Wydawniczy Rebis

FOT. BE&amp;W



### Matka wynalazków. Jak Wielka Wojna urządziła nam życie

**Maciej Górny**  
Wydawnictwo Agora

**ANDRZEJ BRZEZIECKI:** W książce „Matka wynalazków. Jak Wielka Wojna urządziła nam życie” powtarzają się dość często twierdzenia, że historia niczego nie uczy, zaś głupota jest nieśmiertelna. Skąd ten pesymizm?

**PROF. MACIEJ GÓRNY:** To wynik moich obserwacji. Negatywne zdarzenia z przeszłości, które zrazu wydają się nam moralnie jednoznaczne, czyli okropne i godne potępienia, po jakimś czasie wydają się całkiem zwyczajne i rozgrywają się w podobny sposób w nieznacznie zmienionych okolicznościach.

#### Na przykład?

– Histeria i ataki prasy endeckiej, gdy Roman Dmowski nie wszedł do Dumy Państwowej w roku 1912, bo przegrał z socjalistą Eugeniuszem Jagiellą, były bardzo podobne do nagonki prasy narodowej po wyborze Gabriela Narutowicza na prezydenta dekadę później. Już wtedy, czyli w 1912 roku, uruchomiono nowoczesną maszynę medialną tłukącą ludziom do głów, że konkurent Dmowskiego wygrał „głosami Żydów”. Analogiczne ataki widzieliśmy w mediach prawicowych za rządów PiS. Oczywiście PiS i endecja to nie jest dokładnie to samo, ale mechanizmy zachowań podobne. W 1922 roku na przykład atakowano Narutowicza, bo miał szwajcarski paszport – podobnie jeszcze niedawno piętnowano niemieckie nazwisko Róży Thun czy Tuszkowego „dziadka z Wehrmachtu”.

#### Bądźmy sprawiedliwi, agresja w przestrzeni publicznej nie jest zjawiskiem tylko polskim i tylko prawicowym.

– Oczywiście, dlatego w książce opisuję zjawiska i wydarzenia charakterystyczne dla czasu albo regionu. Chodzi mi o pokazanie, że w wielu miejscach w podobnym czasie przemoc w polityce straciła ostatnie cechy tabu, przestała być wstydliva. Nawet gdy jest skierowana wobec osoby bezbronnej, to część społeczeństwa ją aprobuje.

W 1916 roku zamachowiec – socjalista i pacyfista Friedrich Adler – zabił premiera Przedlitawii, czyli austriackiej części monarchii habsburskiej Karla Stürgkha. Strzelając, mierzył nie konkretnie w premiera, tylko w to, co on symbolizował. Lewicowa i liberalna opinia publiczna, zmęczona wojną, stanęła po stronie sprawcy, a nie ofiary.

#### Stürgkh nie był pierwszym politykiem, którego dosięgła kula bądź sztylet jakiegos zamachowca...

– Ależ nie to jest nowością, że morduje się polityka, bo to ludzkość знаła już od czasów starożytnych. W książce staram się jednak pokazać, że tym czymś nowym są media, które segmentują społeczeństwo i w ramach tych segmentów prowadzą bezpardonową walkę. Takie zjawisko narodziło się w okolicach I wojny światowej.

Weźmy choćby zamachy, jakich Ormianie dokonywali na Turkach w zemście za rok 1915. Zabójca Talaata Paszy był zadowolony z siebie, po zamachu spał spokojnie, a sąd nie znalazł w nim winy, bo uznał,

# MAŁE KORZYŚCI Z WIELKIEJ WOJNY

**Koleje przyspieszyły wymianę idei w Europie.  
Były jak dziś alert RCB, który może służyć do sensowych rzeczy,  
ale też np. do poprawy czyjegoś wyniku wyborczego.**

Z PROF. MACIEJEM GÓRNYM, HISTORYKIEM, ROZMAWIA ANDRZEJ BRZEZIECKI

że należy szanować prawo narodów do samostanowienia. Niezależnie od okropności masowych zbrodni dokonanych na Ormianach, Niemcy chciały pokazać, że one jedyne respektują 14 punktów Wilsona, podczas gdy same padły ofiarą nierównego traktowania, gdy im odebrano Sudety.

Eligiusz Niewiadomski także był dumny ze swego czynu, w niektórych miastach w Polsce wywieszano zaś w oknach jego portrety.

**Język w dzisiejszej polityce nie jest tak radykalny jak epitety, których używała endecka prasa. Zresztą i Piłsudski i ob-  
rażał adwersarzy najgorszymi słowami.**

– I całe szczęście, że język jest już inny! Warto jednak pamiętać, że nie mamy za sobą kilkuletniej wojny na naszych ziemiach i nie jesteśmy na skraju wojny domowej. Pomijając wojnę w Ukrainie, czasy mamy względnie spokojne, ale moim obowiązkiem jako historyka jest pokazanie fragmentów rzeczywistości, które wydają się potencjalnie niebezpieczne i mogą prowadzić w złą stronę.

Do tej pory robiłem to jak każdy historyk, nie dopowiadając tego, co myślę. Dziś stosuję analogie do dzisiejszych czasów, bo sam nie umiem patrzeć na tamte wydarzenia bez kojarzenia ich ze współczesnością. Ona wpływa na moje widzenie przeszłości i myślę, że pozwala także lepiej zrozumieć. Byłoby nieuczciwe z mojej strony, gdybym udawał, że nie widzę analogii.

**Wspomniał pan o segmentacji społeczeństwa, co kojarzy się ze słowem „bańka”, którego zresztą pan używa odnośnie do wydarzeń sprzed stu lat.**

– Bo w przypadku zabójstwa Gabriela Narutowicza widać było mechanizm szybkiej radykalizacji określonej części społeczeństwa, gdy przemawia się do niej zrozumiałym dla niej kodem. W takiej bańce wszyscy wiedzą, kto jest zdrajcą chodzącym na pasku Niemiec i Rosji albo nadającym się do wyśmiewania dziadem bez konta w banku.

**Do tej pory uczono nas, że historia jest nauczycielką życia, a pan chce przekonać, że jest na odwrót – to życie pozwala poznać historię?**

– Czasami ahistoryczność pozwala, paradoksalnie, zrozumieć inne epoki. Badając czasy I wojny światowej, zorientowałem się, że są one tak współczesne, iż można zrozumieć, o co chodziło tamtym ludziom, porównaniu ich zachowań do dzisiejszych. Gdy czyta się regulacje dotyczące diety wojennej, konfiskat surowców, kiedy widzimy, jak rodzi się w Niemczech korporacyjny duch instytucji gromadzących surowce strategicznych, to widać, że to wszystko ma swoje odpowiedniki w czasach nam współczesnych albo całkiem niedawnych.

W tym oceanie zjawisk, które wystąpiły trochę przed I wojną światową, w jej trakcie i trochę po niej, jest kilkanaście takich, które są albo nam znajome, albo wytyczają ścieżki, po których kroczymy. Współczesny dyskurs dietetyczny jest zakorzeniony w wojennej polityce kaloryczności. Polacy pamiętający w PRL kartki na żywność i czarny rynek, łatwiej zrozumieją politykę żywnościową i sytuację społeczeństw po 1914 roku niż ktoś, kto urodził się pod koniec lat 80. XX wieku i później.

To są małe furtki, które pozwalają nam zbliżyć się do przeszłości. One jej nie wytlumaczają w pełni, bo każda epoka ma swoje prawa i zasady. Dlatego oczywiście nie propaguję ahistoryzmu jako pełnoprawnej metody badania przeszłości, ale jestem pewien, że pewien ograniczony fragment naszych dziejów, jeśli spojrzeć nań pod kątem mechanizmów społecznych i ludzkich zachowań, staje się bardziej zrozumiały dzięki analogiom do współczesności.

**Przestrzega pan przed błędnymi analogiami – jako przykład podaje front zachodni w czasie I wojny i obecny front ukraiński-rosyjski. Wielu komentatorów, widząc walki między Ukrainą i Ro-**

**sją, chętnie przywołuje wojnę pozycyjną – ten sam zastój, okopy, błoto i kikuty drzew na tle szarego nieba.**

– Analogie w historii należy stosować z umiarem. Podobne obrazy z frontu nie sprawiają, że oba konflikty da się porównać. To różne wojny. Chodzi nie o pretekstowe kojarzenie faktu z faktem, ale o szukanie głębszych podobieństw w zachowaniach ludzkich. To, co zmienia się najmniej i najwolniej, to mechanizmy społeczne i psychologiczne. Ludzie z początku XX wieku są nowocześni, funkcjonujący w nowoczesnej przestrzeni medialnej. Są nam pokrewni bardziej, niż sądzimy.

**W tamtej epoce mamy już nowoczesną maszynę wojenną, ale chyba wciąż XIX-wieczny model dyplomacji.**

– Różne fragmenty rzeczywistości funkcjonują w różnych czasach. Nie wiem, czy proponowana przez część historyków przyczyna I wojny światowej jest prawdziwa, ale jest atrakcyjna. Według nich wojna była skutkiem zderzenia przednowoczesnej polityki, gdy koronowane głowy – a pośród nich idioci jak Wilhelm II – w gabinetach decydują o losach milionów, z nowoczesnym zautomatyzowanym mechanizmem mobilizacyjnym, który wprawiony w ruch okazał się nie do zatrzymania.

Ta interpretacja zdejmuje wyłączną winę za wojnę z Niemców. Niemcy jedynie odpowiedzieli na częściową rosyjską



***Analogie w historii to przyprawa, którą należy stosować z umiarem. Podobne obrazy z frontu nie sprawiają, że oba konflikty da się porównać. Wielka Wojna z lat 1914-18 oraz to, co dzieje się dziś w Ukrainie, to dwie różne wojny***

mobilizację pełną mobilizacją u siebie. Tyle tylko, że badacze tacy jak Sean McMeekin twierdzą, że częściowa mobilizacja to fantazja nie do zrealizowania w ówczesnej Rosji. Do wyboru były tylko pokój lub wojna. Wszystkie strony przyszłej wojny zakładały, że będą chciały w krótkim czasie rozstrzygnąć na swoją korzyść walki dzięki szybkości i zdecydowaniu.

**Dlaczego tamten konflikt musiał być tak krwawy?**

– Bo znów – system zbrojeń znacznie wyprzedził myśl taktyczną. Broń ofensywna rozwijała się szybciej od defensywnej. W efekcie pod Sommą jednego dnia mogło zginąć kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Szczęśliwie we wspomnianej wojnie w Ukrainie dystans jest mniejszy i gdy pojawiają się nowe rodzaje broni, zaraz znajdują się metody na walkę z nimi. Przede wszystkim jednak porównanie obu wojen jest fałszywe – w 1914 roku mieliśmy do czynienia ze zbiegiem okoliczności, w 2022 roku z zaplanowaną z zimną krwią agresją.

**Po 100 latach mimo dalszego rozwoju techniki ludzkość, jeśli idzie o wojny, tkwi poniekąd w miejscu. Bo na każdą broń znajduje się antybroń. Tak jak czołgi okazały się skuteczną bronią przeciw drutom kołszącym. Ostrzega pan, że „Matka wynalazków” nie jest książką o czołgach, samolotach i maskach gazowych, ale znalazło się w niej miejsce na koleje.**

– Piszę o kolejach, bo stały się wówczas infrastrukturą krytyczną państwa, tak jak dziś są nimi internet albo inne sieci, na których uwieszone są nowoczesne państwa. Atakując je, możemy sparaliżować społeczeństwo, możemy także przez nie rozprzestrzeniać w danym kraju złe idee i przemoc. Koleję bardzo przyspieszyły wymianę idei w Europie na przełomie XIX i XX wieku i były jak dziś alert RCB, który może służyć do sensownych rzeczy, a równie dobrze np. do poprawy czyjegós wyniku wyborczego.

Zdemoralizowani żołnierze przemierzający szybko duże odległości przenoszą z frontu przemoc oraz radykalizm do miast, tak jak dziś przez internet dostają się do spokojnych społeczności wirusy i radykalne, agresywne poglądy. Tak było choćby z agresją wobec Żydów – rozchodziła się wzdłuż głównych szlaków kolejowych i dochodziła w głąb państwa. Sieć jak krwio-bieg tłoczyła zakazaną przerwą krew z frontów z powrotem do serca krajów.

**Pamiętając Wielką Wojnę, chcemy pamiętać o Piłsudskim i Legionach, zapominamy, że polskie społeczeństwo było prorosyjskie, zapominamy o Polakach, którzy walczyli w różnych armiach. Dlaczego nasza pamięć jest taka wybiórcza?**

– W środkowej Polsce, powiedzmy: w Piotrkowie, modelowym przedstawicielem klasy średniej był emerytowany urzędnik carski polskiej narodowości. Miał niewiele powodów, by nienawidzić cara. Rosja dla wielu Polaków była ich rzeczywistością, żołnierze rosyjscy byli ich armią, zwłaszcza że byli w niej także Polacy. Bano się Niemców. Póki był car, nasza endecja orientowała się na Rosję. Ta sympatia wobec Rosji znikła, gdy pojawił się tam w lutym 1917 roku demokratyczny rząd Kiereńskiego.

Polacy w czasie I wojny światowej walczyli w różnych armiach i nieraz po przeciwnych stronach frontu. Po wojnie rzeczywiście doszło do brutalnej segregacji



***Analogie w historii to przyprawa, którą należy stosować z umiarem. Podobne obrazy z frontu nie sprawiają, że oba konflikty da się porównać. Wielka Wojna z lat 1914-18 oraz to, co dzieje się dziś w Ukrainie, to dwie różne wojny***

na lepszych i gorszych weteranów wojny. Państwo było biedne i musiało na kimś zaoszczędzić, padło na weteranów, którzy nie mieli szczęścia wziąć udziału w walkach o niepodległość. Oczywiście formalnie wszyscy mieli jednakowe prawa, ale potem uprzywilejowanym grupom dawano szczególne ulgi.

**Podczas I wojny światowej lokuje pan narodziny postawy proamerykańskiej. Myślałem, że tacy wpatrzeni w Amerykę staliśmy się w czasie zimnej wojny.**

– Do niepodległości Polski przyczyniło się słynne 14 punktów Wilsona, w których była mowa o prawie narodów do samostanowienia. To budziło wdzięczność wobec Ameryki na poziomie elit. Zwykły Polak pewnie nie czytał i nie wiedział o Wilsonie, ale widział wielką akcję humanitarną, jaką Ameryka prowadziła m.in. w Polsce, przekazując naszym przodkom żywność. To była dobrze zorganizowana akcja charytatywna obliczona na promocję samej Ameryki i budowę jej pozytywnego wizerunku. Każdy odbiorca darów miał doskonałe wiedzieć, kto mu pomógł. Ta inwestycja się opłaciła, bo na długie lata zakorzeniła w Polsce i nie tylko miłość do Ameryki.

**Do tego stopnia, że gdy przy okazji pomocy doszło do nadużyć, ewidentnie z udziałem amerykańskich urzędników, polska prasa obwiniała jedynie Polaków, bo przecież Amerykanie nie byliby zdolni do oszustwa.**

– To właśnie przykład, jak działała amerykańska soft power. We wspomnianej aferze polegającej na kradzieży amerykańskiej mąki współudział Amerykanów z góry wykluczono. Nie pierwszy i nie ostatni raz przeciwstawiano porządnym i uczciwym Zachód bałaganowi na Wschodzie.

Polacy nie byli jedynym narodem wpatrzonym w jankesów. Gdy w 1919 do Kowna przyjechał jeden major na czele misji Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, zmobilizowano lotnictwo i kompanię honorową, by owego majora powitać z wielką pompą.

Na dworcu czekały nań tłumy, a wraz z nimi ministrowie litewskiego rządu. Bo Ameryka! Scena absolutnie komediowa.

**Szukałem pozytywnych wzorców w książce, ale poza samorządem w Piotrkowie Trybunalskim od wszystkich innych przykładów włosy stają dęba...**

– Historia Piotrkowa Trybunalskiego, wówczas jeszcze bez tego dodatku, i innych podobnych miejsc powinna być nauczana na lekcjach w szkole tak jak cała epopeja legionowa. Opisuje ona, jak lokalne instytucje zmuszone były do radzenia sobie w sytuacji, gdy żadna władza nie poczuwała się do troski o obywateli. To elity w Piotrkowie wzięły na siebie odpowiedzialność za los mieszkańców miasta i nie przypisywały sobie potem z tego powodu wielkiej chwały. Na samorząd spada wtedy ogrom działań, bo ludźmi ktoś musi się opiekować, a inni wtedy rekrirują krowy, drewno, kłamki, prowadzą wojnę i walczą o Polskę.

Nikt w tych lokalnych społecznościach nie czekał, aż przyjdzie Polska i zrobi coś za nich, ale zakasywali rękawy i musieli sami działać – dogadując się z zaborcami, przechodzącymi wojskami, podzielonymi etnicznie i wyznaniowo mieszkańcami.

To, że ludzie nie poumierali w Piotrkowie z głodu, albo to, że w 1920 roku w Częstochowie czy w Łodzi kryzys opalowy trwał tylko dwa miesiące, a nie całą zimę, co skazałoby ludzi na śmierć, nie jest zasługą Legionów i Piłsudskiego, bo ich to nie obchodziło – Piłsudski właśnie planował marsz na Kijów.

To wspaniałe odrodzenie się samorządu – formy organizacji, której w Polsce nie było od bardzo dawna albo w ogóle – nie jest jednak jedyną pozytywną historią, o której piszę, bo na rozdział o polskiej inteligencji także tak bym patrzył.

**Na to uwikłanie się w politykę?**

– To jest jednak pozytywne zjawisko. Polscy naukowcy, uczeni i intelektualiści nie boją się mówić, jak ich zdaniem winna wyglądać polityka państwa. Nie jest to i nie było wcale normą w Europie – w Niemczech na przykład etos urzędniczy sprawia, że pracownicy uniwersytetów z lojalności wobec państwa nie zabierają głosu. Nie przypadkiem w 20-leciu międzywojennym naszych historyków stawiano za wzór np. czeskim.

Poza zaborem austriackim na ziemiach polskich było mało polskich biurokratów, ale dużo przedstawicieli wolnych zawodów i to oni byli gotowi wejść do polityki i urzędów. Podobnie było po 1989 roku. Powinniśmy wskazywać na Piotrków w czasie I wojny światowej, bo to właśnie także jest historia naszej niepodległości. Potomkowie tamtych ludzi – niestety poza Żydami – wciąż w tym miejscu żyją.

Myślę, że to dobra i trwała cecha polskiej inteligencji, która nie ma oporów, by mówić głośno politykom, co myśli o ich pomysłach. Taka jest rola inteligencji, zwłaszcza humanistów. Nie tylko mamy tworzyć naukę, zdobywać punkty, ale także powinniśmy kształtować postawy społeczne. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ /  
AGENCJA WYBORCZA.PL

## Maciej Górny

• historyk, profesor w Instytucie Historii PAN, zajmuje się dziejami Europy Środkowo-Wschodniej w XIX i XX wieku. Wraz z Włodzimierzem Borodziejem opublikował historię I wojny w Europie Środkowo-Wschodniej („Nasza wojna”, t. I: „Imperia, 1912-1916”; t. II: „Narody, 1917-1923”, Warszawa 2014-18.

• Warszawa lata 70. Ekonomista profesor Edward Lipiński w swoim domu, w którym kolekcjonuje antyki i malarstwo. Z prawej portret Pelagi z Potockich Sapieżyny, Louise Elisabeth Vigee Le Brun, z 1794 r.

FOT. PAP/IRENA JAROSIŃSKA

To w domu prof. Edwarda Lipińskiego zapadła decyzja o utworzeniu komitetu pomocy represjonowanym robotnikom. Kilka dni później 14 osób podpisało pierwszy dokument KOR-u.

Rafał Zakrzewski

PO PROSTU



# profesor

Profesora Edwarda Lipińskiego odwiedziłem parokrotnie – kilka miesięcy przed śmiercią – w styczniu 1986 r.

Pamiętam, jak w wielkim, mrocznym, pełnym obrazów i bibelotów mieszkaniu w Domu Profesorskim SGPiS siadał w za dużym fotelu i zaczęliśmy odkopywać jego przeszłość. Miał wtedy 98 lat. Opowiadał mi m.in., jak słuchał Róży Luksemburg na odczycie w Lipsku (około 1910 r.).

Wróciło to do mnie, gdy sięgnąłem po książkę Andrzeja Zawistowskiego „Profesor. Edward Lipiński i jego czasy” (SGH Oficyna Wydawnicza, Warszawa 2023). Jestem za nią wdzięczny. Przewędrowałem

z autorem przez niemal 100 lat życia Profesora, przez czasy, których nie znałem, ale i przez PRL, którym musiałem oddychać. Nie była to wędrówka nudna.

Cały czas zastanawiałem się, na czym polegała siła tego niewysokiego mężczyzny, który w wydobytym przez Zawistowskiego dokumencie „Mój życiorys” zastanawiał się: „Czy każdy życiorys zasługuje na opis? Oczywiście nie. Pamiętniki powinni pisać ludzie, którzy grali rolę historyczną. Nie grałem roli historycznej”.

Zgadzam się z autorem książki, że Lipiński nie miał racji. Szkoda, że pamiętników nie pisał, bo lektura „Profesora” pokazuje, jak aktywne i bogate życie prowadził. Waleń książkę Zawistowskiego jest właśnie rekonstrukcja historii chłopaka z Nowego

Miasta nad Pilicą oparta na materiałach publikowanych i niepublikowanych – udostępnionych przez rodzinę. Wyłania się z tego postać wyrazista: przekonanego socjalisty, naukowca, publicysty, działacza społecznego i konspiratora, czy to w zaborze rosyjskim, czy pod okupacją niemiecką, czy wreszcie w czasach schyłkowego PRL-u.

Gdy w 1976 r. stał się współzałożycielem Komitetu Obrony Robotników, biografia w naturalny sposób czyniła go jednym z autorytetów demokratycznej opozycji, a jego mieszkanie na Rakowieckiej 22c – jednym z najważniejszych adresów tego środowiska. Autorytet to dziś pojęcie zakurzone, jakby z odległej epoki. Dla mnie – wówczas 20-letniego – współpracownika KOR-u było

ważne. Takie biografie były dla nas drogowskazami do wolności, pokazywały ciągłość i sens idei oporu. Czy warto je wydobywać z przeszłości? Moim zdaniem tak! Można w nich znaleźć wzorce społecznych, obywatelskich postaw, odwagi, konsekwencji, odpowiedzialności.

17 lipca 1986 r. nad grobem Lipińskiego tak wspominał go inny autorytet opozycji, Jan Józef Lipski: „W KOR-ze mówiliśmy o nim po prostu Profesor, choć nie był jedynym członkiem Komitetu noszącym ten tytuł. Profesor to zarazem Mistrz i Nauczyciel. Był dla nas jednym i drugim”.

KOR był zwiercieniem romantycznej aktywności społecznej Lipińskiego, którą łączył z pracą pozytywistyczną. Pod zaborem budował społeczne instytucje oświatowe, potem tworzył wolną II Rzeczpospolitą. Po odzyskaniu niepodległości zajął się problematyką warunków pracy i płacy. Pracował wówczas jako doradca Ministerstwa Pracy i naczelnik Wydziału Statystyki Pracy i Przemysłu w Głównym Urzędzie Statystycznym oraz doradca naukowy GUS-u. Publikował w wielu pismach, m.in. w „Prawdzie” Wincencie Rzymowskiego i w „Ekonomiście”, którego redaktorem naczelnym został w 1928 r. Funkcję tę piastował przez następnych 50 lat.

## NAZWALI MNIE: SZABES GOJEM

Czytając książkę Zawistowskiego, uświadomiłem sobie, że u podstawy tego aktywnego życia legła nie tylko solidna edukacja (uczelnie w Lipsku i Zurychu, 1909-1913), ale też dojrzewanie w środowisku PPS-Lewicy oraz kontakty z socjaldemokratami polskimi i rosyjskimi. Te dwa czynniki uformowały wrażliwą społecznie postawę Profesora. Poza epizodem KOR-owskim przyciąga mnie do niego także epizod z lat 30., o którym tak opowiadał mi kilka miesięcy przed śmiercią:

„Pod koniec lat trzydziestych w Szkole Głównej Handlowej (SGH) doszło parokrotnie do rozruchów wywołanych przez prawicową młodzież. Byłem znany ze swych sympatii lewicowych i demokratycznych na uczelni. Ówczesna inteligencja, studenci w przeważającej mierze, była nie tylko antylewicowa, ale i antydemokratyczna. Pamiętam, to była zima 1937 r. Bezpośrednią przyczyną ruchów stał się atak ONR-owskiej młodzieży na studentów żydowskich, stanąłem w ich obronie i dałem w twarz jednemu z napastników. Powstała wielka wrzawa. Zarówno ONR-Falanga, jak i ABC zamieściły artykuły atakujące mnie. Pojawiły się ulotki, wiersze, w jednym z nich nazwano mnie szabes gojem. W kilka dni po tym zdarzeniu miałem mieć wykład z ekonomii politycznej na I roku. Obie organizacje ONR-owskie zmobilizowały swe siły na ten wykład, nieliczna grupa młodzieży lewicującej była rozbita. Nie dopuszczono do tego wykładu, powitano mnie gwizdami, obrzucono zgniłymi jajami, krzyczano: »Precz z pacholkiem żydowskim!«. Profesura w większości odsunęła się ode mnie. Wielu profesorów sympatyzowało z ONR-owcami, innym brakowało odwagi, chcieli mieć spokój w szkole. Do tych ostatnich należał ówczesny rektor prof. Julian Makowski, który odnosił się z sympatią do ONR-owców, chociaż był pilsudczykiem, po wojnie wstąpił do PPR, później do PZPR. Nawet postępowy profesorowie, ludzie tej miary co Krzywicki, Rychliński (wówczas docent), Zawadzki (pilsudczyk, ale antynacjonalista i demokrat), okazali się mało energiczni. Zbyt słabo wypowiadali swe zdanie. Wykłady zostały zawieszone, uczelnię na parę dni zamknięto. Później musiałem zrzec się godności prorektora szkoły. Był jakiś protest ze strony studentów ze związku Porozumienie Lewicy, poszła delegacja w tej sprawie do rektora. (...) Rektor za-

proponował, żeby obie strony wzajemnie się przeprosiły. Moi przyjaciele skłonili mnie do złożenia oświadczenia, że nie miałem zamiaru obrazić uderzonego studenta. Sprawę załagodzono”.

To jeden z ponurych obrazków rozbuchanego antysemityzmu na polskich uczelniach w końcu lat 30. Jesienią 1937 r. za przyzwoleniem władz wprowadzono getto ławkowe na SGH. Zawistowski cytuje nacjonalistyczną prasę: „prof. Lipiński posunął swoje żydofilstwo tak daleko, że razem z żydami czynnie występował przeciwko Polakom. Oto prof. Lipiński, krzycząc »świnie, lajdaki« rzucił się z pięściami na studentów Polaków i dwu z nich spoliczkował. Tylko taktowi młodzieży należy zawdzięczać, że panu profesorowi nie przytrafiła się przygoda, taka jak kilku żydkom.” („ABC” 1937, nr 392).

A potem narodowcy uniemożliwiali prowadzenie wykładów, obrzucali Lipińskiego jajami, zapalali świece dymne, gwizdali i wznosili okrzyki. Naciskany przez władze uczelni ustąpił z funkcji prorektora.

Kilka miesięcy później dał wyraz obywatelskiego nieposłuszeństwa w sprawie aneksji Zaolzia. Skrytykował uchwałę

## Prof. Lipiński: Wielu profesorów sympatyzowało z ONR-owcami, innym brakowało odwagi, chcieli mieć spokój w szkole

Senatu SGH, która mówiła „o głębokiej radości z powodu powrotu do macierzy wiecznej ziemi polskiej – Śląska Cieszyńskiego”. Nie akceptował decyzji władz polskich, aby najeżdżać osłabioną traktatem monachijskim Czechosłowację. Taka postawa była niezwykle rzadka.

## NIESFORNY CZŁONEK PARTII

Po wojnie Lipiński uznał, że trzeba odbudowywać Polskę nawet z ZSRR na karku. Był socjalistą i jak pisał biograf: „nie było to dziwne – wszak bez problemu zaakceptował nowe założenia ustrojowe”. Zaczął szukać miejsca w nowej rzeczywistości. W 1946 r. wstąpił do koncesjonowanej PPS, a gdy w 1948 r. siłą wcielono ją do PPR-u i powstała PZPR, nie rzucił legitymacji, był w niej do kwietnia 1977 r., kiedy został usunięty za działalność w KOR-ze.

Przez te 30 lat był kłopotliwym członkiem partii, prowadził grę z systemem, który próbował korygować. W okresie stalinizmu uciekł ze świata ekonomii, bardzo wówczas politycznej, i zaszył się w gąszczu bezpiecznej historii gospodarczej do 1870 r. (powstała wtedy synteza „Historia powszechnej myśli ekonomicznej”).

Po Październiku '56 publicznie (referaty w Klubie Krzywego Koła, wykłady i publicystyka) krytykował działania władzy m.in. w wymiarze sprawiedliwości, wskazywał kierunki reform. W 1964 r. podpisał list 34 intelektualistów przeciwko polityce kulturalnej państwa, w tym cenzurze. Jego podpis był szczególnie cenny i bolesny dla władzy, bo był wśród sygnatariuszy jedynym członkiem PZPR. Po objęciu władzy przez Edwarda Gierka (I sekretarz KC PZPR) pisał w 1971 r. do niego listy, apelując o poszerzenie wolności w nauce i zniesienie cenzury, interweniował w sprawie uwięzionych Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, jako

obserwator uczestniczył w procesie nielegalnej organizacji Ruch. Po surowych wyrokach starał się nieformalnie wpłynąć na ich złagodzenie, a gdy to nie przyniosło skutku, wystosował z pięcioma intelektualistami petycję z prośbą o ulaskawienie. Lipiński jak wielu innych aktywnych ludzi uznał, że coś się zmienia i nastąpi jakieś polityczne otwarcie. Niestety odpowiedzi na listy do I sekretarza nie nadeszły.

## OD POCZĄTKU DO KOŃCA W KOR-ZE

W 1975 r., gdy władza postanowiła wpisać do konstytucji kierowniczą rolę PZPR i „umacnianie przyjaźni i współpracy” z ZSRR, intelektualisci sprzeciwili się temu w „Liście 59”. Lipiński podpisał go i złożył w Sejmie (wtedy został objęty kontrolą operacyjną Służby Bezpieczeństwa o kryptonimie „Stary”).

Pamiętam ten moment, tak ważny dla kształtowania się opozycji demokratycznej. Jako student zbierałem na UW podpisy pod listem popierającym „List 59”. Zbliżał się czerwiec 1976 r., ale jeszcze w maju Profesor wysyłał do Gierka

najgłośniejszy swój list otwarty (konsultowany z Kuroniem, Michnikiem, Lipskim i Olszewskim), w którym poddał zdecydowanej krytyce politykę I sekretarza.

Czerwcowe strajki spowodowane zapowiedzią podwyżek cen żywności i brutalne represje w Ursusie i Radomiu wywołały reakcję środowisk opozycyjnych. 12 września w mieszkaniu Profesora zapadła decyzja o utworzeniu komitetu pomocy represjonowanym robotnikom, kilka dni później (23 września) 14 osób podpisało pierwszy dokument KOR-u – „Apel do społeczeństwa” o pomoc dla robotników. Było tam też żądanie ukarania winnych bezprawia i ujawniania skali represji.

Profesor był już po dziewięćdziesiątce, ale angażował się w działania opozycji. KOR-owi oddał na zebrania swoje mieszkanie, był aktywnym ich uczestnikiem, pełnił też często funkcję rzecznika – u niego odbywały się konferencje prasowe dla zagranicznych korespondentów. Był autorem, redaktorem oświadczeń i oficjalnych stanowisk Komitetu. Współtworzył opozycyjny ruch samokształceniowy Towarzystwo Kursów Naukowych, którego nazwę zaproponował. Po powstaniu „Solidarności”, 23 września 1981 r., podczas spotkania w mieszkaniu Profesora zapadła decyzja o samorozwiązaniu KSS KOR. Ogłosił ją podczas I Zjazdu „Solidarności” właśnie prof. Lipiński.

Wielu członków KOR-u tak wspomina zebrania u prof. Lipińskiego: czasem wydawało się, że drzemie, ale on zawsze w kluczowych momentach zabierał głos i trafiał w sedno. Bo nigdy nie spał – zawsze czuwał.

Jestem wdzięczny Andrzejowi Zawistowskiemu za wskrzeszenie tej nieżytowej postaci. Człowieka zawsze zmagającego się z rzeczywistością, chcącego wpływać na otaczający go świat, mającego wątpliwości, jednocześnie wiernego wyznawanym wartościom, ale uznającego też pragmatyczne kompromisy.

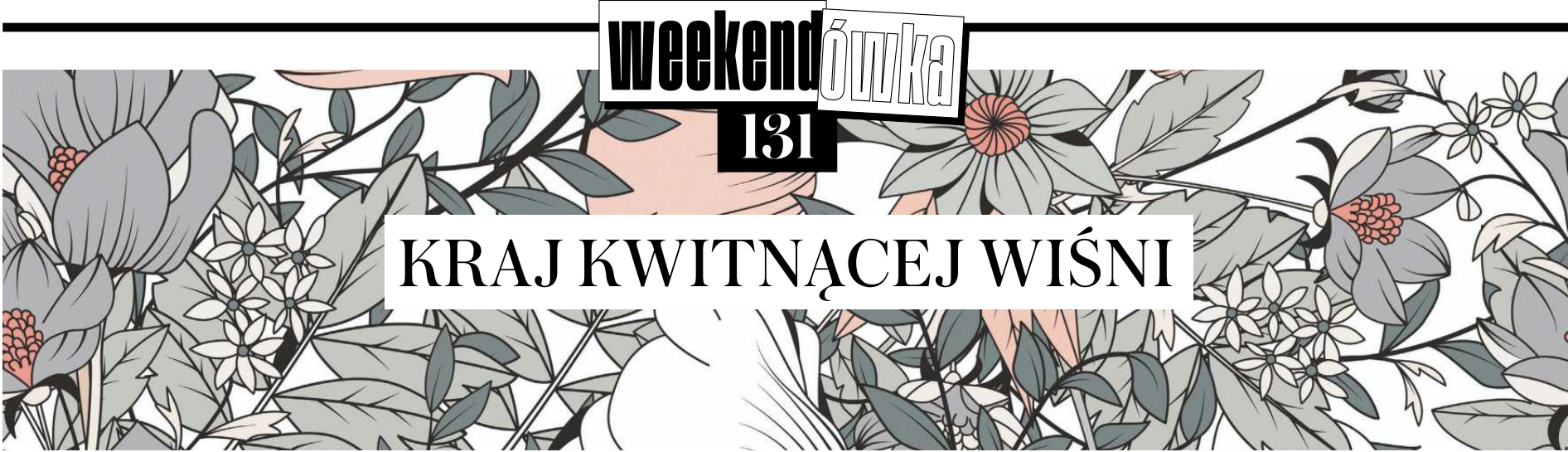
Książka ciekawie – ze szczegółami, często mało znanymi – opisuje krętą drogę historii, którą musiał pokonać jej bohater. I choć jechał do mety ostro, nie wypadł na żadnym zakręcie.

## NOTA Z INGERENCJĄ

Poniżej fragmenty noty biograficznej prof. Lipińskiego, która – wraz ze wspomnieniem o nim – ukazała się w „Znaku” w 1986 r. („Lassalle zdecydował o moich poglądach”). Końcowy fragment dotyczący jego aktywności w opozycji demokratycznej, m.in. w KOR-ze został wykreślony przez cenzurę, która od 1981 r. musiała zaznaczać swoje interwencje.

*Edward Lipiński urodził się 18 października 1888 r. w Nowym Mieście nad Pilicą. Pierwsze lata gimnazjalne spędził w Tomaszowie Mazowieckim. W 1904 r. przeniósł się do Warszawy, gdzie podjął dalszą naukę w Gimnazjum Filologicznym Wojciecha Górskiego. Tam związał się z ruchem socjalistycznym, angażując się w działalność koła PPS-Lewica. [...] W latach 1909-1912 studiuje w Wyższej Szkole Handlowej w Lipsku, w 1912-1913 w Zurychu. [...] Po powrocie do kraju w roku 1913 [...] zostaje sekretarzem założonego przezeń Towarzystwa Szerzenia Wiedzy Handlowej i Przemysłowej, pełniącego rolę uniwersytetu robotniczego. [...] W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości [...] pracuje jako doradca Ministerstwa Pracy i naczelnik Wydziału Statystyki Pracy i Przemysłu w Głównym Urzędzie Statystycznym [...]. Od chwili powstania Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie Lipiński związany jest z tą placówką (kontynuacją WSH była Szkoła Główna Handlowa, w czasie okupacji na pół konspiracyjna Miejska Szkoła Handlowa, później znów SGH i wreszcie Szkoła Główna Planowania i Statystyki). [...] Bardzo aktywnie działa na forum Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Przez wiele lat jest jego sekretarzem, później wiceprezesem, a od 1934 r. prezesem [...]. W latach 1926-1927 [...] Lipiński organizuje Instytut Badania Koniunktur i Cen. [...] Pod koniec lat 20. związki Lipińskiego z ruchem socjalistycznym ulegają rozwiązaniu. Nadal jednak pozostaje demokratą i liberałem, sprzeciwia się represjom i uciskowi politycznemu [...], żywo reaguje na brak tolerancji i antysemityzm w życiu publicznym. [Po klęsce wrześniowej] Udaje mu się założyć „średnią” szkołę zawodową – Miejską Szkołę Handlową, spełniającą w rzeczywistości zadania uczelni akademickiej.*

*Po wojnie [...] rozpoczyna uruchamianie Szkoły Głównej Handlowej. W marcu 1945 r. w częściowo spalonym gmachu SGH odbyły się już pierwsze zajęcia. W tym czasie Lipiński pełni również funkcję dyrektora departamentu w Ministerstwie Przemysłu oraz organizuje Instytut Gospodarki Narodowej. W 1947 r. rezygnuje z tych stanowisk, całą aktywność skupiając na życiu naukowym i gwałtownych dyskusjach teoretycznych oraz polityczno-gospodarczych, w których zawsze zajmuje stanowisko otwarte [...]. Występuje przeciw uproszczeniu w uprawianiu nauki, pragnie podtrzymywać kontakty umysłowe z całym światem. [...] W 1954 r. zostaje pierwszym dziekanem i wykładowcą historii myśli ekonomicznej na nowo otwartym Wydziale Nauk Ekonomicznych UW. Po 1956 r. powraca na SGPiS, gdzie wyklada do przejścia na emeryturę. [...] Od 1976 r. żywo popiera wszelkie dążenia do demokratyzacji życia społecznego politycznego. [...] [Ustawa z dnia 31 VII 1981 r. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt 6 (Dz. U. nr 20 poz. 99, zm.: Dz. U. nr 44 poz. 204)] Krytykuje też rozmaite posunięcia polityczne i gospodarcze. Edward Lipiński zmarł 13 lipca 1986 r. w Warszawie. ●*



Feliks Jasieński herbu Dołęga był ciekawą i niezwykle barwną postacią. Kolekcjoner, podróżnik – nazywano go „Globtrotter”. Pisywał do „Chimery”, „Lamusa” czy „Miesięcznika Literackiego i Artystycznego”. Przyjaźnił się z ludźmi sztuki – malarzami, rysownikami, w Krakowie, dokąd przeniósł się z Warszawy w 1901 roku, wiódł rej wśród tamtejszej cyganerii, jak tamtejszych artystów, skupionych wokół Stanisława Przybyszewskiego.

Jako się rzekło, sporo podróżował i kolekcjonował, a fascynowała go m.in. Japonia – stąd też wziął się jego najsłynniejszy pseudonim, „Manggha” – tak zatytułowany był pierwszy zbiór szkiców japońskiego artysty Kat-sushiki Hokusai’a, wydany w 1814 roku.

Manga, tak dziś powszechny i znany termin, oznacza dosłownie dziwaczne, improwizowane obrazy. Sporo taki właśnie obrazów znalazło się w zbiorach Jasieńskiego. Ale nie tylko, choć to japońską sztuką słynęła – zasłynie – kolekcja „Mangghi”.

Jasieński wreszcie zdecydował się przekazać swoje zbiory Muzeum Narodowemu w Krakowie, z zastrzeżeniem, że będzie stanowić całość, udostępnianą szerokiej publiczności.

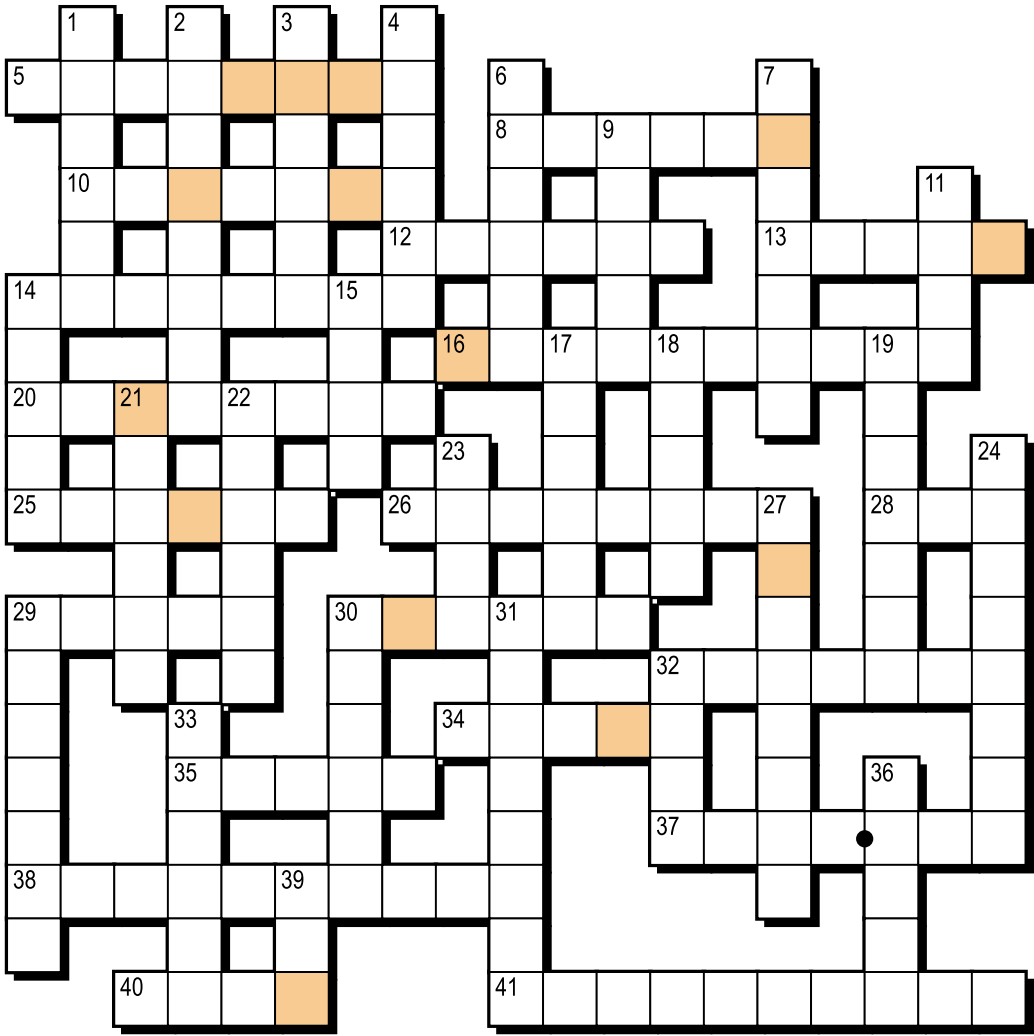
Kolekcję, przechowywaną po śmierci Jasieńskiego (1929) w kamienicy Szolayskich. Po raz pierwszy publicznie zaprezentowano część z niej w okupowanym Krakowie w Sukiennicach, w 1944 roku. Wówczas to zobaczył ją 19-letni Andrzej Wajda, którego wojenne losy rzuciły do Krakowa.

Japońska sztuka i talent mistrzów z Dalekiego Wschodu tak zapadły młodzieńcowi w pamięć, że wiele lat później, w 1987 roku, kiedy otrzymał prestiżową Nagrodę Kioto (Kyōto-shō), a przyznawaną w uznaniu zasług na polu sztuki, filozofii i nauki, zdecydował się przeznaczyć ją w całości na powstanie specjalnego centrum. I tak, dzięki wybitnemu polskiemu twórcy, oraz 50 mln jenów od firmy Kyocera – fundatorowi nagrody – powołana zostaje Fundacja Kyoto-Kraków. Jej celem jest wzniesienie budynku, który pomieściłby zbiory ofiarowane przez „Mangghę”.

28 maja 1993 roku wmurowano kamień węgielny pod budowę Centrum (autorem projektu był japoński architekt Arata Isozaki, laureat nagrody Pritzкера, uchodzącej za architektonicznego Nobla).

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” otwarto oficjalnie 30 listopada 1994 roku. Równo 30 lat temu. I z tej właśnie okazji dzisiaj „Weekendówkę” poświęcamy Krajowi Kwitnącej Wiśni. Powodzenia! Ganbare!

Andrzej Kulasek  
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie  
„Weekendówki”  
nr 130 z 23.11:

**Poziomo:** 2) lotnik, 7) Poławiacze, peret, 8) snorkeling, 9) Skyfall, 12) ocean, 13) bańki, 14) maska, 16) eksponat, 17) obciążnik, 19) skafander, 22) świat, 23) pasjonat, 25) akwaling, 27) linki, 30) ostona, 31) ambicja, 33) kompensatory, 34) komiks.

**Pionowo:** 1) choroba, 2) licznik, 3) tlen, 4) kursy, 5) fajka, 6) Wielka Rafa, Koralowa, 8) szczelność, 10) kombinezon, 11) arkana, 15) woda, 17) opera, 18) krętaki, 20) klasa, 21) wraki, 23) płuca, 24) sygnały, 26) keson, 28) klatka, 29) Żbik, 32) Cuma.

HASŁO:  
REKORDZISTA

JAPONIA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5) Hiroszima i ..., miasta, na które spadły bomby atomowe  
8) ... japońskie, karłowate krzewy ozdobne (rododendrony)  
10) wyspa – miejsce dużej operacji desantowej wojska USA podczas II wojny światowej (1945 r.)  
12) archipelag z wyspą z określenia 10 poziomo  
13) buddyjski duchowny w Japonii i Chinach  
14) uprawia dyscyplinę sportową wywodzącą się z japońskiej sztuki samoobrony  
16) Ken Watanabe i Toshiro Mifune – kino, Haruki Murakami i Yoko Ogawa – ?  
20) Pikachu i inni  
25) japońska sztuka samoobrony

- 26) był cesarzem Japonii od 1926 do 1989 roku  
28) dawna nazwa Tokio  
29) Sony, Panasonic, Honda, Yamaha lub Toshiba  
30) Fudzi-jama  
32) w dłoni Naomi Osaki  
34) ... torii, charakterystyczne konstrukcje architektoniczne zwykle malowane na czerwono  
35) ... rosyjsko-japońska, w latach 1904–05  
37) japońska artystka kojarząca się z Johnem Lennonem  
38) ... ziemi, często nawiedzają Japonię, mogą wywoływać fale tsunami  
40) narodowy japoński instrument muzyczny  
41) zespół, który w latach 80. wylansował przebój „Big in Japan”

Pionowo:

- 1) świątynia buddyjska o kształcie kilkupiętrowej wieży

- 2) japoński pilot samobójca z czasów II wojny światowej (boski wiatr)  
3) „... Butterfly”, opera Giacoma Pucciniego, której akcja rozgrywa się w Nagasaki  
4) Suzuki ..., japoński SUV  
6) japoński teatr powstały w XVII w.  
7) parzona podczas ceremonii chanoyu  
9) japońskie filmy i seriale animowane  
11) część świata z Wyspami Japońskimi  
14) litera alfabetu greckiego lub japoński demon wodny  
15) ... Kong, amerykańska odpowiedź na japońską Godzillę  
17) japoński samochód w tekście piosenki „Jolka, Jolka, pamiętasz”  
18) „... z parku Yoyogi”, zbiór opowieści Joanny Bator o Japonii i jej mieszkańcach  
19) japońscy ..., opisowo o samurajach

- 21) sudoku i ..., łamigłówek liczbowe popularne na całym świecie  
22) atol na Pacyfiku, miejsce bitwy między siłami amerykańskimi i japońskimi w czerwcu 1942 r.  
23) dominuje na fladze Japonii  
24) wyspa z miastem Sapporo  
27) mieszkanka wielkiego miasta nad rzeką Yodo (wyspa Honsiu)  
29) Konica ..., japoński koncern elektroniczny  
30) „W Japonii ... zakwitły o dwie pory roku wcześniej”, śpiewa Kaśka Sochacka  
31) Akira, reżyser filmów „Tron we krwi”, „Siedmiu samurajów”, „Ran”  
32) surowe – mogą być dodatkiem do sushi  
33) ... Konstytucji, obchodzone 3 maja  
36) Tokio ..., niemiecki zespół muzyczny  
39) Daiki, japoński skoczek narciarski

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976



Roczna prenumerata

wysokieobcasy



Doskonały prezent pod choinkę

ZAMÓW NA PRENUMERATA24.PL